



*Joanna  
Wtulich*

# O GIEŃ I LÓD

Lwów, początek XX wieku. Debiutująca na salonach hrabianka zwraca uwagę przystojnego oficera...

TRYLOGIA LWOWSKA

Tom 1

LIRA  
WYDAWNICTWO

*Joanna  
Wtulich*

O  
GIEŃ  
I LÓD

L i R A  
WYDAWNICTWO  
WARSZAWA 2020

*Pawłowi i Zosi – towarzyszom  
inspirującej wyprawy do Lwowa*



## PÓŹNIEJ

– Nie – rzucił pułkownik Dukajski z błyskiem w oku.

Hrabianka Lipińska nie wierzyła temu, co właśnie usłyszała. Dukajski był jej jedyną szansą na ratunek, na wyjście z twarzą z tarapatów, w które wpakowała się przez własną głupotę. On jej po prostu nie mógł odmówić, nie mógł jej tak zostawić i pozwolić, żeby się skompromitowała, żeby ojciec ją znienawidził, a rodzina popadła w ruinę. Ostatnim, do czego by się posunęła, to prosić tego diabła wcielonego o pomoc, ale w tej sytuacji nie miała wyjścia. Postanowiła odłożyć dumę na bok i wyszeptała zdętwiałymi z nerwów ustami:

– Proszę.

Dukajski odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się gardłowo. Nagle zamilkł i zmrużył oczy. Górował nad nią wzrostem, ale choć nie była niska, poczuła się jak pyłek, jak kawałek błota niegodny jego uwagi. Czy tak miała czuć się młoda kobieta przy człowieku, który powinien ją chronić i kochać? Opuściła głowę, nie mogąc znieść jego wzroku.

– Chyba że zrobisz to, czego chcę – powiedział z satysfakcją.

Zimny dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Nienawiść zagrała w jej duszy na nowo, tym bardziej że zamiast strachu odczuła podniecenie. Zła o to na samą siebie, na okoliczności, które zmusiły ją do błagania o pomoc, ale przede wszystkim na niego, że wykorzystywał jej słabość, zacisnęła pięści, zebrała się w sobie i spytała tylko:

– Kiedy?

Odpowiedział jej z szerokim uśmiechem zwycięzcy:

– Wiedziałem, że prędzej czy później, maleńka, zrozumiesz, że nie masz wyjścia.

## WCZEŚNIEJ

### ROZDZIAŁ I

#### *Debiut*

Hrabianka Anna Lipińska marzyła o usłyszeniu Salomei Kruszelnickiej, która niedawno przybyła do Lwowa, gdzie miała wystąpić w Teatrze Miejskim w tytułowej roli w *Hrabinie Moniuszki*. Ojciec wiedział, jak bardzo Anna kochała teatr, dlatego zadbał, żeby miała do niego nieograniczony dostęp. Wykupił łożę, z której początkowo korzystał on sam, a kiedy zarządził wprowadzenie córki do towarzystwa, odwiedziny w teatrze stały się okazją do wypromowania młodej kobiety.

Był karnawał 1908 roku i osiemnastoletnia Anna zaczęła bywać na balach i towarzyskich wydarzeniach, czego efektem miało stać się wydanie jej za mąż za jednego z poznanych kawalerów. Hrabianka zdobyła w mniemaniu ojca niezbędną wiedzę, która miała zapewnić jej przyszłemu mężowi satysfakcjonujące i spokojne pożycie. Choć dziewczyna nie wykazywała najmniejszej ochoty na wiązanie się z kimkolwiek, to jednak miała świadomość, że tylko zamążpójście zagwarantuje jej więcej swobody. Marzyła o mężu, który pozwoli jej na rozwijanie się i na podróże. Miała ogromną chęć nauki, w odmiennosci do jej starszych braci, którzy woleli uganiać się po polach i lasach lub po salonach, kiedy przebywali we Lwowie. Natomiast Anna miała dość uporu i ciekawości świata, by samodzielnie doksztalać się w pałacowych bibliotekach. Szybko doszła do wniosku, że miłość niepotrzebnie komplikuje życie, a zamążpójście przecież może być transakcją, na której skorzysta i mąż, i żona. Szukała więc wśród kawalerów takiego, który byłby wystarczająco przystojny i na tyle inteligentny oraz zajęty swoimi sprawami, by po ewentualnym ślubie nie wchodzić jej w paradę. Z takim planem Anna wkraczała na salony, nie spodziewając się żadnych wybuchów uczucia, tym bardziej że znakomita większość kawalerów wyglądała jej zdaniem jak dzieci. Delikatni, ledwie co dojrzały, z pierwszym dumnie nastroszonym wąsem, czerwienili się i pocili oraz nieustannie przydeptywali stopy w tańcu, z nerwów myląc kroki. Widząc ich zbitych w gromadkę, rozemocjonowanych jak chłopcy nad pudełkiem czekoladek, traciła nadzieję na zamążpójście i modliła się, by ojcu nie wpadło do głowy swatać jej z którymś z nich. Czy mogła wtedy przewidzieć, że będzie skazana na coś gorszego niż któryś z tych młokosów?

Wizyta w teatrze była dla niej emocjonująca nie z racji spotkania potencjalnych mężów, ale wyłącznie dlatego, że Anna nie mogła się doczekać doznań artystycznych. Powóz zajechał na obszerny wyasfaltowany plac przed gmachem. Jako jeden z nielicznych budynków w mieście teatr był otoczony utwardzonymi chodnikami. Usytuowany na północnym krańcu szerokich Wałów Hetmańskich, stanowił wizytówkę miasta i hołd złożony sztuce.

Kiedy hrabia Lipiński wysiadł z przytulnego wnętrza powozu, podał córce ramię i wprowadził do westybuli teatru wypełnionego już przez śmietankę towarzyską Lwowa. Annie mieniło się w oczach od bogactwa klejnotów oraz wspaniałych toalet najbogatszych mieszkańców miasta. Gwar rozmów, śmiechy i taksujące spojrzenia onieśmiały ją. Przyzwyczajona do spokoju panującego w pałacu i towarzystwa najwyżej kilku osób naraz, wciąż nie mogła przywyknąć do tłumów. Trzymała kurczowo ramię ojca, gdy dostojnie kiwał głową mijanym ludziom, a czasem się zatrzymywał, by przywitać się z co znamienitszym obywatelem miasta. Dygała grzecznie, ale choć spuszczała skromnie wzrok, spod gęstych rzęs rzucała ciekawskie spojrzenia na boki. Przyglądała się zwłaszcza kobietom ubranym zgodnie z najnowszą modą. Jako panna musiała tak dobrać stroje, by podkreślały jej skromność i niewinność. Żadnej biżuterii i ciemnych kolorów. Oczywiście jej suknia wieczorowa musiała być kremowa i mieć prosty krój. Dekolt zabudowano cienutkim materiałem. Tylko niewielkie wcięcie odsłaniało jasną skórę. Z zazdrością patrzyła na ciemne, zdobione złotem, wydekoltowane kreacje z upięciami i marszczeniami podkreślającymi biust. Suknie z cichym szelestem szorowały trenami po schodach, a długie rękawiczki okrywały obowiązkowo dłonie każdej damy. Anna cieszyła się tylko z jednego. Że nie musi nosić gorsetów. Szczupła talia nie wymagała dodatkowych zabiegów, żeby wyglądała dobrze w dążących do coraz bardziej prostych fasonów sukniach.

Choć styczniowy mróz wyciskał z ust kłęby pary, to wieczór wydawał się Annie niemal upalny. Może powodował to tłum wyperfumowanych ludzi, a może ciepło budynku nagrzanego za pomocą specjalnego systemu ogrzewania centralnego. W grę wchodziły też emocje, jakie wywoływało to wyjście. Z powodu debiutu jak nigdy Anna męczyła się w lwowskim pałacyku, gdzie spędzali kilka miesięcy w roku i za którym zazwyczaj szaleńczo tęskniła. Wcześniej w towarzystwie braci lub papy, ewentualnie guwernantki, spacerowała po mieście. Tego roku była jednak jak ptak w klatce. Jak piękna lalka na wystawie, którą oglądają kupujący, więc nie można się nią bawić. Każde jej wyjście starannie planowano, szykowano stroje, fryzurę i przede wszystkim istotny był cel. Gdziekolwiek wyszła, miała robić wrażenie. Tak ją to męczyło i stresowało, że ku swojemu niezadowoleniu, jak tylko mogła, ograniczała wycieczki poza pałac.

Tu, we Lwowie, największym z miast Galicji, tętniło życie, była opera, spotkania towarzyskie, przejażdżki po parku, wizyty, a teraz bale, na których wreszcie zaczęła bywać. Dotąd mogła tylko pomarzyć o tym, podobnie jak Marynia Dzieduszycka, jej jedyna przyjaciółka, z którą w tym roku dzieliła stres związany z debiutowaniem w towarzystwie. Niby powinna się tym wszystkim cieszyć, lecz odczuwała głównie niepokój.

Na wsi, jak nazywała pałac Lipińskich w Niesłuchowie, miała za jedyną rozrywkę nudnych sąsiadów, którzy z niezrozumiałych dla niej powodów woleli pilnować majątków niż oddawać się wyższemu rozrywkom czy czasem urządzić w skądinąd niemałych pałacach i dworach choćby skromny wieczorek muzyczny. Czasem miała wrażenie, że ojciec i bracia trzymają ją w cieplarnianych warunkach tylko po to, by któregoś dnia przyniosła rodzinnemu majątkowi pokaźne zyski w postaci odpowiednio zawartego małżeństwa. Coraz częściej słyszała w rozmowach ojca z braćmi swoje imię. I te taksujące spojrzenia mężczyzn... Nie uważała się za wybitnie urodziwą, choć zdawała sobie sprawę, że nie bez powodu przyciąga męskie spojrzenia. Szczupła i energiczna, robiła wrażenie nie tylko na kawalerach, choć sama jakoś nie odnajdowała przyjemności w zachwytach nad męską urodą, co było domeną Maryni. Anna wiedziała, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym powie „tak”. Łudziła się, że jej wybranek będzie spełnieniem jej marzeń i niekoniecznie były to marzenia o wielkiej miłości. Gdyby nie ciekawość świata i nuda, nie cieszyłaby się w ogóle na ten debiut, a w dalszej perspektywie na zamążpójście. W taki sposób mężczyźni jej nie interesowali, przynajmniej na razie.

Mimo wszelkich przesłanek ku temu, by wyrosnąć na zadufaną w sobie pannicę, pozostała roztropną osobą, co było jej największym przekleństwem. Ojciec nie bronił jej dostępu do książek i sam później twierdził, że był to błąd, bo szybko okazało się, że Anna ma swoje zdanie na każdy temat, w dodatku nie waha się go głośno wyrazić, co bywało w dość konserwatywnym towarzystwie arystokracji co najmniej kłopotliwe. Hrabia zadbał też o najlepszych nauczycieli, dzięki czemu Anna była osobą o szerokich horyzontach. Czytywała postępowe gazety i nie bała się poruszać drażliwych tematów w towarzystwie. No i tego roku wreszcie mogła godzinami przesiadywać w teatrze. Najbardziej cieszyła się na występ słynnej śpiewaczki, która podobno porywała swoimi interpretacjami arii Moniuszki.

Teatralny westybul kipiał od bogactwa. Różnokolorowe marmury w trzydziestu sześciu odcieniach, złoczone lampy, obrazy i płaskorzeźby świadczyły o majątności mieszkańców miasta, o ich umiłowaniu sztuki i artystów. Dla nich te wnętrza były jak galeria, w której zostawili ślad dla potomności. Jednocześnie zastosowano w budynku wiele nowatorskich rozwiązań takich jak chociażby elektryczne oświetlenie. Największe wrażenie robiła sala lustrzana, w której organizowane były miejskie fety, a która olśniewała złoceniami, kryształami żyrandoli i dziełami sztuki malarskiej odbitymi w ogromnych zwierciadłach.

Idąc w stronę łoży, pod rękę z ojcem dumnie stroszącym wąsa, Anna podziwiała otaczające ją wspaniałości, ale też zerkała w lustro, w których widziała drobną, ciemnowłosą młodą kobietę w jasnej sukni podkreślającej jej smukłą sylwetkę. Mania, jej asystentka, nie musiała zbyt długo fryzować gęstych włosów hrabianki. Wystarczyło kilka splotów i upięć, a twarz okalały łagodne fale, które podkreślały długą szyję. Patrząc w lustro, Anna zdawała sobie sprawę również z tego, że papa w ostatnim roku mocno posiwiiał i utył. Niegdyś sprężysty i szczupły, choć może niezbyt słusznego

wzrostu, dziś wyglądał na zmęczonego i przygniecione problemami. Życie go nie rozpieszczało, ale zawsze potrafił zachować klasę i wielu mogło się od niego uczyć manier.

– Matka byłaby z ciebie dumna. – Ojciec szepnął córce do ucha, podchwyciwszy jej spojrzenie w lustrze.

– Dziękuję, papo. – Ucisnęła jego przedramię i jednocześnie odczuła nagły smutek.

Matka odeszła, kiedy Anna była małą, niesforną dziewczynką. Zabrała ze sobą najmłodszego brata, którego z wielkim trudem rodziła przez kilka dni. Niewiele z tego czasu zostało w pamięci Anny. Chyba tylko czerń wszechobecna na korytarzach pałacu w Niesłuchowie. Czerń, która snuła się za ojcem i nie pozwalała mu zająć się córką. Do czasu, kiedy przyjechali do Lwowa. Tu ojciec rozkwitł i ponownie wróciła mu ochota do życia, choć już nigdy więcej się nie ożenił, co jego dzieci przyjęły z ulgą. Od tamtej pory regularnie bywali w mieście, ale to Niesłuchów był pierwszym i jedynym domem Anny, w którym doświadczyła matczynej miłości.

Anna z ojcem zasiadła w ich prywatnej łoży z prawej strony widowni, z której mieli doskonały widok na scenę. Uwielbiała zapach teatru, bo dla niej miał on swoją specyficzną woń powietrza przed burzą, starych ksiąg i jednocześnie drogich perfum. Być może to z powodu pań, które nie żałowały sobie pachnących wód na taką okazję. Wnętrze lwowskiego teatru przypominało skrzącą się złotymi zdobieniami białą szkatułę na biżuterię, którą wyłożono w środku bordowym sukniem. Wszystkie łoża wytapicerowano bowiem eleganckim i drogim materiałem w kolorze wina. Na tym tle suknia Anny jaśniała delikatnym blaskiem pereł, którymi była dyskretnie udekorowana. Zanim rozpoczął się spektakl, dziewczyna mogła podziwiać ogromną metalową kopułę z lampami otoczoną wizerunkami półnagich roztańczonych kobiet. Starła się nie gapić zbyt nachalnie, ale wszystko tu było ogromne i tak zachwycające, że z trudem mogła usiedzieć na fotelu. Każdy szczegół w tym gmachu stanowił dzieło sztuki. Od najdrobniejszych zdobień balkonów, po kurtynę ze wspaniałym obrazem przedstawiającym Apolla i Muzy na Parnasie autorstwa Henryka Siemiradzkiego. Miała ochotę krzyknąć z zachwytu i tupać nogami, ale oczywiście dobrze wychowane panny nie powinny w taki sposób okazywać swoich uczuć. Zaciskała więc dłonie na woreczku w kolorze sukni i dyskretnie się rozglądała.

– Robi wrażenie, prawda? – zagadnął ojciec.

– O tak, papo! Nawet nie wiesz, jaką mam ochotę wszystkiego tu dotknąć, zobaczyć z bliska! – odpowiedziała rozemocjonowana.

Ojciec zaśmiał się dyskretnie.

– Obawiam się, że nie ty jedyna tak reagujesz. Rozejrzyj się. Od razu widać, kto jest tutaj pierwszy raz.

Anna pochyliła się i popatrzyła w dół. Rzeczywiście niektóre głowy obracały się we wszystkie strony z zaciekawieniem i wypiekami na twarzy. Dziewczyna odetchnęła z ulgą. A więc nie tylko ona była zachwycona i podniecona.

– Tu jest tak cudownie, że zapiera dech w piersiach – wyrzuciła z siebie.

– I takiego efektu oczekiwano, moja droga. Ta świątynia sztuki miała być najwspanialszą budowlą we Lwowie. To wizytówka naszego miasta, naszego narodu. Nie bez powodu wybrano projekt Zygmunta Gorgolewskiego, jednego z naszych najwybitniejszych architektów. – W głosie hrabiego Lipińskiego pobrzmiwała duma. Podkreślił węża i uklonił się komuś w innej łoży, kogo Anna nie rozpoznała.

Dziewczyna nie oparła się o fotel. Wychylona ku przodowi z niecierpliwością czekała na spektakl. Ignorowała ciekawskie spojrzenia rzucane w jej stronę z balkonów i łóż. Oczywiście poza nią było tu kilka tegorocznych debiutantek. Łatwo można było je rozpoznać, bo ich jasne suknie odcinały się od zlewających się w jedną barwną plamę strojów, ale ona z jakiegoś powodu miała wrażenie, że wszyscy patrzą na nią. Wreszcie orkiestra zaczęła hałasować w kanale, a po sali przebiegł szmer jakby westchnienia. Z wolna ucichły rozmowy i prawie wszystkie spojrzenia skierowały się na scenę.

Tylko jedna para oczu wpatrywała się w Annę. Kiedy światła zgasły, pułkownikowi

Dukajskiemu zdawało się, że ta drobna, rozemocjonowana twarzyczka w sąsiedniej łoży lśni nieziemskim światłem. Przyszedł w ostatniej chwili i szybkim spojrzeniem zlustrował pomieszczenie. Ukłonił się szacownym matrom z lewej, na tle których wyróżniała się młodzianka blondyneczka. Księżna Potocka zapobiegliwie zasłoniła ją swoim potężnym ciałem przed wzrokiem pułkownika. Dopiero potem zerknął w prawo i dostrzegł to roziskrzone spojrzenie, które prześlizgnęło się po nim i skupiło się na scenie. Musiała być naprawdę młoda. Podrygiwała na swoim fotelu nerwowo i ścisnęła woreczek. Wychylił się i zlustrował jej towarzysza, po czym z ulgą uśmiechnął się do siebie. Znał hrabiego Lipińskiego, więc osóbką nie była jego żoną, bo ta nie żyła od lat. Nawet gdyby dziewczyna miała męża, nie stanowiłoby to większego problemu. Ale, jak wiadomo, mąż to dodatkowa komplikacja, za to panienki bywają łatwowierne i w dodatku apetycznie niewinne.

– Widzę, drogi szwagrze, żeś zagiął parol na hrabiankę Lipińską?

Jego zainteresowanie lokatorami sąsiedniej łoży nie uszło uwadze Katarzyny, która od kilku lat była żoną jego młodszego brata. Początkowo zazdrościł Franciszkowi tej kobiety pozostającej obojętną na jego urok osobisty. Bystra, czytana, śmiała. Do tego wysoka i zgrabna. Proste blond włosy upięte w wysoki kok odsłaniały jej jasną, długą szyję. O takiej kobiecie marzył. Niechby nawet nie grzeszyła urodą. Choć nie zaszkodziłoby, gdyby wyglądała jak ten anioł w łoży obok. Miał dość tych kokietujących go słodkich idiotek, od których trudno się było opędzić, gdziekolwiek się udał. To dlatego, mimo że miał dwadzieścia siedem lat, nie zdecydował się ożenić z żadną panną. Owszem, miewał romanse, bo cenił sobie wdzięki dam, ale poza urodą żadna kobieta nie uwiodła go charakterem ani obejściem. Może z wyjątkiem Katarzyny. Dlatego Franciszek i Katarzyna wzięli sobie za punkt honoru znalezienie mu żony, ale on nie był głupi. Wszystkie panny mdlejące na jego widok były dobre do zabawy, nie do życia. Miał na koncie kilka skandali z żonatymi, bo te były o wiele bardziej interesujące. W dodatku doświadczone i najczęściej kompletnie niewykorzystane przez mężów, którzy woleli baraszkować z kochankami. Kiedy skończył dwadzieścia pięć lat, postanowił się jednak ustatkować. Znalazł sobie stałą kochankę, co nie przeszkadzało mu od czasu do czasu wejść któremuś z dumnych panów w szkodę.

Tymczasem spojrzął na bratową i ucałował jej dłoń.

– Jestem wierny tylko tobie, moja droga.

Roześmiała się i zwróciła się do siedzącego obok męża.

– Zdaje się, że twój brat znowu zaczyna.

– Przywykłem, *ma chérie* – skwitował Franciszek i pogroził bratu, na co ten zareagował przepraszającym uśmiechem.

Orkiestra zaczęła grać i anioł, w którego wpatrywał się Dukajski, o mało nie wyfrunął z łoży. Anna aż podskoczyła, a z jej oczu sypnęły się iskry, kiedy rozległy się pierwsze intensywne takty uwertury. W ciągu całego pierwszego aktu tylko na chwilę jego uwagę zwróciła śpiewaczka, która pojawiła się na scenie. Podobno pochodziła z Galicji, choć Dukajski nie zapamiętał jej nazwiska. Rzeczywiście jej śpiew poruszać musiał wrażliwe struny w arystokratycznych duszach rozpieszczonych panien. Ciemnowłosa kobieta zawodziła tak żałośnie, że aż bolały zęby. Zignorował ją i wrócił do obserwacji anioła, na którego twarzy mieniły się emocje. Oczami duszy widział jej twarz, kiedy ma ją tylko dla siebie. Tak powinna wtedy wyglądać. Tylko włosy by zburzył, a tę kieckę...

– Pobudka, panie hrabio. – Katarzyna wyrwała go ze słodkich snów. – Chodź, przedstawię cię – mówiąc to, szarpnęła go za mankiet munduru i pociągnęła na zewnątrz. Zanim zdążył się zorientować, stał w łoży Lipińskich, patrząc w oczy anioła.

– Państwo Dukajscy. Cóż za miła niespodzianka. – Hrabia Lipiński wstał i ucałował rękę Katarzyny.

Franciszek, który podążył za nimi, ledwie mieścił się w ciasnym wnętrzu.

– Witam, panie hrabio. – Katarzyna wdzięcznie dygnęła, odkłoniła się Annie, po czym odsunęła się, żeby przedstawić Michała. – To mój szwagier, Michał Dukajski, pułkownik trzynastego pułku ułanów armii austriackiej.

Michał czuł na sobie taksujące spojrzenie hrabiego Lipińskiego, który oceniał go jak konia



przed kupnem. Ale nie zwrócił na to większej uwagi, bo śmiało wpatrywały się w niego błyszczące oczy ukrytej za plecami ojca dziewczyny w pastelowej sukni. Zdał sobie sprawę z własnej pomyłki. Wcale nie były to oczy anioła, raczej małej, rozwydrzonej diablicy.

– To moja córka, Anna, hrabianka Lipińska – ojciec przedstawił dziewczynę, która dygnęła i wyciągnęła rękę. Utonęła w szerokiej dłoni Dukajskiego, kiedy ją delikatnie ujął i zbliżył do swoich ust. Pachniała jak świeżo ścięty kwiat. Szybko cofnęła się, kiedy ją puścił. Nie zaczerwieniła się, jak to zwykle miały w zwyczaju takie pannice, ale przygryzła wargę i spojrzała mu prosto w oczy. Rozbawiła go tym spojrzeniem, które miało być co najmniej chłodne. Musiała je ćwiczyć przed lustrem latami.

W czasie niezobowiązującej rozmowy z hrabią i Franciszkiem o jego zajęciach w garnizonie wciąż czuł na sobie jej spojrzenie. Raz czy dwa odwzajemnił je, ale ona wtedy uciekała wzrokiem. Niby zajęta rozmową z Katarzyną, nieustannie na niego zerkała.

Od pierwszych dźwięków uwertyury Anna czuła na sobie ten bezczelny wzrok. Nawet teraz, kiedy obok stał jej ojciec, ten oficer wciąż na nią patrzył. Wyróżniał się na pewno wzrostem i potężnymi ramionami, a wrażenie to potęgowała błękitna kurtka galowego munduru z czerwonymi mankietami i kołnierzem ozdobionym trzema złotymi gwiazdami oraz granatowe spodnie podkreślające walory jego sylwetki. Z bliska sprawiał wrażenie jeszcze wyższego. Pułkownik górował nad jej ojcem, a ona sama z pewnością sięgała mu niewiele ponad ramię. Jego czarne włosy układały się miękko falą nad czołem. Stalowszare oczy patrzyły na nią bezczelnie spod ciemnych brwi. Gdyby nie to, pewnie pomyślałaby, że jest interesujący, może nawet przystojny. Nie wiedziała dokładnie, co spowodowało, że nie polubiła tego człowieka. Czy jego zachłanny wzrok, czy pewność, z jaką na nią spoglądał, najwidoczniej przekonany, że oto trafił na naiwną panienkę z dobrego domu.

Jego brat był zupełnie inny. Dużo niższy przede wszystkim, co sprawiało, że obaj kojarzyli się Annie z różnymi gatunkami drzew. Starszy był jak strzelisty świerk, który szybko rośnie ku górze, zaś młodszy jak rozłożysty dąb. Natomiast żona Franciszka zrobiła na Annie ogromne wrażenie. Wspaniale wyglądała w podszytej złotym materiałem czarnej koronkowej sukni, która w pasie miała wstawkę czarnego materiału podkreślającą szczupłą talię. Anna westchnęła z rozmarzeniem i obiecała sobie, że kiedy już będzie mogła ubierać się jak dorosła kobieta, sprawi sobie taką wieczorową suknię.

Z zachwytu nad toaletą hrabiny Dukajskiej wyrwało ją natarczywe spojrzenie pułkownika. Tak czy inaczej miała zamiar go ignorować, tym bardziej że ojciec, zazwyczaj zachowujący rezerwę, szybko nabrał do niego zaufania i zaczął go poklepywać po plecach jak starego znajomego, a kiedy rozległ się dzwonek, zaprosił Dukajskich do swojej łoży. Katarzyna i Franciszek podziękowali za zaproszenie i wrócili do siebie. Pułkownik jednak został. Anna zajęła swoje miejsce i skupiła się na drugim akcie. Dukajski usiadł tuż za nią. Czuła jego oddech na karku, choć to głupie, bo przecież dzieliła ich zbyt duża odległość. W połowie aktu, kiedy na chwilę zapomniała o jego obecności, nachylił się do niej i wyszeptał:

– Widzę, że przedstawienie wzbudza w pani wielkie emocje.

– Za to pan wydaje się kompletnie niezainteresowany i jeszcze przeszkadza innym – odpowiedziała, obróciwszy głowę nieco do tyłu. Natrafiła na zmrużone, zimne oczy. Patrzyła w nie i czuła narastającą irytację, aż nagle to spojrzenie zmiękło. Odwrócił się ku hrabiemu Lipińskiemu i głosem słodkim jak miód powiedział na tyle głośno, by go usłyszała:

– Niech pan wybaczy, ale jestem laikiem w sprawach sztuki. Do tej pory zajmowały mnie sprawy wojska. Ale umiem docenić wszystko to, co piękne, a za pozwoleniem pana hrabiego chętnie skorzystałbym z pomocy córki i zdobył wiedzę na ten temat.

Twarz ojca rozjaśniła się, a Anna zacisnęła dłonie w pięści. Jak śmiał tak jawnie okazywać zainteresowanie jej osobą? Wiedziała, że jest jedną z najlepszych partii w mieście, ale nie sądziła, że ojciec spojrzy przychylnie na jakiegoś tam wojaka. Spiorunowała wzrokiem zadowolonego z siebie Dukajskiego. Najpewniej wszystko w życiu przychodziło mu łatwo, więc i teraz liczył na łatwe zwycięstwo. Niedoczekanie.

– Anno, słyszałaś? Chętnie będziemy widzieli pana u nas – ucieszył się hrabia Lipiński.

– Oczywiście, zapraszamy – wycodziła Anna, ale jej oczy mówiły coś zupełnie innego.

– Córka jest wielką pasjonatką sztuki, literatury zwłaszcza. Nawet studiować chciała, ale kto to słyszał, żeby panna z dobrego domu po studiach się włóczyła. – Ojciec roześmiał się, aż kilka głów odwróciło się w ich stronę. – Wystarczyli prywatni nauczyciele – dodał już szeptem.

– Papo... – Anna czuła, jak jej policzki płoną. Ojciec najwidoczniej zaczynał znowu prezentację najlepszego towaru, jaki posiadał, czyli swojej córki. W dodatku przed kimś, kto ją denerwował od pierwszej chwili i kogo z pewnością nie brałaby pod uwagę, gdyby szukała męża. Wzburzona i ciągle obserwowana przez pułkownika, nie była w stanie spokojnie cieszyć się resztą przedstawienia. Papa co prawda zamilkł, ale wciąż czuła obok siebie tego mężczyznę, który pod pretekstem rozmowy przysunął się bliżej. Nadal na nią patrzył. Miała ochotę wstać i demonstracyjnie wyjść, ale nie wypadało. Wreszcie nie wytrzymała.

– Na litość boską, proszę uważnie śledzić przedstawienie.

– Ależ śledzę.

Anna pożałowała swoich słów, bo Dukajski nachylił się do niej i teraz jego oddech łaskotał jej ucho. Odchyliła nieznacznie głowę i spojrzała mu w oczy.

Michałowi zabrakło słów. Mógłby całować tę szyję, którą tak wdzięcznie wyginała w jego stronę, nieświadoma efektu, jaki wywołała. Jak na hrabiankę była dość wyszczekana. Widocznie przywykła do męskich zachwyków i nie robiły one na niej wrażenia. Tym lepiej. Złamać jej opór to będzie wyzwanie, a on kochał wyzwania.

– Niech pan przestanie – rzuciła mu w twarz i po chwili wahania dodała: – Proszę.

– Czegóż mam zaprzestać? – Udał zdziwienie.

Pochyliła się w jego stronę, bo ktoś syknął ostrzegawczo. Natychmiast poczuła jego zapach, męski, mocny, kojarzący się z dobrym alkoholem, ale i z wiatrem, który rozwiewał jej włosy, gdy galopowała na koniu po niesłuchowskich polach. Nie zbiło jej to jednak z tropu.

– Niech pan przestanie wpatrywać się we mnie. Nie robi to na mnie wrażenia, a nawet jeśli, to zapewne odwrotne do tego, jakiego pan by mógł oczekiwać. Proszę więc zaprzestać wysiłków, by zwrócić moją uwagę. – Wciąż patrzyła mu w oczy. Wytrzymał to spojrzenie i postanowił, że nie spocznie, póki jej nie zdobędzie.

Anna czuła, jak łomocze jej serce. W uszach dudniła muzyka, a może to krew. Ten zapach... To ją jeszcze bardziej denerwowało. Jak można w tak przystojnym ciele ukryć tak niewychowanego człowieka? Cóż za impertynent! Nie odwrócił się, nie odsunął, a wręcz pożerał ją wzrokiem jeszcze bardziej. Nie musiała się go bać. Doskonale o tym wiedziała. Poza tym w łoży nie byli sami.

– Myślę, że osiągnąłem zamierzony efekt, choć duma nie pozwala się pani do tego przyznać, Anno. – W jego ustach jej imię zabrzmiało jak pieśczoćta. Wstrzymała oddech, kiedy bezczelnie prześlizgnął się wzrokiem po jej dekolcie i piersiach. Nie, on się mylił. Poza złością nie czuła niczego specjalnego.

– Przekracza pan granice dobrego smaku, panie pułkowniku. Oj, pan pewnie nie wie, co to dobry smak i wychowanie. W wojsku tak trudno o naukę obchodzenia się z kobietami...

Widziała, że trafiła w czuły punkt, bo mężczyzna zacisnął szczęki i spojrzał na nią tak, że powinna uciec z płaczem. Ale ona wychowała się wśród mężczyzn i nie była już małą dziewczynką. Poza tym nie musiała mu się podlizywać.

– Zapewniam panią, że doskonale umiem obchodzić się z kobietami. Żadna, która trafiła w moje ręce, nie narzekała. Wręcz dopraszała się o więcej i zapewniam, że pani też nie będzie narzekała, kiedy trafi w moje ramiona. Jestem przekonany, że ten dzień nadejdzie szybciej, niż pani myśli – syczał przez zęby wprost do jej ucha, żeby nikt nie słyszał.

Krew odpłynęła Annie z serca gdzieś w okolice kostek. Salomea Kruszelnicka właśnie wyciągała ostatnie tony swojej arii, ale Anna kompletnie jej nie słuchała. To, co powiedział, powinno być ją przerazić, powinno być postawić w stan czujności i gotowości. Ale nie. Ona, zadufana w sobie, dumna i wściekła, że ten prostak, ten... żołdak śmie jej mówić takie rzeczy, jakby była jego własnością, parsknęła tylko i odpowiedziała:

– Choćbyś był pan ostatnim mężczyzną we Lwowie, nie skuszę się.

Odwróciła się w stronę sceny. Wciąż czuła jego spojrzenie na swoim dekolcie, który falował ze wzburzenia.

– Choćbym miał cię wziąć siłą, będziesz moja – wydyszał jej w ucho, muskając je ustami. Mogłaby to złożyć na karb przypadku, ale wiedziała, że zrobił to umyślnie. Zanim zdążyła się powstrzymać, dotknęła tego miejsca dłonią. Odpowiedział jej cichy śmiech.

– Wolałabym iść do piekła – rzuciła mu w twarz.

Nie zauważyła nawet, że drugi akt dobiegł końca. Odwróciła się do ojca, żeby poprosić go o wcześniejszy powrót do domu, ale ten z uśmiechem przypatrywał się jej i Dukajskiemu. To było jak zły sen. Ojciec, niby tak bardzo chcący wydać ją dobrze za męża, niechętnie patrzył na każdego z konkurentów starających się o jej rękę, więc jakim cudem dostrzegła aprobatę w jego oczach, kiedy zalecał się do niej ten prostak? Czyżby w mniemaniu papy ten człowiek był lepszy niż pozostali? Większość z jej adoratorów miała po prostu niewystarczająco okazały majątek. Inna rzecz, że żaden jej nie odpowiadał i po cichu cieszyła się z ojcowskich poczyñań.

Jak sobie wyobrażała swojego przyszłego męża? Chyba chciała, żeby był podobny do ojca. Silny i władczy. Nie zniosłaby słabego mężczyzny. Sęk w tym, że większość płaszczyła się przed ojcem i wdychała do niej, prawiąc jej tanie komplementy, a przez to tracili w jej oczach. Nie wiedziała, jak rozpozna, że to właściwy człowiek, ale wierzyła święcie, że w końcu trafi na kogoś na tyle bystrego i mądrego, by zdołał ją zainteresować swoją osobą. Tymczasem hrabia Lipiński najwyraźniej zachwycił się mężczyzną, którym ona po kilku minutach znajomości głęboko gardziła z powodu jego pewności siebie. W dodatku pułkownik sam przyznawał się do tego, że ani nie czyta, ani nie interesuje się sztuką w ogóle. Miała dość tego przedstawienia. Dość obecności Dukajskiego, od której na zmianę robiło jej się zimno i gorąco.

– Papo, źle się czuję. Chciałabym wrócić do domu – zaryzykowała, kiedy kurtyna opadła.

– Córcia, wytrzymaj jeszcze trochę. – Ojciec podniósł się ze swego miejsca. – Zauważyłem prezydenta miasta. Chciałbym z nim zamienić parę słów. Tymczasem zostawię cię w dobrych rękach pani Katarzyny i pana pułkownika.

– Tak jest – potwierdził Dukajski i strzelił obcasami. Papa zaprowadził Annę do łoży Dukajskich, uklonił się hrabinie z szerokim uśmiechem, który odwzajemniła, i oddalił się korytarzem w stronę grupki mężczyzn rozprawiających o czymś zawzięcie. Niestety pułkownik im towarzyszył i nie odstąpił jej nawet na krok. Podał ramię Annie, która przeprosiła towarzystwo i z kwaśną miną poszła pierwsza w stronę foyer, udając, że nie dostrzega gestu.

Miała w planach porozmawiać z kimkolwiek, kogo zna, i w ten sposób pozbyć się niewygodnego towarzysza. Szła pewnym krokiem przed siebie, prosto w stronę schodów wiodących do westybuli. Michał szedł za nią i podziwiał jej sylwetkę. Nie mógł się nadziwić, jak ludzie schodzą tej drobnej kobiecie z drogi, jak kroczy niczym królowa, rozdając uśmiechy. Nie zdawała sobie zapewne sprawy z wrażenia, jakie robi na mijanych mężczyznach. Nie było chyba takiego, który by nie zerknął w jej stronę, a wielu dość bezczelnie taksowało jej walory. Każdemu z osobna mógłby otłuc mordę. Zamiast tego zacisnął dłonie w pięści i przyspieszył kroku, nie patrząc tym razem na kobiety, których wzrok niezmiennie przyciągał. Był świadomy tego, że los obdarzył go siłą, życiowym sprytem, odwagą i urodą. Z tych wszystkich zalet to uroda zazwyczaj dawała mu największe korzyści, ale też miał z tego tytułu najwięcej kłopotów. Żony chętnie zdradzały mu sekrety mężów, a wiedza to potęga. Zwłaszcza w rękach człowieka, który umie ją wykorzystać. Niestety, panie w końcu chciały rozwodów i wspólnej przyszłości. On niekoniecznie. Nauczył się, że lepiej skończyć romans wcześniej niż później. Wtedy korzyści przewyższały straty. Co zyska na uwiedzeniu hrabianki Lipińskiej? Zdał sobie sprawę, że o to nie dba. Po prostu musiał ją mieć.

Anna najwyraźniej chciała mu uciec. Zbliżyła się do schodów. Obróciła się i poszła uśmiech jakiejś pannie. W tym samym momencie zrobiła krok, ale nie zauważyła, że jej stopa zawisła nad schodkiem. Widział, jak się zachwiała i zamachała rękami, próbując złapać równowagę. Zrobił to odruchowo. Chwycił ją w pasie i przyciągnął z powrotem na krawędź schodów. Stała chwilę oniemiała, a on czuł, jak jej serce łomocze przy jego piersiach. Podniosła na niego wzrok.

Zdecydowanie wolał, kiedy się wściekała. Z radością by ją ujarzmił, lecz zobaczyć w jej błękitnych oczach mieszaninę paniki i wdzięczności, to było ponad jego siły. Z tym nie umiał walczyć. W tym jednym momencie mógłby dla niej zburzyć świat. Wciąż ją trzymał przy sobie, ignorując ciekawskie spojrzenia. Była taka drobna i krucha. Pachniała słodko liliami. Szarpnęła się i znów była tą dumną panną, którą miał ochotę przełożyć przez kolano i złać. Na samą myśl o tym krew uderzyła mu do głowy.

– Niechcesz mnie pan puści, bo robimy sensację – wysyczała przez zęby.

– Ot i taka wdzięczność za ryzykowanie życia dla kobiety. – Rozłożył ręce i wypuścił ją z objęć.

Poprawiła dekolt sukni, a on dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nawet w niego nie zerknął, tak był pochłonięty jej bliskością.

– Dziękuję panu. Naprawdę nie trzeba było – rzuciła i zadarła podbródek. Miała w oczach ogień.

– Doprawdy osobliwe podziękowanie – roześmiał się w głos, co, jak zauważył, jeszcze bardziej ją zirytowało. Uwielbiał ją prowokować. Nagle spoważniał, pochylił się nad nią i dodał:

– Zważywszy na to, że gdyby nie ja, leżałabyś teraz piętro niżej, moja panno.

Obserwował, jak zaciska zęby.

– Anno droga, musisz być ostrożna. Gdyby nie pan pułkownik... – zagadnęła przechodząca obok starsza dama.

Anna odpowiedziała jej z uśmiechem:

– Rzeczywiście, pan pułkownik wykazał się refleksem.

Czy tylko on widział, że dziewczyna kipi gniewem? Z tym samym uśmiechem zwróciła się do niego. Dla postronnego obserwatora musiała ta ich rozmowa wyglądać na niewinną wymianę zdań. Ona uśmiechnięta, on jeszcze bardziej.

– Nie jestem twoja i nigdy nie będę. To po pierwsze. Po drugie wolałabym tam leżeć niż musieć znosić twoje towarzystwo. A teraz wybaczyć, ale chciałabym wysłuchać przynajmniej ostatniego aktu w skupieniu – mówiąc to, ruszyła z powrotem do łóżka. Michał miał ochotę chwycić ją i potrząsnąć. Zamiast tego, sam nie wiedział czemu, ruszył za nią.

Starła się ignorować jego obecność. Owszem, pomógł jej na schodach, ale gdyby nie szedł za nią, gdyby nie pożałował jej wzrokiem, to nie zrobiłaby tego nieostrożnego kroku i nie musiałby jej chwycić. Przy tych wszystkich ludziach. Jutro cały Lwów będzie huczał od plotek, a wszystko za sprawą starej księżnej Komańskiej, która nie omieszkała zwrócić uwagi, jak to ją kawaler dzielnie uratował. Znowu czuła na sobie jego wzrok. Żeby go diabli porwali!

Ojca dostrzegła w łóżku prezydenta. O święci pańscy! Na szczęście to ostatni akt. Jakoś wytrzyma. Próbowała się skupić na tekście i już jej się to niemal udało. Nawet zapomniała na chwilę o intruzie obok, kiedy poczuła jego dłoń na swojej. Odruchowo zacisnęła palce, bo akurat Hrabina, czyli wspaniała Salomea Kruszelnicka wzniosła się głosem pod niebo. Anna oprzytomniała, kiedy pułkownik uniósł jej dłoń do ust i pocałował. Z zaskoczenia nie zaprotestowała. Wpatrywali się w siebie, aż Michał rozchylił drobną rączkę i pocałował jej wnętrze.

Boże, chyba oszalała. Dotykała twarzy tego człowieka, a on patrzył na nią tak... intensywnie. Nagle zapragnęła wrócić do domu, do swojego pokoju, ukryć się w swoim łóżku i nie wychodzić z niego do końca świata. Zabrała dłoń i zapatrzyła się na scenę, a on wyszeptał:

– Muszę już iść, maleńka. Ale wrócę po ciebie, pamiętaj.

Obróciła twarz, w której wściekłość walczyła o pierwszeństwo z zaskoczeniem.

– Daruj sobie, drogi panie. Nikt na ciebie nie będzie czekał. Jedynie psy mego ojca.

Znów odwróciła się w stronę sceny, a on uśmiechnął się i wyszedł.

Do końca aktu nie mogła się uspokoić. Miała wrażenie, że to był jakiś upiorny sen. Rozboleła ją głowa. Wróci po nią. Cóż to miało oznaczać? Porwie ją? Niechby tylko spróbował. Nie ma pojęcia, na kogo trafił. Mało kto wiedział, że świetnie jeździła konno, a to dzięki braciom, Maurycemu i Ksaweremu. Zresztą, mając ich po swojej stronie, nie miała się czego bać. Mimo to, wróciwszy

do domu, leżała jeszcze długo w łóżku, zanim zasnęła, rozmyślając o człowieku, który obiecał po nią przyjść.

Tymczasem Michał zbiegł po schodach i w pośpiechu opuścił westybul, korzystając z tego, że nikt go nie zatrzymuje. Zły był na siebie, że musiał zostawić hrabiankę Lipińską. Musiał spuścić ją z oka i ta myśl niespodziewanie wyprowadziła go z równowagi. Nie znosił nie dotrzymywać słowa, a obiecał, że będzie czekał po przedstawieniu. Dlatego wyszedł, czego już żałował. Zarzucił na plecy gruby wojskowy płaszcz i udał się na plac. Zimno uderzyło w niego jadowitym wiatrem. Z rozkoszą wciągnął w płuca ostre powietrze. Przyjemnie chłodziło rozgrzaną głowę. Powóz podjechał jak na zawołanie. Dukajski wskoczył do niego, po czym woźnica jak zawsze skierował pojazd na tyły budynku teatru. Z bocznego wyjścia wyłoniła się drobna postać otulona w kożuch. Sam jej go kupił, żeby nie marzła w wieczory takie jak ten. Otworzył drzwi, a ona, zwinna jak kot, dostała się do środka i natychmiast przywarła do niego całym ciałem.

– Tęskniłam za tobą, kocurze – wyszczała mu do ucha i zamruczała. Jej dłoń bezbłędnie trafiła pomiędzy jego uda. Sprawnie masowała wrażliwe miejsce. Zazwyczaj go to podniecało i zanim dojeżdżali do jej mieszkania, siedziała mu już na kolanach, jęcząc i wijąc się w rytmie wystukiwanym przez końskie kopyta. Tym razem wydało mu się to wszystko sztuczne i wulgarne. Pocałunki udawane, a jej zachowanie nachalne i obrzydliwe.

Mathilde albo raczej Matyldę, bo tak miała na imię młoda aktorka, wypatrył na ulicy. A właściwie usłyszał jej głos. Głęboki, wibrujący i poruszający nawet w nim jakąś czułą strunę. Kazał ją obsadzić w przedstawieniu, oczywiście sporo go to kosztowało, podobnie jak lekcje śpiewu i gry aktorskiej. Drobna blondynka o beczelnym spojrzeniu zrobiła na nim tak duże wrażenie w czasie występu, że jeszcze tego samego wieczoru czekał na nią jego powóz. Specjalnie mu się nawet nie opierała, wiedząc, że obydwójce skorzystają na tej znajomości. Ona zyskała wygodne mieszkanie, ładne stroje i protektora. On miał kobietę, która na niego czekała, zawsze chętna i gotowa spełnić każdą jego zachciankę.

Matylda była przeciwieństwem hrabianki Lipińskiej. Niewykształcona, nic jej nie zawstydzalo, nie krępowały żadne konwenanse. Pod każdym względem była mu posłuszna, jakby stworzono ją, by zaspokoić jego zachcianki. Lipińska zaś buntowała się już teraz, a co dopiero gdyby musieli przebywać ze sobą dłużej. W dodatku Mati była niewysoką blondynką, więc nawet fizycznie różniła się od Lipińskiej. Mimo to ciągle miał w głowie czarnowłosą kobietkę, z której oczu sypały się iskry, ilekroć na niego spozjrzała.

– Zostaw. – Chwycił przegub jej dłoni i odepchnął.

Spróbowała jeszcze raz, przekonana, że to kolejna zabawa.

– Mówiłem zostaw – warknął. – Nie słyszałaś? – Tym razem odepchnął ją, aż wcisnęła się w kąt siedzenia.

– Michaś, co si z tobą dziji? – zapytała zatroskana i szczerzej otuliła się kożuchem. Automatycznie pojawił się w jej głosie lwowski zaśpiew. – Coś si stało? Interesa nie idu?

– Mów normalnie. – Nie po to inwestował pieniądze w jej edukację, żeby mówiła jak lwowski batiar. Rzadko jej się to już teraz zdarzało, ale nadal czasem niespodziewanie zaczynała tak mówić.

Fuknęła tylko w odpowiedzi, ale wiedział, że od tej chwili będzie się już pilnowała.

Michał zdał sobie nagle sprawę, że ona nie zdenerwowała się tym, że ją połajał, czy że odepchnął. Nie była smutna. Ona nigdy nie obrażała się, nie okazywała emocji. Przecież go nie kochała. Wiedział o tym, a jednak poczuł, jakby runęła jakaś wielka iluzja. Jakaś bańka, w której żył, eksplodowała, a on został zupełnie sam. Z obcą dziewczyną siedzącą obok, która bardziej ceniła jego pieniądze niż jego samego.

– Mati, kim dla ciebie jestem? – zapytał zaskoczona dziewczynę. Siąknęła nosem i przysunęła się do niego.

– Jak to kim? Moim panem i władcą, moim kocurem, moim słodkim księciem – szeptała, a ośmielona tym, że nie reagował, wbiła nos w jego szyję i przesunęła językiem aż do ucha. Uchylił się, zanim wilgotny język zdążył zanurzyć się w małżowinie, i spojrzął jej w twarz. W ciemności

widział, jak błyszczą jej oczy. Poczul zapach alkoholu. Musiała pić, żeby z nim pójść do łóżka? Chwyił dłonią drobną twarz.

– Nie pytam o to, kim jestem w tej zabawie. Kogo we mnie widzisz? Jakiego człowieka?

Patrzyła na niego zaskoczona. Zobaczył w jej oczach wahanie. Wreszcie wyswobodziła się i westchnęła.

– Wiem, że jesteś porządnym chłopem. Masz klasę i nie jesteś skąpy. Dziewczyny opowiadają różne historie. Sam wiesz... Niektóre muszą znosić takie rzeczy, że od słuchania mdli. Ty nie masz dużych wymagań. Może gdybyś tylko nie kazał mi się uczyć... Normalny jesteś. Ot co. – Wzruszyła ramionami. Chwyliła go za rękę i podniosła ją do ust.

– Daj spokój. – Wyrwał dłoń, więc przytuliła się do niego. Chwilę siedział bez ruchu, zastanawiając się nad tym, co mu odpowiedziała. Normalny. Mógł o sobie powiedzieć wiele, ale nie to, że był normalny. Nie z jego przeszłością, z jego bólem i ranami. Tacy jak on nie potrafią normalnie żyć. Tacy jak on nie zasługują na wdzięczność czy przywiązanie. Wbrew swoim myślom objął Mathilde, a ona wtuliła się w niego ufnie. Gdyby był normalny, nie znalazłby się w Armii Cesarskiej i Królewskiej. Gdyby był normalny, siedziałby w swoim majątku albo jeździł po świecie i wydawał pieniądze z takim trudem zarobione dla niego przez innych ludzi. Gdyby był normalny, nie ryzykowałby życia w walce, nie prowadził karkołomnych interesów z podejrzanymi typami. Gdyby był normalny, znalazłby sobie już dawno żonę i dochowałby się gromadki dziedziców fortuny, którą pomnażałby czasem wbrew sobie, najczęściej dlatego, że uwielbiał ryzyko. Nawet jego brat, Franciszek, nie zdawał sobie sprawy, jak bogatym człowiekiem był Michał.

Tymczasem powóz zatrzymał się i Mati wysunęła się z objęć Dukajskiego.

– Wejdiesz? – zapytała.

– Dziś nie. Odpocznij. Może jutro.

– Wejdz. Widzę, że potrzebujesz towarzystwa. – W jej głosie brzmiała troska. Ktoś się o niego troszczył. Nawet jeśli musiał za to zapłacić, dziś rzeczywiście tej troski potrzebował.

Poszedł za Mati do niewielkiego, skromnie, ale przytulnie umeblowanego mieszkania w kamienicy stojącej w jednej z bocznych uliczek przecinających ulicę Gródecką. Sam zapłacił za miękkie dywany, dobre meble i wygodne łóżko. Nie znosił bylejakości. Cenił komfort i luksus, a żadnej z jego kochanek to nie przeszkadzało, skoro same z tego korzystały.

Dziewczyna chciała zapalić lampę, ale odwiódł ją od tego pomysłu. Wsunął ręce pod jej kożuch, dotykał, ścisnął, zgniatał w dłoniach miękkie ciało. Pomieszczenie wypełniły ciche jęki i przyspieszone oddechy. Zrzuciła okrycie i pomogła mu zdjąć mundur. Nie zdążyła wypłatać się z sukni. Odwrócił ją tyłem do siebie. Szarpnął i bielizna ustąpiła z trzaskiem. Dziewczyna drgnęła, ale nie zaprotestowała. Wypięła pośladki, żeby ułatwić mu dostęp. Nie broniła się i nie buntowała.

– Anna – wyszeptał jej do ucha.

– Dla ciebie mogę być, kim zechcesz – odpowiedziała mu.

Już wiedział. Uległość. Zrozumiał, co różniło te dwie kobiety i czego potrzebował. Jedno było pewne, miał dość uległości. Oparł czoło o chłodną ścianę. Oddech odbijał się od twardej powierzchni i wracał do niego. Jak wtedy, gdy zostawał sam. Mgliste wspomnienie sparaliżowało go na moment. Otrząsnął się ze wspomnień, gdy podniecona Matylda w pierwszym odruchu chcąc go naprowadzić, sięgnęła dłonią do jego męskości, ale zaraz się cofnęła. Obróciła się w jego ramionach i chciała się zsunąć niżej. Zatrzymał ją.

– Zostaw.

– Zaradzimy coś na to. Takie rzeczy się zdarzają. – Dziewczyna najwyraźniej myślała, że miał problem. – Chociaż mój kocur zawsze był taki twarrdy. – Poruszyła ręką, próbując wymusić wzwód. Chwylił jej nadgarstek.

– Zostaw mówię. – Poprawił spodnie i zaczął szukać munduru.

Dziewczyna stała zdezorientowana pod ścianą, przyciskając dłonie do piersi.

– Masz inną? – wyrzuciła z siebie. – Kto to?

– Daj spokój – rzucił i nie patrząc na nią, zaczął zapinać guziki munduru.

– Jeśli to ta wywłoka Mańka...

– Nie bądź śmieszna – przerwał jej. Podszedł blisko, chwycił dłonią za jej twarz i pocałował. – A następnym razem bądź bardziej... – Patrzył w jej połyskujące w ciemności oczy i zastanawiał się, gdzie go zaprowadzi gra, w którą chciał ją wciągnąć. – Bardziej niedostępna.

Zanim wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, wiedział, że Mati nie uda się zastąpić hrabianki Lipińskiej. A on nie zazna spełnienia, póki nie zobaczy tych roziskrzonych oczu wpatrzonych w niego. Poprzysiągł sobie, że dowie się wszystkiego o Lipińskich i w ten czy inny sposób dostanie ją w swoje ręce.

## ROZDZIAŁ II

### Bal

Mania poprawiała falbanki na bladobłękitnej sukni Anny. Dziewczęta wychowywały się razem od czasu śmierci rodziców Mani w pożarze. Hrabia Lipiński przygarnął daleką kuzynkę pod swój dach, żeby nie trafiła na ulicę. Mania została sama, praktycznie bez żadnego majątku. Z czasem stała się powiernicą i przyjaciółką hrabianki, a także towarzyszyła jej w codziennych czynnościach jako asystentka. Dziewczyna była w zasadzie jeszcze dzieckiem. Ciemnowłosa, z dziecinną buzią o dużych, naiwnie patrzących oczach, sprawiała wrażenie zdziwionej albo przestraszonej. Zawsze gładko uczesana, pilnowała, by jej kręcone włosy nie wymykały się z upięcia. Suknie donaszała po kuzynce. A że była od niej niższa i szczuplejsza, wręcz chuda, to suknie starczały na dłużej. Anna zauważyła, że ciało Mani w ostatnim czasie zaczęło rozkwitać, a jej kształty zmieniły się na nieco bardziej kobiece. Nie zmieniła się natomiast jej obsesja utrzymywania wszystkiego w porządku i ładzie. Od ubrań po drobiazgi, które Anna wiecznie rozrzucała po swoim pokoju, a Mania starannie je segregowała i równo układała na toaletce, nocnej szafce lub biurku.

Tym razem dziewczyna pomagała Annie szykować się na bal u Andrzeja i Krystyny Potockich. Bal ważny, a może nawet najważniejszy w tym roku, bo u samego namiestnika Galicji. Dla Anny był to bal wyjątkowy. Miała na nim błyszczeć. Przynajmniej takie było jej wyobrażenie o tym wieczorze. Potoccy byli jedną z najbardziej wpływowych i najbogatszych rodzin w mieście. Być u nich to jakby wejść do najdroższego magazynu z sukniami i mieć możliwość obejrzeć na własne oczy, na żywych modelkach, co się nosi w świecie. To była parada bogactwa, popis władzy i siły, choć często stanowił fasadę, za którą nie kryło się nic więcej, z czego Anna doskonale zdawała sobie sprawę. Ile się słyszało o bankrutach polujących na bogate panny i o utracjuszach szukających rozrywki w uwodzeniu młodych, niedoświadczonych panien lub nawet mężatek. Z drugiej strony byli też ci bogaci, dorabiający się majątków na swoich przedsiębiorstwach, kopalniach i hutach, pragnący wkupić się w grono wysoko urodzonych, które wbrew pozorom otwartości wciąż stanowiło hermetycznie zamkniętą kastę. Dodatkowo ci mający zaproszenia do Potockich byli jeśli nie tak samo wpływowi i bogaci, to przynajmniej starali się na takich wyglądać.

Zanim Anna pokazała się w towarzystwie, papa zamówił dla niej kilka najmodniejszych sukien, które sprowadzono aż z Paryża. Były to głównie pastelowe, delikatne i dość proste kreacje. Na ten bal suknia jednak musiała być wyjątkowa. Modna, ale jednocześnie klasyczna i oszalałamiąca, a przy tym skromna, co nie było łatwe, bowiem jedynymi ozdobami stroju mogły być falbanki, zakładki i marszczenia. Choć co bogatsi ozdabiali suknie perłami, które nie rzucały się w oczy, lecz pokazywały w sposób oczywisty zamożność rodziny.

Zazwyczaj blade panny niknęły w swoich pastelowych tiulowych toaletach, ale Annie to nie groziło. Po matce odziedziczyła ciemne włosy i piękną, jakby muśniętą słońcem cerę.

– Wyglądasz cudownie, jak anioł – zachwycą się Mania.

– Dziękuję. – Anna odwzajemniła się uśmiechem. – To dzięki tobie, kochana.

Mania posmutniała i zaczęła sprzątać drobiazgi z toaletki.

– Jesteś po prostu śliczna. Nie to, co ja...

– Co ty opowiadasz, Maniu, kochana! – Anna chwyciła kuzynkę za rękę i uściskała. – Jesteś śliczną dziewczyną!

– I biedną...

– Maniu...

– Ale nie zwracaj uwagi na moje gadanie. – Mania ożywiła się i z błyszczącymi oczami dodała:

– Ciesz się swoim debiutem. Dzięki tobie i wujowi mam gdzie mieszkać i nie przymieram głodem, a to w mojej sytuacji ważniejsze niż suknie i kawalerowie. Zresztą, są inne powody, dla których zawsze będę sama.

– Co też ty wygadujesz, kochana? Jesteś jeszcze taka młodziutka i masz dużo czasu. Zobaczysz, przyjdzie dzień, w którym będę ci gratulować przy ołtarzu. Poza tym małżeństwo to żadne



dobrodziejstwo dla nas.

Mania układała w zapamiętaniu szpilki do włosów, nie patrząc na kuzynkę.

– To się tylko tak mówi, że to jak niewola dla kobiety. Ale bez męża co nas czeka? Los starej panny bez środków do życia. Mąż jest jak opiekun, jak gwarancja, że nie zginiemy z nędzy. Ot co.

– Nigdy nie będzie nam, kobietom, lepiej, jeśli będziemy się godzić na wychodzenie z niewoli rodzicielskiej po to tylko, żeby znaleźć się w niewoli mężowskiej! Nigdy nie będzie inaczej, jeśli zostawimy to w rękach najmniej zainteresowanych zmianą, czyli mężczyzn! – Anna weszła na swój ulubiony temat. Zerwała się z miejsca i wymachiwała szczotką.

Mania w takich momentach podziwiała ją jeszcze bardziej. Chciała być jak ta młoda, waleczna kobieta, która nie obawiała się niczego. Tyle że Anna miała za sobą kochającą rodzinę, a Mania była sama jak palec. Jej jedyną rodziną była właśnie hrabianka Lipińska.

– Maniu, kobieta jest takim samym człowiekiem jak mężczyzna. Mamy prawo żyć tak, jak nam się podoba, z kim chcemy i nawet w małżeństwie realizować swoje plany. Zobaczysz, któregoś dnia kobiety będą posłami, dyrektorami banków i będą głosować. Będą mogły robić wszystko to, co mężczyźni. W niektórych krajach już tak jest! Ale trzeba o to walczyć! Trzeba się nie zgadzać z tym, co zastałyśmy. Rozumiesz? – Hrabianka odłożyła szczotkę i chwyciła Manię za ramiona. Ta tylko potaknęła bez słowa, wpatrując się w czubki trzewików. – Pamiętaj, nie wolno nam się poddawać!

– Wolność, Aniu, jest dla takich jak ty, bogatych. Nam, biednym i samotnym, zostaje posłuszeństwo – szepnęła dziewczyna.

Anna objęła ją i z całej siły uściśnęła.

– Maniu, nie jesteś sama. Masz nas. Głowa do góry!

– Kiedyś wyprowadzisz się do męża, a ja tu zostanę – dodała dziewczyna.

Anna odsunęła ją od siebie i pogłaskała po policzku.

– Nie zostawię cię tutaj. Póki nie znajdziesz męża, będziemy razem. Gdziekolwiek pójdę, ty będziesz ze mną, Maniu. A teraz rozchmurz się. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Mania patrzyła na nią z uwielbieniem. Młoda hrabianka była taka wspaniała. Piękna, mądra i dobra. I w dodatku była jej kuzynką, przyjaciółką. Póki były razem.

Anna zamyśliła się, kiedy dziewczyna wyszła. Nigdy nie zastanawiała się nad losem Mani. Choć ta była od niej młodsza i miała ledwie szesnaście lat, to przecież kiedyś powinna wyjść za mąż. Ale jak ma poznać odpowiedniego kawalera, skoro nie będzie na balach, a i o posagu nie ma co marzyć? Anna postanowiła porozmawiać o tym z papą. Przecież dziewczyna odziedziczyła po rodzicach jakiś majątek. Nawet jeśli niewielki, to powinien umożliwić jej start w dorosłość i znalezienie porządnego kawalera. Szybko jednak troskę o przyjaciółkę zastąpiła ekscytacja balem w wytwornym pałacu. Karnawał dopiero niedawno się rozpoczął, a Anna nie mogła się doczekać, aż wreszcie papa zorganizuje bal dla niej. Być zaproszoną na bal do Potockich to zaszczyt, ale i szansa poznać wreszcie jakichś sensownych młodzieńców oraz spełnić marzenia ojca, bo ona marzyła o czymś zupełnie innym. Anna zerknęła w lustro, zabrała woreczek oraz wachlarz i zeszła do holu, gdzie czekał ojciec z jej braćmi. Widziała, jak rozbłyły im oczy na jej widok. Czują się piękna. Mówił jej to zachwyty malujący się w ich oczach.

– Tak bardzo przypominasz matkę – szepnął ojciec, bo gardło miał ściśnięte z przejęcia. Drugi raz już słyszała od niego ten wzruszający komplement. Nawet ona dostrzegała podobieństwo do matki, której duży portret wisiał w salonie. Papa miał też w swoim apartamencie jej niezbyt wyraźną fotografię. Gdyby Anna nie wiedziała, że to matka, której obraz niemal zamazał się w jej pamięci, z pewnością mogłaby myśleć, że to wizerunki jej samej. Niekiedy zdawała sobie sprawę ze swej urody, a co za tym idzie z przewagi, jaką miała nad innymi dziewczętami.

– No, siostrzyczko, czuję, że dziś wszyscy kawalerowie będą ci jeść z ręki. – Maurycy utwierdził ją tylko w przekonaniu, że wygląda naprawdę dobrze. Odpowiedziała mu z uśmiechem i trzepnęła go wachlarzem w przedramię.

– Ty za to masz konkurencję w postaci Ksawerego.

– Co najwyżej może robić za moje tło – odparł wyniośle Ksawery.

Anna przewróciła oczami i wkroczyła pomiędzy braci, zanim Maurycy zdążył zrewanżować się Ksaweremu ciętą ripostą.

– Tylko nie zaczniście się kłócić jak panny na wydaniu o to, który z was jest piękniejszy.

Bracia byli nie mniej elegancy niż ona. Obowiązkowo w czarnych frakach, białych kamizelkach, starannie wystrzyżeni, pachnący i z błyszczącymi z emocji oczyma wydawali się uosobieniem młodości i męskiej siły. Była z nich taka dumna. Maurycy przypominał ojca, zaś Ksawery zdecydowanie był podobny do matki i siostry. Anna kochała braci, ale to z Maurycym rozumiała się bez słów i to jego stronę brała w dyskusjach. Obydwoje mieli podobne poglądy. Ksawery bywał uparty i dumny, w czym za bardzo przypominał siostrę, żeby móc się z nim zgadzać w czymkolwiek.

– Anna ma rację. Ruszajmy, żeby się nie spóźnić – popędził wszystkich ojciec.

Hrabianka Lipińska okryła się szczelnie futrem z białego lisa i najszybciej jak się dało wsiadła do powozu. Zaczął sypać śnieg i nie chciała, żeby zniszczyła się jej wspaniała fryzura ułożona przez Manię. Obok niej usiadł Maurycy, zaś Ksawery zajął miejsce obok papy. Woźnica pognął konie i ruszyli wolno rozkołysanym na wybojach powozem w stronę miasta pokrytego już cienką warstwą białego puchu.

Lwów, mimo późnej pory, nie spał. Ulicami, na których chlupotała rozjeżdżona kołami szara breja, przejeżdżały powozy, a w wielu oknach widać było poblask lamp. Miasto w ostatnich latach rozkwitło i rozrosło się. Dużo się budowało, jak choćby wspaniały gmach teatru, który powstał nad zasklepionym korytem Pełtwi. Podobno muzycy w kanale przed sceną słyszeli szum rzeki w podziemnym korycie. Niemniej gdyby Anna nie wiedziała, że pod placem i budynkiem jest rzeka, nigdy by na to nie wpadła.

Lwów i jego mieszkańcy byli pod wyraźnym wpływem Wiednia, co dało się odczuć nie tylko w architekturze, ale też w modzie i zwyczajach. Spośród wszystkich trzech rozbiorów to właśnie ludność polska w Galicji pod rządami Austriaków cieszyła się największymi swobodami i przywilejami. Po pierwszym rozbiore w 1772 roku i początkowo silnej germanizacji Galicja z czasem uzyskała nawet prawo utworzenia własnego rządu we Lwowie oraz powoływania namiestnika spośród miejscowych Polaków. Dzięki temu stała się ośrodkiem działalności niepodległościowej.

We Lwowie jak w soczewce skupiały się dążenia różnych nacji, dochodziło do największych tarć, kumulowały się konflikty interesów. Najwięcej było tu Ukraińców i Polaków, sporo Żydów i Niemców. Jednak najczęściej byli ze sobą skonfliktowani Polacy i Ukraińcy żyjący tu od wieków, bo dla tych drugich Galicja odgrywała równie ważną rolę jako ośrodek ruchów niepodległościowych.

Galicja swoje przywileje zawdzięczała aktywnie działającym w Wiedniu polskim magnatom, Ukraińcy zaś zostali zepchnięci do roli mniejszości, choć w rzeczywistości było ich więcej niż Polaków. W dodatku z racji najczęściej dużo niższego statusu majątkowego nie mieli odpowiedniej liczby reprezentantów w krajowym sejmie. Pojawiły się głosy wzywające do zmiany ordynacji, zwłaszcza że zbliżały się kolejne wybory do sejmu krajowego. W mieście czuło się gdzieś podskórnie buzujące emocje, rodzaj napięcia drażącego miasto jak ukryte pod ziemią koryto Pełtwi. Krzyczały o tym gazety, krzyczały coraz częściej zbierające się na ulicach tłumy, krzyczeli studenci. Tylko arystokraci szeptali pokątnie i ze strachem, że stary porządek się chwieje, a nowe idzie nieubłaganie.

Mimo tych wszystkich napięć miasto, nad którym powiewała czerwono-biała flaga Królestwa Galicji i Lodomerii, rozwijało się i piękniało z dnia na dzień jakby na przekór tym, którym zależało na skłóceniu dwóch narodów. Niewysokie, ale bogato zdobione lwowskie kamienice, ciasno przylegające do siebie, wyznaczały granice brukowanych uliczek oświetlonych teraz gazowymi lampami. Drzewa porastające wzgórza i parki wstydliwie okryły się śnieżną kołdrą skrzącą się od świateł i księżycowego blasku.

Anna wyglądała przez okienko powozu i zachwycała się tym widokiem. Podobno Lwów przypominał Paryż z racji niskiej zabudowy i architektury kamienic. Hrabianka Lipińska obiecywała sobie, że kiedyś odwiedzi stolicę Francji i sama porówna te dwa miasta. Tymczasem powóz, terkocząc,

zajechał przed rześcicie oświetlony pałac Potockich, gdzie trzeba było czekać na swoją kolej, żeby wysiąść przed głównym wejściem, ponieważ wciąż przybywali nowi goście. Wsparta na ramieniu ojca Anna weszła do ciepłego wnętrza. Odebrano od nich nakrycia wierzchnie. W westybulu gości witał namiestnik z małżonką. Annie trzęsły się nogi, gdy dygała przed Potockimi. Żona namiestnika sprawiała wrażenie skromnej i miłej. Ubrana w przepiękną zieloną suknię ozdobioną delikatną biżuterią, uśmiechała się życzliwie i komplementowała młodziutką hrabiankę, co onieśmieliło ją do reszty. Ojciec z zadowolenia aż poczerwieniał, gdy hrabia Potocki przyznał żonie rację. Choć piastował wysokie stanowisko, to wyglądał na bardzo skromnego i spokojnego człowieka. Zresztą, Anna wiele słyszała o jego działalności politycznej i dobroczynnej, choć nie do końca podzielała jego dążenia, w których obrał kurs kolizyjny w stosunku do ukraińskich mieszkańców Królestwa. Ale teraz, oczarowana spotkaniem z kimś tak ważnym i szanowanym jak sam namiestnik, nie myślała o tym. W głowie jej się kręciło z wrażenia, więc kurczowo trzymała ramię ojca. Gości kierowano schodami do sali, z której słychać było spokojną muzykę zagłuszaną szumem rozmów.

Sala balowa pałacu Potockich wyglądała cudowniej niż w snach Anny. Sam pałac robił wrażenie przepychem i zdawał się brać gości w swe ramiona, kiedy wchodziło się w jego prog. Wewnątrz ogromne lustra, kryształowe żyrandole i kinkiety powtarzały blask światła. Od duszącego zapachu rozgrzanych, uperfumowanych ciał Annie robiło się na zmianę zimno i gorąco. W głowie słyszała jednostajny szum. Muzyka przenikała gwar rozmów i dezorientowała. Wokół migotały uśmiechnięte twarze kobiet i mężczyzn. Przez chwilę zdawało jej się, że uśmiechy maskują drapieżne spojrzenia pełne zazdrości i pożądania. Cieszyła się, że może się oprzeć na ramieniu ojca, bo inaczej nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. Bracia trzymali się krok z tyłu, ale Anna kompletnie nie zwracała na nich uwagi. Dla Maurycego i Ksawerego takie fety nie były niczym niezwykłym. Dla niej to był dopiero drugi bal w życiu. Wszystko było nowe i wspaniałe. Kto wie, może z czasem nauczy się podchodzić obojętnie do otaczającego ją blichtru i bogactwa. W tej chwili jednak chłoneła wszystko łapczywie i zachłystywała się wrażeniami.

– Anno, kochana, tak się cieszę, że już jesteś! – Marynia Dzieduszycka, jej przyjaciółka, również teraz debiutowała, choć była rok starsza.

Ojciec zostawił Annę pod opieką rodziców Maryni, ponieważ hrabianka Lipińska nie miała matki, która mogłaby nad nią czuwać. Anna przywitała się z hrabią i jego piękną żoną. On nosił elegancki czarny frak, zgodnie z nakazami etykiety, ona zaś ubrana była w granatową aksamitną suknię podkreślającą jej nienaganną figurę lekkimi marszczeniami na piersiach i wcięciem w pasie. Dopasowane odcieniem do sukni klejnoty – naszyjnik, bransoleta i kolczyki – połyskiwały i onieśmiały. Zapewne warte były majątek.

Dopiero potem Anna uścisnęła przyjaciółkę, która raczej podobna była do szczupłego i bladego ojca niż do pięknej matki. Anna i Marynia poznały się poprzez rodziców. Hrabia Lipiński bywał w pałacu Dzieduszyckich, a Dzieduszyccy odwiedzali Lipińskich. Anna pamiętała, że matka Maryni przyjaźniła się od dzieciństwa z jej matką. Po śmierci Heleny Lipińskiej to właśnie Dzieduszyccy otoczyli opieką zdruzgotanego hrabiego oraz jego dzieci, które snuły się zdeorientowane po pokojach pałacu w Niesłuchowie. Z inicjatywy przyjaciół cała rodzina wróciła do Lwowa, żeby pod czujnym okiem hrabiny Marii w ich pałacu przy ulicy Kurkowej przeżyć w spokoju żałobę. Hrabina zaopiekowała się dziećmi przyjaciółki jak własnymi, póki ich ojciec nie doszedł do siebie. Chłopcy, zwłaszcza Ksawery, początkowo mieli ojcu za złe, że odsunął się od nich i pogрузzył w rozpacz. Żał do matki nie pozwalał im odnaleźć spokoju pod skrzydłami Dzieduszyckich. Natomiast Anna wyparła stratę i odcięła się od tego, co złe. Od pierwszego spotkania z Marynią stały się jak siostry. Były prawie w tym samym wieku, kiedy świat wydaje się niesamowicie interesującym miejscem pełnym tajemnic, które trzeba zgłębić, więc szybko odnalazły wspólny język. Różniły się bardzo nie tylko wyglądem. Pyzata, silna Anna dominowała mocnym charakterem, pewnością siebie, zawziętością. Ciekawa i pełna energii, ciągnęła za sobą chorowitą, bladą i nieśmiałą Marynię i namawiała ją do rozmaitych psot i wybryków, najczęściej wymierzonych w swoich braci. To Marynia zazwyczaj powtarzała, że nie przystoi. Anna za bardzo o to nie dbała. Spokój i bierna obserwacja świata nie leżała w jej naturze, tak

jak w naturze Maryni nie leżał bunt. Mimo to dziewczęta świetnie się rozumiały i uzupełniały, a dzięki Annie zmuszającej przyjaciółkę do zabaw w pałacowym parku Marynia przestała chorować i nabrała nieco pewności siebie.

Z rozrzwinięciem obydwie wspominały babkę Maryni, Alfonsynę, która dożyła sędziwego wieku, choć pod koniec przesiadywała najczęściej w fotelu w swoich pokojach z powodu problemów z poruszaniem się. Uwielbiały zaglądać do jej prywatnego apartamentu na piętrze, gdzie zawsze częstowała je słodkościami i opowiadała o hucznych balach i bogatym życiu, które wiodła jako młoda dziewczyna. Być może to właśnie wtedy narodziło się w Annie pragnienie, by podróżować, by poznawać świat i żyć pełną piersią. Kiedy Anna z Marynią cieszyły się swoim towarzystwem, ich ojcowie prowadzili długie i zawzięte dyskusje w bibliotece. Nawet kiedy Lipińscy wrócili do swojego lwowskiego pałacu, a potem do Niesłuchowa, żyte ze sobą dziewczęta spotykały się przy okazji wizyt i rodzinnych uroczystości. Z czasem wspólne żarty i zabawy przerodziły się w przyjaźń, a rozmowy w dzielenie się sekretami i marzeniami. Marynia mogła nie zgadzać się z Anną, ale niezmiennie ją podziwiała za odwagę w głoszeniu własnego zdania, za upór i wręcz łamanie konwenansów, co budziło zgrozę otoczenia, a nierzadko też samej Maryni. Anna za to nie mogła pojąć, jak można być taką pokorną i układną jak Marynia, tak zgadzać się na wszystko i uśmiechać, nawet gdy do śmiechu jej nie było. Od zawsze ją to złościło, więc starała się wlać w serce przyjaciółki odrobinę odwagi i stanowczości. Jednak okazało się to nieskuteczne. Marynia pozostała grzeczną panią, ku niezadowoleniu przyjaciółki.

Zanim oficjalnie rozpoczął się bal, dziewczęta podrygiwały niespokojnie z ekscytacji.

– Och, Maryniu, całą noc nie spałam. Czy zrobię odpowiednie wrażenie? Czy moja suknia jest wystarczająco modna? Czy ktokolwiek zaprosi mnie do tańca? – Wbrew temu, co sobie planowała, Anna odczuwała autentyczny niepokój. Przecież debiutuje się raz. I tylko raz ma się szansę poznać kogoś, z kim spędzi się całe dorosłe życie.

– Ależ Anno, wyglądasz wspaniale. Zachwycająco! Nie to co ja w tych mdłych szmatkach. Przypominam zjawę. Dlaczego nie możemy założyć tego, co chcemy, tylko te obrzydliwie jasne suknie?

Rzeczywiście, blady róż nie był najlepszym kolorem dla Maryni i miała rację, że jej jasna cera traciła na takim zestawieniu. Wręcz wydawało się, że dziewczyna jest chorobliwie zielonkawa, choć przecież nie była brzydka. Niestety, zwyczaj nakazywał, by debiutujące panny występowały wyłącznie w jasnych kreacjach mających symbolizować ich niewinność.

– Maryniu, przesadzasz. Jesteś śliczna. Zresztą, nie szata zdoła ozdobi człowieka. Ja bym nawet wolała, żeby mój przyszły mąż zakochał się nie w mojej sukni czy w mojej twarzy, ale w tym, kim jestem – odparła Anna, chcąc pocieszyć przyjaciółkę.

– Tak się tylko mówi. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że najbardziej liczy się w tym wszystkim majątek, a nie charakter, plany czy uczucia. – Marynia posmutniała i Anna doskonale ją rozumiała. Hrabianka Dzieduszycka była bodajże najbogatszą panną wśród obecnie debiutujących i mimo że majątek Lipińskich też był pokaźny, to zdecydowanie nie dorównywał Dzieduszyckim, a żaden szanujący się rodzic nie oddałby części swego mienia w niepowołane i, co gorsza, biedne ręce. Uczucia miały znaczenie drugorzędne, natomiast zdanie paniąki na wydaniu nie znaczyło zgoła nic. Tylko upór i charakter zalotnika mógł przekonać rodzinę do wyrażenia zgody na ślub. Anna się obawiała, że Dukajski mówił poważnie, iż przekona hrabiego Lipińskiego do oddania mu córki. Z drugiej strony jednak miała z ojcem bardzo dobre relacje i jako rozpieszczona ulubienica papy liczyła, że jednak jej opinia wniesie cokolwiek do sprawy. Poza tym, jak zauważyła po pospiesznym rekonesansie, Dukajskiego nie było na balu.

Szybko jednak i Anna, i Marynia zapomniały o swoich rozterkach, kiedy rozbrzmiały fanfary obwieszczające początek balu. Zaraz potem debiutująca młodzież weszła do sali balowej. Oczy wszystkich obecnych skierowane były na młodych. Czarne fraki kawalerów uroczo kontrastowały z jasnymi sukniami pań. Anna, idąc pod rękę z jakimś nieznanym młodym człowiekiem, którego przydzielono jej naprędce, czuła się tak, jakby brała udział w czymś ważnym, w uświęconym tradycją

niby obrządku, który miał zapewnić nowemu pokoleniu wszelką pomyślność. Szum rozmów nieco przycichł, ale miała wrażenie, że salę wypełnia oślepiające światło i szelest sukien. Uśmiechnęła się lekko do partnera, lecz on był chyba jeszcze bardziej przerażony niż ona. Kompletnie nic nie widziała, a jej dłonie aż pociły się z nerwów. Na szczęście etykieta nakazywała noszenie rękawiczek zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Dopiero kiedy wszyscy stanęli w rzędach, wodzirej zarządził poloneza, do którego w pierwszych parach ruszyli najznamienitsi goście według starszeństwa. Później mogli dołączyć do nich młodszy. Kiedy ucichł ostatni takt, chłopcy ruszyli w stronę dziewcząt, by zapisać się w ich karnecikach i zaprosić do kolejnego tańca. Anna nawet nie zauważyła, jak wielu mężczyzn ustawiło się do niej w kolejce. Drżącymi dłońmi notowała kolejne nazwiska.

Wreszcie rozległ się okrzyk „Alles Walzer!”, a zaraz potem pierwsze, jakby leniwe takty walca dające tancerzom czas na ustawienie się. Anna pamiętała go z lekcji tańca, na których musiała poznać nie tylko kroki, ale i całą masę wskazówek dotyczących przyzwoitego zachowania. Muzyka płynęła teraz szeroką, spokojną rzeką. Pierwszy taniec Anna tańczyła z młodzieńcem, którego nazwisko uleciało jej z pamięci równie szybko jak nieciekawa melodia. Płatał się i mylił nieustannie. Pary zaczęły wirować najpierw wolno, później coraz szybciej i szybciej, poganiane rytmem. Anna starała się dotrzymać kroku partnerowi i ratować go z opresji. Chłopak był tak skupiony na krokach, że nawet nie zamienili słowa, chociaż taniec to był jedyny moment na oczarowanie panien, na rozmowę z nimi i w konsekwencji na wybranie którejś z kandydatek na obiekt westchnień oraz starań.

Widok młodych kobiet i mężczyzn sunących jakby w powietrzu musiał być piękny, bo Anna zauważyła, że obserwujący taniec starsi uśmiechali się łagodnie, a niektórzy mieli nawet łzy w oczach. Szum sukien przypominających w czasie obrotów obłoki gnane wiatrem, blask światła odbijającego się w biżuterii i lustrach, tupot nóg, wirowanie. Wszystko to powodowało, że Anna oddychała coraz szybciej, a w głowie jej huczało.

Nie musiała czekać, aż któryś kawaler poprosi ją do kolejnego walca. Po każdym ustawiała się kolejka, mimo zapisanego niemal w całości karnetu. Nie wypadało nikomu odmówić. Nogi ją bolały i miała dość niezobowiązujących rozmówek. Na szczęście wreszcie poprosił ją do tańca przyglądający jej się od dłuższego czasu wysoki i przystojny młody mężczyzna. Nie tańczył dotąd z żadną panną, a Anna obserwowała go równie uważnie jak on ją. Oczywiście starała się, by się nie zorientował. Kimkolwiek był, sprawiał wrażenie smutnego i samotnego. Nie dało się nie zauważyć, że kilka zaintrygowanych jego zachowaniem dziewcząt rzucało w jego stronę zaciekawione spojrzenia i cicho szeptało między sobą. On jednak nie odrywał wzroku od Anny. Raz ich oczy się skrzyżowały. Ciemne źrenice patrzyły na nią z jakąś pretensją i żalem spod blond loków opadających na czoło, aż dziewczyna oblała się rumieńcem. Ukryła twarz za wachlarzem i odwróciła się. Wtedy on podszedł. Czują go za plecami, zanim się odezwał, pochylając się do jej ucha, tak jak wcześniej robił to w teatrze Dukajski. Na to wspomnienie Anna poczuła dreszcz, któremu towarzyszył wybuch złości. Czemu ciągle myślała o tym człowieku? Nie miała czasu się nad tym zastanowić.

– Czy *mademoiselle* poświęci mi następny taniec? – Usłyszała niski, wibrujący głos z obcym akcentem.

Odwróciła się wolno i podniosła wzrok. Mężczyzna nie był aż tak wysoki, jak to się wydawało z daleka, ale i tak Anna czuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić, gdy ich oczy się spotkały. Czas się zatrzymał, szum muzyki i gwar głosów zostały gdzieś w tyle. Mężczyzna ujął dłoń Anny iłożył na niej pocałunek ładnie, wręcz kobieco wykrojonymi wargami. Niespieszny i miękki. Szerokie, ciepłe dłonie budziły zaufanie. Kiedy skinęła na znak, że się zgadza, mimo że taniec z nią zarezerwował sobie już ktoś inny, objął ją tymi dłońmi w pasie i zaczęli wirować w rytm muzyki. Annie kręciło się w głowie. Zazwyczaj mężczyźni czarowali ją rozmową, starali się więc tańczyć wolno i ostrożnie. Nieznajomy bez słowa przyciskał ją do siebie, aż zrobiła się blada ze zmęczenia i z braku tchu. Wtedy zwolnił i wyszeptał:

- Czekałem cały wieczór, żeby z panią zatańczyć.
- Czemu pan czekał? – wysapała Anna.

– Wyglądała *mademoiselle* na zajęta.

– Nie aż tak – Anna nabrała powietrza, chcąc uspokoić oddech – żeby odmówić panu tańca. Choć nie wiem, z kim mam przyjemność.

Mężczyzna obrócił ją, aż zawirowało jej przed oczami.

– Adam Małaszewicz, Towarzystwo Naftowe Małaszewicz i Kompania. Do usług panny Anny.

– Pan zna moje imię? – Anna ze zdziwienia zmyliła kroki.

– Wystarczyło słuchać cierpliwie *ces jeunes*<sup>[1]</sup>. – Małaszewicz wskazał brodą na zbitych w kupkę młodzików pod ścianą. Niektórzy nie byli dużo starsi od niego. Jednak bił ich na głowę powagą i obyciem. Pochylił się do ucha Anny i dodał:

– Jeśli mi na czymś zależy, potrafię być bardzo cierpliwy. Zwłaszcza jeśli stawką jest *la plus belle fleur*<sup>[2]</sup>.

Przyjemny dreszcz przebiegł wzdłuż kręgosłupa Anny. Podniosła wzrok na partnera i obdarowała go uśmiechem. Dukajski powinien się uczyć od Małaszewicza, jak zaimponować dziewczynie. Zachowała tę myśl dla siebie.

– Doprawdy jest pan bardzo miły, ale tyle tu pięknych kwiatów. I z pewnością z bogatszych ogrodów niż ja...

– Ależ niech panienka nie będzie taka skromna. A wielkość ogrodu to w moim przypadku sprawa drugorzędna. Mam dość pieniędzy, by kupić nie jeden, a kilka takich ogrodów ze wszystkimi hrabiami, którzy tam mieszkają, nawet z ich córkami.

Serce Anny podskoczyło radośnie. Oto mężczyzna, który szuka prawdziwej miłości. Nie kieruje się żądzą zysku. W dodatku jest szarmancki i miły. No i cudownie pachnie. Nie dała jednak po sobie poznać, jak wielkie Małaszewicz zrobił na niej wrażenie.

– Skromności niestety nie da się kupić – rzuciła i czekała na reakcję.

Małaszewicz jednak nie zdenerwował się, czego należało się spodziewać po tak impertynenckiej uwadze. Odpowiedział jej uśmiechem. Muzyka ucichła, ale choć się zatrzymali, mężczyzna nie od razu odprowadził Annę do towarzyszek. Ucałował jej dłoń i odrzekł:

– Skromność to wada ludzi małych. Jeśli panienka pozwoli, odwiedzę ją w przyszłości i udowodnię, że do takich nie należę.

– Z przyjemnością się o tym przekonam – odparła.

Dopiero wtedy ją odprowadził. Zaraz potem zniknął i do końca balu już się nie pokazał. Anna była rozczarowana, ale postanowiła nie psuć sobie humoru. Tańczyła i dobrze się bawiła, mimo że już żaden partner nie zrobił na niej takiego wrażenia jak Małaszewicz. Nawet natrętny podpułkownik Kniaziołucki, który porwał ją do tańca i chyba sobie ubzdurał, że zatańczy z nią kolejny raz. Nie był może jakoś specjalnie brzydki, ale też urodą nie grzeszył. Niski i krępy, sprawiał wrażenie mocnego drzewa, które ciężko ruszyć z miejsca, co potwierdziło się w tańcu. Jego ruchom brak było lekkości i zwinności, lecz rzucało się w oczy, jak bardzo się stara. Z zaczerwienioną twarzą kontrastującą z jasnymi włosami przypominał sztandar, kiedy miotał się i szarpał partnerkę.

– Prześlicznie panienka wygląda. Jak królowa śniegu – szeptał jej do ucha, nachyliwszy się nieco zbyt blisko. Anna poczuła kwaśną woń potu, ale podziękowała za komplement i dodała z uśmiechem:

– Aż tak chłodne wrażenie robię?

– Wręcz odwrotnie – zaprzeczył gorliwie, a pot zrosił mu czoło.

– Więc nie wyglądam na chłodną? – dopytywała, kiedy podpułkownik tonął w pasach, najwidoczniej głowiąc się, co odpowiedzieć, żeby było wystarczająco błyskotliwie. Wreszcie wysapał:

– Wygląda panienka najpiękniej na tej sali. I jestem pewien, że cokolwiek panienka nie założy, efekt będzie zawsze tak samo satysfakcjonujący.

– Śmiało pan sobie poczyna, pułkowniku – odparowała.

– Zaledwie podpułkowniku, ale mam nadzieję na rychły awans – zmienił temat, a ona udała, że tego nie zauważyła. Zaświtał jej w głowie szatański plan.

– Przepraszam najmocniej, ale miałam okazję poznać ostatnio jednego pułkownika. Chyba

nazywał się Dukajski i stąd ta pomyłka.

– Znam pułkownika Dukajskiego. To wspaniały człowiek, bardzo honorowy i niebezpieczny, kiedy ktoś zajdzie mu za skórę. Oddany rodzinie i służbie. A gdzie panienka miała okazję go poznać, jeśli wolno wiedzieć?

Annę zdziwiły słowa Kniaziołuckiego, ale i przyjemnie zaskoczyły. Miała Dukajskiego za utracjusza i bawidamka, jednak, jak widać, koledzy znali go z innej strony.

– Przedstawiono nas sobie w teatrze.

– To dziwne, bo pułkownik nie przepada za teatrem, jedynie za aktorkami... – Tu Kniaziołucki się zmytygował. – Przepraszam najmocniej panienkę. Wymknęło mi się.

„Czyli jednak” – pomyślała Anna. Nie pomyliła się co do tego człowieka.

– Ależ nie szkodzi, drogi panie. Sława pułkownika wyprzedza go bardziej, niż pan myśli.

Muzyka umilkła, lecz żołnierz nie miał najwidoczniej zamiaru jej odprowadzić. Chrząknął i zapytał:

– Czy zechce mi panienka uczynić ten honor i zatańczyć jeszcze raz?

– Ależ drogi panie podpułkowniku, chyba nie chce pan, żebym stała się obiektem plotek! – Anna udawała oburzenie, choć w rzeczywistości wcale nie dbała o to, co powiedzą matrony siedzące na kanapach i zawistnie obserwujące dziewczęta wirujące po sali. Gdyby to Małaszewicz poprosił o kolejny taniec i naraził jej reputację na szwank, nie mrugnęłyby okiem.

Tymczasem Kniaziołucki był już niemal bordowy na twarzy.

– Ależ oczywiście, że nie. Proszę pokornie o wybaczenie. Czy mogę mieć nadzieję, że na następnym balu...

– Proszę próbować – weszła mu w słowo.

Podziękowawszy za taniec tak głębokim ukłonem, w trakcie którego niemal zamiótł parkiet włosami, odprowadził ją wreszcie do grupy pań spoglądających na nią z zazdrością. Niektóre zdążyła poznać, inne widziała pierwszy raz. Tylko Marynia patrzyła na nią życzliwie.

– Jaki on piękny – westchnęła przyjaciółka z maślanym wzrokiem wpatrzonym w oddalającego się Kniaziołuckiego.

Anna obejrzała się za nim i pomyślała, że faktycznie jest wspaniałym mężczyzną. Kobieta, którą zaszczyli swoimi względami, zapewne będzie z nim szczęśliwa. Czuła w nim jakąś miękkość i nieśmiałość, a fakt, że udało jej się go zawstydzić, świadczył na jego korzyść.

– Och, Maryniu, tu są sami cudowni kawalerowie.

– Wiem – odpowiedziała smutno dziewczyna. – I co z tego, skoro większość ustawia się w kolejce do ciebie, a ja tu stoję i nic się nie dzieje.

Maria oczywiście przesadzała, bo żadnego tańca nie miała wolnego. Była cudowną, ciepłą osobą. Idealne maniery i dobre serce powinny przyciągać jak magnes potencjalnych kandydatów do jej ręki, ale tych cech niestety nie dało się dostrzec gołym okiem tak jak urody. Anna pomyślała, że chciałaby mieć taką bratową. Uśmiechnęła się do siebie, bo przecież mogła coś w tej sprawie zrobić. Ucisnęła dłoń przyjaciółki.

– Nie przejmuj się, kochana. Mam przecucie, że podpułkownik Kniaziołucki jeszcze tu wróci, a jeśli nie on, to może ktoś inny. – Zrobiła tajemniczą minę. Kiedy to mówiła, poczuła, jak po jej plecach przebiega dreszcz. Obejrzała się, choć w zasadzie nie musiała. To był on.

Dukajski, wystrojony w galowy mundur, stał oparty o filar. Czyżby nie stać go było na porządny frak? Otaczał go wianuszek młodych mężczyzn. Górował nad nimi nie tylko wzrostem, ale też siłą i autorytetem oraz jeszcze czymś nieuchwytnym, co sprawiało, że przyciągał spojrzenia kobiet. Słuchał, czasem coś wtrącając, ale nie odrywał od niej oczu. Spojrzenie miał chmurne i być może ktoś bardziej płochliwy zadrżałby teraz. Anna jednak się nie bała. Zmierzyła go zimnym wzrokiem i odwróciła się do mężczyzny, który ukłonił się przed nią, upominając się o swój taniec. Rozbrzmiewały pierwsze takty walca, kiedy ona z uśmiechem skinęła wdzięcznie głową i wyciągnęła rękę w stronę partnera. Czuła, że każdy jej ruch jest obserwowany. Nagle mężczyzna zrobił krok w bok, a jej dłoń spoczęła w dłoni Dukajskiego. Wszyscy patrzyli. Nie miała wyjścia, musiała z nim

tańczyć. Nie omieszkała mu jednak zakomunikować, co o tym sądzi, zaraz po tym, jak odzyskała oddech, bo tak mocno przycisnął ją do siebie.

– To znowu pan. W dodatku bezczelny jak zawsze. – Odczuwała osobliwą przyjemność, patrząc w jego płonące stalowoszare oczy. Jakby galopowała na koniu w czasie burzy. Wiedziała, że ryzykuje, że dobrze wychowane panny tak się nie zachowują, ale jednocześnie czuła podniecenie i siłę, by przeciwstawić się żywiołowi. Etykieta nakazywała prowadzić lekkie rozmowy, a nie wyrażać wprost swoich myśli. Z jakiegoś jednak powodu, jeśli chodzi o Dukajskiego, Anna nie miała ochoty na umizgi i owijanie w bawełnę.

– Ten pan jeszcze mi podziękuje. Ja go tylko uratowałem od narowistej panny, a on zdaje się na tym wygrał – mówiąc to, pułkownik obrócił Annę i mocno przycisnął ją do siebie. Gdzieś w tle zobaczyła, jak uśmiechnięta Marynia tańczy w ramionach jej niedoszłego partnera.

– Podtrzymuję swoje zdanie. Jest pan bezczelny i w dodatku bez żadnego wychowania... – Przerwała, bo zakręcił nią i poczuła, że robi jej się słabo. Przywarła do niego mocniej, żeby nie upaść.

– Tak jest dużo lepiej. – Uśmiechnął się i powtórzył manewr, aż się szarpnęła.

– Proszę przestać! Natychmiast! Bo zostawię pana na parkiecie – zagroziła, ale nawet w jej uszach zabrzmiało to mało poważnie. Siła emanowała od niego wręcz na odległość. Ciało miał sprężyste i mocne. Każdy ruch wydawał się celowy i mający doprowadzić go do wyznaczonego celu. Poruszał się niczym kot spacerujący po krawędzi stromego dachu – pewnie, dostojnie, z nonszalancją. Drobną kobietą taką jak Anna nie mogła w żaden sposób z nim walczyć, lecz nie zbiło jej to z pantałyku.

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu i znowu ją obrócił. Czuła narastającą irytację i dziką chęć przyłożenia mu w tę uśmiechniętą twarz.

– Nie mogę się doczekać, kiedy cię ujarzmię, moja złośnico – wyszeptał w jej włosy, ponownie dotykając wargami ucha. Wbrew sobie poczuła przyjemny dreszcz, który szybko zdusiła w zarodku.

– Czyli jestem bezpieczna, bo to nigdy nie nastąpi.

– Nastąpi szybciej, niż myślisz, moja droga. – Zakręcił nią i odwrócił tak, że dostrzegła uśmiech obserwującego ich ojca. Zdrętwiała. Musiała porozmawiać z papą, zanim ten człowiek ją ubiegnie. Ale pocieszała się tym, że to zwykły żołnierz, a przecież ojciec wzbraniał się przed oddaniem jej znamienitszym mężczyznom. – Gdybym zechciał, mógłbym to zrobić jeszcze dziś, ale nie chcę zniszczyć twojej reputacji. Jeszcze na to za wcześnie.

– Mojej reputacji nic nie grozi, drogi panie.

– Skończ z tym panem. Obydwoje wiemy, że to długo nie potrwa, kiedy będziesz wykrzykiwać moje imię.

Annie zabrakło tchu. Czuła, jak krew uderza jej do głowy. Musiała wyglądać jak upiór. Nie obchodziła ją sala pełna ludzi, bo wściekłość krążyła jej we krwi. Gdyby nie trzymał mocno jej dłoni, rzuciłaby mu się do gardła. Wbiła palce w jego mundur, żeby nie zrobić czegoś głupiego, po czym z całej siły nadepnęła na oficerski but, starając się, by obcas trafił boleśnie w palce. Dukajski syknął i puścił ją, ale tylko po to, by ją obrócić. Uderzyła w jego piersi tak, że aż zadzwoniły jej zęby. Poprawiła w odwecie w drugą stopę.

– Igrasz z ogniem – syknął jej do ucha. Płynne żelazo w jego oczach zapłonęło. – W końcu spotka cię za to kara, maleńka.

Kiedy muzyka przestała grać, odetchnęła. Dukajski uklonił się i odszedł, ale do końca balu czuła na plecach jego wzrok. Więcej z nią nie zatańczył, ale też nie tańczył już z nikim innym, na co zwróciła uwagę Marynia. Sama Anna starała się, na ile mogła, ignorować niechcianego adoratora. W którymś momencie zniknął z sali i już do końca balu się nie pokazał, co dziewczyna przyjęła z ulgą.

Udział debiutujących panien, Anny i Maryni, nazajutrz rozszedł się echem w kręgach lwowskiej arystokracji. Spośród wszystkich panien na wydaniu to właśnie one znalazły się w centrum uwagi. Jedna z racji urody, druga z powodu majątku. Wszyscy zastanawiali się, kto wygra wyścig o rękę Anny, a kto o fortunę Dzieduszyckich. Bo że wyścig się rozpoczął, w to nikt nie wątpił.



Obydwie dziewczyny cieszyły się tego wieczoru ogromnym powodzeniem i w zaciszu salonów dyskutowano zawzięcie nad tym, jak potoczy się ich życie, choć same zainteresowane nie miały o tym pojęcia. Zbyt były zmęczone i jednocześnie pełne emocji, by wybiegać myślami dalej niż do następnego balu.

Tymczasem pierwszy w pałacu Lipińskich pojawił się Adam Małaszewicz. Do biblioteki, w której oczekiwał na niego hrabia z córką, wszedł pewnym krokiem z wysoko uniesioną głową. Ubrany zgodnie z najnowszą modą w dopasowane granatowe spodnie, żakiet i kamizelkę, które podkreślały błękit jego oczu i jasny, niemal pszeniczny kolor włosów, wyglądał jak mężczyzna bywały w świecie. W świetle dnia wydawał się jeszcze przystojniejszy. Gdyby Anna nie znała celu tej wizyty, pomyślałaby, że ma do czynienia z człowiekiem interesu, który przybył, by dobić targu. Było w nim coś władczego, coś, co kazało Annie cofnąć się o krok, gdy ucałował jej dłoń. Zasiadł w fotelu na wprost ojca, ale tak, że mógł też obserwować Annę, która z wyprostowanymi plecami i złożonymi na kolanach dłońmi przysiadła na brzegu kanapy niczym wzór dobrych manier i grzeczności. Na szczęście dziś z Manią wybrały prostą, ale ładną sukienkę w kolorze nieba. Na jej tle włosy Anny wydawały się jeszcze ciemniejsze, a cera była złocista.

W ciągu całej rozmowy błękitne oczy Małaszewicza rzucały jej twarde spojrzenia, których nie potrafiła zinterpretować. O ile w oczach Dukajskiego mogła czytać jak w otwartej księdze, o tyle Małaszewicz wydawał się nieodgadniony. Papa zaproponował gościowi degustację specjałów z kolekcji Baczewskiego, które przechowywał w specjalnym barku ukrytym pomiędzy dębowymi regałami wypełnionymi książkami, ale Małaszewicz odmówił.

– Staram się nie pić, żeby zachować *esprit sobre*, czyli trzeźwy umysł i czujność. To pomaga w interesach – tłumaczył.

– Słyszałem, że pan sporo inwestuje – zagadnął hrabia Lipiński i sam pociągnął solidny łyk brunatnego płynu z pękatego kieliszka.

– Od przyjazdu z Paryża staram się nie tyle inwestować, co gromadzić i pomnażać środki. Głównie kupuję grunty, na których spodziewam się znaleźć ropę. W tym celu założyłem Towarzystwo Naftowe Małaszewicz i Kompania, do którego przynależą zamożni posiadacze ziemscy dysponujący wolnymi środkami. Spodziewam się je pomnożyć w niedługim czasie.

Anna podskoczyła na wiadomość, że Małaszewicz przybył z Paryża. To wspaniałe wyzwolone i artystyczne miasto. Tyle o nim słyszała od babki Alfonsyny, a jeśli Adam tam bywał, równie dobrze mógł tam zabrać swoją żonę, która chętnie rozwinęłaby skrzydła w wielkim świecie. Kto wie, może nawet udałoby się jej dostać na ten paryski uniwersytet. Chyba Sorbonę. Anna postanowiła to sprawdzić jak najszybciej.

– Rzeczywiście, słyszałem o tym. Chyba Skrzyński odsprzedał panu swój majątek... – odpowiedział Lipiński gościowi.

– Pan hrabia widzę doskonale poinformowany. – Małaszewicz uklonił się w jego stronę z uśmiechem. – *Naturellement* rozumiem powody. Rzeczywiście, zakupiłem majątek w okolicy Borysławia, razem z roponośnymi działkami i przepięknym dworem, który potrzebuje kobiecej ręki. Bez kobiety dom jest tylko budynkiem. Czy *mademoiselle* zgodzi się ze mną?

Małaszewicz spojrzał na przysłuchującą się im Annę, która zaczerwieniła się zakłopotana wyrażoną wprost intencją konkurenta.

– Oczywiście, że się zgodzę. Kobieta wnosi do domu swoje serce i troskę, by domownicy czuli się w nim dobrze. Ale... – Anna zawiesiła głos i spojrzała na ojca. Patrzył na nią w napięciu, spodziewając się zapewne, że zacznie rozprawiać o ograniczeniach, które mężczyźni nakładają na kobiety, nie pozwalając im się rozwijać. Zawahała się, jednak postanowiła mówić dalej. Jeśli Małaszewicz ma się starać o jej rękę, powinien wiedzieć, na co się decyduje. – Ale kobieta nie powinna być tylko strażniczką domowego ogniska. Moim zdaniem powinna być wsparciem męża, jego najbliższym doradcą.

Z hrabiego Lipińskiego uszło powietrze. Obserwował teraz Małaszewicza, który z uśmiechem opuścił wzrok na swoje starannie wypolerowane buty i odchrząknął.

– Czyta *mademoiselle* Anna w moich myślach. Mądra żona to największy skarb męża, ale tak długo, jak długo nie ingeruje w jego sprawy.

Czyżby w przekonaniu Małaszewicza jej rola miała się ograniczać do układania poduszek w salonie? W oczach Anny zapłonął ogień. Zignorowała ostrzegawcze chrząknięcie ojca i nabrała powietrza, szykując się do wygłoszenia tyrady na temat inteligencji kobiet.

– Zgadza się z panem – wtrącił się hrabia Lipiński. – Mądra kobieta umie doradzić, ale też wie, kiedy zamilknąć. – Patrzył ostrzegawczo na Annę, która zmrużyła oczy i zacisnęła zęby.

– Sprawy męża są również sprawami żony, a przyszłość jej i całej rodziny zależy właśnie od jego decyzji. Czyż w tej sytuacji powinna milczeć, gdy wie, gdy jest w stanie przewidzieć, że małżonek postępuje niewłaściwie? – wyrzuciła z siebie, kompletnie ignorując ojca.

Oczy Małaszewicza rozbłysły, ale odpowiedział spokojnie, ani odrobinę nie podnosząc głosu.

– *Dans la situation exeptionnelle*<sup>[3]</sup> żona ma obowiązek reagować. Nie wyobrażam sobie, by stała beczynnie, *quand sa famille*<sup>[4]</sup> coś zagraża. Jednak to mają być sytuacje wyjątkowe. To mąż, jako głowa rodziny, winien ponosić wyłączną odpowiedzialność za to, by *cette famille*<sup>[5]</sup> była bezpieczna, a jej byt niczym niezakłócony.

– I na tym właśnie polega fenomen i tajemnica dobrego małżeństwa, żeby znaleźć kompromis – zakończył temat hrabia Lipiński, ubiegłszy córkę, patrzącą w zamyśleniu na Małaszewicza. – Zapraszam naszego gościa na obiad, który zapewne już czeka.

Małaszewicz nie skorzystał z zaproszenia, wymawiając się interesami w mieście. Anna pożegnała go z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony imponowała jej powaga i władczość, którymi emanował. Jeśli miałyby się podporządkować jakiemuś mężczyźnie, to tylko takiemu jak on. Do tego ten Paryż... Taki mąż był wrotami do lepszego, ciekawszego świata. Z drugiej jednak strony odniosła wrażenie, że w rozmowie nie był do końca szczery, że ważył słowa, że nie ujawniał wszystkiego. Mimo to przez tę tajemniczość i nieprzeniknione spojrzenie podobał jej się jeszcze bardziej. Miała nadzieję, że nie spłoszyła go dziś swoimi wywodami. Podała mu dłoń na pożegnanie, a on ucałował ją z namaszczeniem. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż hrabia Lipiński chrząknął kolejny raz w czasie tej wizyty. Małaszewicz podziękował wylewnie za możliwość spotkania Anny i wyszedł.

O ile na wizytę Małaszewicza Anna czekała z utęsknieniem i ciekawością, o tyle miała nadzieję, że Dukajski zapomniał o swojej obietnicy. Minął tydzień i pułkownik się nie pokazał. Niestety, zanim papa zorganizował dla niej obiecany bal, pułkownik w końcu zapukał do ich drzwi. Tym razem nie miał na sobie munduru, na co Anna od razu zwróciła uwagę, tylko długie spodnie, granatowy żakiet oraz pikowaną kamizelkę, spod której widać było białą koszulę. Mocny męski zapach wypełnił bibliotekę i drażnił nos dziewczyny. Mężczyzna musiał wylać na siebie chyba całą butelkę wody kolońskiej. I z pewnością odwiedził niedawno fryzjera, bo ciemne włosy miał krótsze niż w czasie ich ostatniego spotkania. Twarz i uszy zaróżowiły mu się od mrozu, który tego ranka nie zelżał, mimo że słońce przyjemnie przygrzewało za okami.

Anna celowo ubrała się dość skromnie w prostą kremową bluzkę i szarą spódnicę, żeby nie dawać pułkownikowi powodów do zachwytów. Włosy upięła w ciasny kok. Zresztą, jawnie okazywała mężczyźnie swoją niechęć od początku wizyty i nie reagowała na ostrzegawcze spojrzenia ojca. Sam Dukajski wydawał się jej zachowaniem raczej rozbawiony niż obrażony. Zgodził się zostać na obiedzie, który Anna najchętniej spożyłaby w samotności, a już na pewno nie w obecności tego człowieka, który z drwiącym uśmiechem na ustach rzucał jej śmiałe spojrzenia. Gdyby nie papa, wbiłaby mu widelec w gardło. Albo chociaż w oko. A najchętniej i tu, i tu. Ciekawe, czy wtedy byłoby mu tak wesoło? Pogrążona w myślach, grzebała widelcem w talerzu. Nie zwróciła uwagi, że Dukajski do niej mówi.

– Anno, pan pułkownik o coś pytał – upomniął ją ojciec z pretensją w głosie.

– Przepraszam – bąknęła i spojrzała na Dukajskiego. Gdyby miał odrobinę wstydu, powinien paść trupem. Ale on tylko się uśmiechał. – O co pan pytał, pułkowniku?

– Czy obiad panience nie smakuje, czy też coś panienkę gnębi, że apetyt nie dopisuje?

Anna miała mu powiedzieć, że to nie jego interes, ale w porę ugryzła się w język. Uwielbiała

mięso przyrządzane według starej receptury przez ich kucharkę Małgorzatę. Ale dziś nie skusiłoby jej ani to danie, ani nawet najwykwintniejsze desery. Ciągle czuła dotyk gorącej dłoni Dukajskiego na swojej dłoni, a jego zapachem wydało się przesiąknąć całe powietrze w pałacu. Wykrzywiła usta w parodii uśmiechu i głosikiem słodkim jak miód odparła:

– Straciłam apetyt z nadmiaru wrażeń. Pan pułkownik z racji wieku może nie pamiętać, jak to jest pokazać się w wielkim świecie, a jako mężczyzna nie wie, z jakimi emocjami wiąże się debiut w towarzystwie.

– I tu by się panienska zdziwiła. Aż tak leciwy nie jestem. – Stał w jego oczach błyszczała wesołością. – Natomiast doskonale pamiętam, jak męczące są nieustanne bale. W towarzystwie krążą legendy o najbardziej wytrwałych kawalerach, którzy niejednokrotnie zdrowiem, nawet życiem, przypłacali bywanie na salonach.

– Rzeczywiście, ma pan pułkownik rację – wtrącił hrabia Lipiński, zaśmiaawszy się serdecznie. – Sam pamiętam z młodości, jak to w sezonie niektórym zdarzało się zemdleć po zaliczeniu kilku balów z rządu. A i mnie raz taka słabość opanowała, żem myślał już o spisywaniu testamentu.

– Najlepsze lekarstwo na takie słabości to kieliszek koniaku od Baczewskiego – podsumował Dukajski.

– W rzeczy samej – zawtórował mu Lipiński, w odpowiedzi na co Anna przewróciła oczami. – Zapraszam w takim razie na kieliszek zacnego trunku do biblioteki. Anno, poproś proszę Władysława, żeby przygotował barek.

– Oczywiście, papo – odparła Anna i z ulgą opuściła mężczyzn. Niestety, nie nacieszyła się długo spokojem. Ojciec wezwał ją, żeby dotrzymała im towarzystwa. Kiedy weszła do biblioteki, hrabia właśnie opowiadał o jej braciach.

– Ksawery i Maurycy najchętniej spędzają czas na wsi. Doprawdy nie wiem, skąd to zamiłowanie do prowadzenia gospodarstwa.

– Przynajmniej hrabia ma pewność, że majątek jest właściwie zarządzany – skonstatował Dukajski.

– Naturalnie. Ale na wsi mają niewielkie szanse na znalezienie odpowiedniej partii.

Anna pierwszy raz słyszała o tym, że ojciec obawia się o znalezienie żon dla braci, dlatego spojrzała zdziwiona na papę. Myślała, że to raczej ona i jej zamążpójście spędza ojcu sen z powiek.

– No tak, w tym celu najlepiej pokazywać się w towarzystwie. Sam coś o tym wiem. Nie spotkałem dotąd odpowiedniej kobiety. – Tu Dukajski spojrział na Annę, zmrużywszy oczy i chrząknąwszy dla pewności. Ale ona tylko fuknęła, nie zwracając kompletnie uwagi na zdezorientowanego ojca, który przyglądał im się teraz uważnie.

– Pan, pułkowniku, ma tyle zajęć, że akurat ten aspekt zszedł na dalszy plan. Natomiast moi synowie aż tak zajęci nie są. Mogliby się po prostu bardziej postarać i częściej bywać w mieście. Ledwie skończył się bal u Potockich, a ich już wywiało do Niesłuchowa. Mrozów się obawiają, więc się pospieszyli. Nawet ich nie zdążyłem poinstruować. – Hrabia pokręcił głową ze smutkiem.

Rzeczywiście bracia Anny z samego rana po balu wyruszyli do majątku w Niesłuchowie. Dopiero przy śniadaniu, na którym się nie pojawili, Anna zorientowała się, że wyjechali. Oczywiście Maurycy zostawił dla niej karteczkę z uroczym wierszykiem pożegnalnym, z którego jednoznacznie wynikało, że zauważył zainteresowanie pułkownika jej osobą, a ich taniec na balu porównał do ujeżdżania dzikiego konia. Ciekawe, kto był tym dzikim koniem – zastanawiała się Anna, ze złości gniotąc karteczkę w dłoni.

– Faktycznie, oprócz garnizonowych obowiązków prowadzę sporo interesów. Jednak przy kobiecie nie wypada o nich dyskutować. – Słowa pułkownika wyrwały ją z zamyślenia.

Słowom Dukajskiego zawtórowało kolejne fuknięcie Anny. Też coś. Raptem zrobił się taki dobrze wychowany. Szkoda, że papa nie słyszał, co do niej mówił w czasie ostatniego balu. Dopiero by się zdziwił, gdyby wiedział, że dawno przeszli na ty, i nie tylko.

– Ale na balu u hrabiostwa Potockich synowie doskonale sobie radzili jak na miłośników wiejskiego życia. Tak samo zresztą jak panienska Anna, która zrobiła wśród kawalerów spore

zamieszanie. – Rzucił jej to swoje drwiące spojrzenie.

– Rzeczywiście. Ksawery i Maurycy chcieli towarzyszyć siostrze, ale okazało się to zupełnie zbędne. Anna świetnie sobie poradziła, nieprawdaż? – Ojciec ubiegł Annę, która tylko siłą woli powstrzymała się, by nie pokazać języka temu gburowi, Dukajskiemu. Zamiast tego uśmiechnęła się i dodała:

– Na balu było wiele bardziej rozchwytywanych panien.

– Nie sędzę – odpowiedział jej Dukajski. – I z pewnością żadna z nich nie była piękniejsza od panienki.

Annę zamurowało. Co ten typ znowu knuł? Z pewnością jego komplementy nie były bezinteresowne. Mimo swoich podejrzeń, podziękowała grzecznie i czekała na ciąg dalszy.

– Rozumiem, że teraz synowie przebywają na wsi. – Dukajski zmienił temat.

– Ależ skąd! Wczoraj wrócili. Obydwaj wizytują w mieście panny na wydaniu. Kto wie, może będą wreszcie jakoweś rezultaty tych wizyt – zażartował hrabia Lipiński.

– Zapewne panienka Anna z radością powitałaby ewentualne bratowe. – Dukajski zagadnął Annę, która nie mogła się nadziwić, że człowiek, który zwracał się do niej dotąd w sposób bezpośredni i, bądź co bądź, impertynencki, potrafi zachować przy ojcu pozory kultury. I to też ją irytowało. Wolalaby z nim porozmawiać sam na sam niż grać w tę grę pozorów. Mimo to odpowiedziała grzecznie:

– Muszę się z panem pułkownikiem zgodzić. Ciężko jest być jedyną kobietą w rodzinie, choć bracia od zawsze byli w stosunku do mnie bardzo opiekuńczy. Pod tym względem nie mam powodów do narzekań. To dwaj wspaniali kawalerowie, którzy traktują kobiety z najwyższym szacunkiem. – Anna miała nadzieję, że Dukajski odczyta aluzję. I nie pomyliła się. Oczy mu błysnęły, kiedy jej odpowiedział:

– Szacunek należy okazywać każdemu człowiekowi. Nie tylko kobietom, choć im szczególnie z powodu ich słabości i delikatności.

Michał widział ogniki w jej oczach. Czekał na to, aż uda mu się ją sprowokować. Gdyby chciał mieć za żonę jakąś, mdłą pannicę z nienagannymi manierami, mógłby wybierać i przebierać na salonach. On jednak chciał mieć kobietę z charakterem, która nie wahałaby się powiedzieć prawdy nawet za cenę złamania konwenansów. Od pierwszej chwili, wtedy w teatrze, wiedział, że znalazł taką kobietę i że to Anna. Za każdym razem przekonywał się o tym, a mimo to nadal nie wierzył. Przed dzisiejszą wizytą zastanawiał się, czy ona nie jest taka na pokaz, tylko przy nim. Ale teraz przekonał się, że nawet hrabia Lipiński jej nie kontrolował. W każdym razie nie do końca i jego nerwowe spojrzenia rzucane w stronę córki nie przynosiły efektu. Michał sam nie wiedział, czy bardziej chce ją taką, czy może pragnie uczynić z niej uległą, miękką kobietkę, która będzie spełniać jego zachcianki.

– I tym razem muszę się z panem zgodzić. Choć nie do końca. Kobiety są niedoceniane. Ich hart ducha, siła charakteru niejednokrotnie nie ustępują mężczyznom. Dlatego powinno się je traktować z jednakowym szacunkiem jak mężczyzn. Bo mam wrażenie, że pan pułkownik myli w tym momencie szacunek z litością i ulgowym traktowaniem kobiet z racji ich słabości. – Anna starała się mówić spokojnie i ważyć każde słowo, ale z napięcia zaciskała dłonie i wychylała się w stronę rozmówcy.

Hrabia Lipiński aż stęknął z wrażenia.

– Anno, kochanie, zapewne pan pułkownik nie miał niczego takiego na myśli. – Lipiński starał się ratować sytuację, zerkając teraz błagalnie na Dukajskiego, który zignorował jego wymowne spojrzenie tak samo jak wcześniej zrobiła to córka. Gość za to patrzył z ogniem na Annę, której to kompletnie nie zawstydzało. Lipiński zrozumiał, że ta wizyta mogła zakończyć się tylko jednym – katastrofą, a przecież Dukajski mógł być wielką szansą dla całej rodziny, a może nawet najlepszą okazją, by rodzinę ratować przed biedą. Wystarczająco bogaty i z widokami na awans społeczny. Nie od dziś słyszało się, że Dukajscy przez matkę byli spokrewnieni z jakimś niemieckim książęcym rodem, który lada moment miał wygasnąć, a więc pułkownik byłby pierwszy w kolejce do tytułu, choć żaden z Dukajskich głośno się do tego nie przyznawał. Oznaczałoby to, że Anna mogłaby zostać

księżną. W dodatku Dukajscy dysponowali potężnym majątkiem, o którym rozprawiano w kasynie z wypiekami na twarzy. Pułkownik miał głowę do interesów i nie poprzestał na czerpaniu zysków z posiadania licznych majątków w całej Galicji. Skupował roponośne działki, huty i kopalnie. Wszystko podobno rozkwitało w jego rękach, co nie było trudne, jeśli się miało tak duży kapitał. Gdyby tylko Anna nie odstraszała go swoim zachowaniem i niewyparzonym językiem... Ale najwidoczniej jeszcze nie zalaża mu za skórę, więc hrabia wciąż był dobrej myśli.

– Skoro twierdzi panienka, że kobiety są takie odporne i że nie ma potrzeby, by traktować je z delikatnością i troską o ich słabości, to dlaczego żadna nie zaciągnie się do wojska, żadna nie zarządza majątkiem? Ba, nie znam też takich kobiet, które prowadziłyby poważne interesy. – Dukajski wpatrywał się w Annę w napięciu.

– Może właśnie z powodu mężczyzn takich jak pan, którzy nie pozwalają, by kobiety miały swój udział w interesach czy w walce – odcięła się Anna.

Hrabia Lipiński pociągnął spory łyk z kieliszka i zapadł się w fotelu. Jeszcze chwila i Dukajski ucieknie, gdzie pieprz rośnie.

– Zapewniam panienkę, że znam wiele kobiet, które z ulgą oddają w ręce takich jak ja mężczyzn wszelkie obowiązki i trudy zarówno walki, jak i pomnażania majątku. I nie mają z tego powodu kompletnie żadnych pretensji. Nie mówiąc już o tym, że nawet do głowy im nie przyjdzie ingerować w męski świat.

– Tak jak są słabi mężczyźni, którzy nie umieją podołać życiu, tak i są kobiety, które wolą wesprzeć się na mężczyznach.

– Najsłabszy mężczyzna dokaże więcej niż najsilniejsza kobieta.

– Być może jeśli chodzi o siłę fizyczną, ale z pewnością nie wtedy, gdy w grę wchodzi siła charakteru – opowiedziała Anna. Z emocji aż podskakiwała na kanapie. Mało kiedy miała okazję tak wprost dyskutować i wygłaszać swoje poglądy. Czuła się jak niesiona przez wzburzone wody. Była w swoim żywiole.

Wtedy Dukajski zrobił najmniej spodziewaną rzecz. Roześmiał się głośno i popatrzył roziskrzonym wzrokiem na Annę, co spowodowało ją na ziemię.

– Jest panienka najlepszym potwierdzeniem swojej śmiałej tezy. I nie wypada się tu z panienką nie zgodzić wobec tak oczywistego dowodu.

Lipiński poczuł, jak schodzi z niego powietrze, choć Anna wciąż patrzyła na Dukajskiego podejrzliwie i milczała zaskoczona nie mniej od hrabiego.

– Cieszę się, że mamy w tej sprawie wspólne zdanie – rzekła wreszcie.

– Czyżbym słyszał w panienki głosie rozczarowanie? – Błysk w jego oku kazał jej zachować czujność.

– Dlaczego miałabym czuć się rozczarowana?

– Choćby dlatego, że nie ma panienka we mnie adwersarza. Wręcz przeciwnie. Wielkiego zwolennika i wielbiciela. – Pochylił głowę uniesienie, a ona bezwiednie parsknęła. Papa oczywiście zgromił ją spojrzeniem.

Anna patrzyła naburmuszona to na ojca, to na Dukajskiego. Co się stało, że ten prostak raptem się z nią zgadza, że ustępuje jej i przyznaje rację? Miała go odstraszyć, tymczasem wyglądał na zadowolonego.

Do końca wizyty Dukajskiego siedziała już nachmurzona i mało się odzywała. Ojciec bowiem, korzystając z zaskoczenia, w które wprowadził ją Dukajski, zmienił temat na bezpieczniejszy, dotyczący sytuacji politycznej i zamieszek robotniczych za granicą, o których pogłoski docierały od jakiegoś czasu do Lwowa. Dukajski rzucał jej te swoje spojrzenia i czasem pytał ją o zdanie, ale już nie udało mu się jej sprowokować.

## ROZDZIAŁ III

### Schadzka

Wreszcie nadszedł dzień, na który Anna tak czekała. Ojciec urządził dla niej bal. Zwyczaj nakazywał, by rodzice debiutujących panienek w karnawale nie tylko zabierali je na zabawy, ale też organizowali bale we własnych pałacach lub w wynajętych salach, jeśli warunki nie pozwalały na zaproszenie dużej liczby gości.

Suknia na tę okazję przyjechała tym razem z Wiednia. Błękitna, prosta i delikatnie połyskująca srebrną nitką, dodawała sylwetce Anny lekkości i zwiewności. Zachwycająco kontrastowała z jej ciemnymi włosami, co zauważyło kilku kawalerów, a co u dziewcząt wywoływało zazdrość wyrażaną chłodnymi, niechętnymi spojrzeniami. Długie rękawiczki, dekolt zakryty tylko cienkim woalem i wysoko upięte włosy sprawiały, że Anna wyglądała na wysoką i jeszcze szczuplejszą.

Dom tonął w powodzi światła, muzyka grała od kilku godzin, a goście bawili się w najlepsze w reprezentacyjnym salonie przearanżowanym na tę okazję na salę balową, ale nachmurzona i zła Anna nawet nie starała się z nikim rozmawiać. Kniaziołuckiego ofuknęła, a tańcząc z pozostałymi kawalerami, nawet nie siliła się na bycie miłą. Zdawkowe odpowiedzi i uśmiechy w podziękowaniu za komplementy przychodziły jej coraz trudniej. Oczywiście Adam Małaszewicz był wśród gości, ale tego wieczora tańczył niemal ze wszystkimi pannami poza nią. Starła się go ignorować, tak jak on ignorował ją, ale ciągle łapała się na tym, że patrzy w jego stronę. Zła na siebie, odwróciła się plecami do parkietu, na którym wirowała Marynia w jego objęciach, po czym z impetem wpadła w ramiona Dukajskiego. Nie widziała go wcześniej, więc musiał pojawić się niedawno. A może po prostu nie wyróżniał się jak zwykle strojem, bo tym razem założył frak. Gdyby to od niej zależało, nie byłoby go na liście gości. Zachwiała się, a kiedy przytrzymał ją za ramiona, gniewnie spojrzała na niego i odsunęła się, udając, że poprawia falbanki.

– Cóż tak cię zdenerwowało, maleńka? Czyżby ten lalusz Małaszewicz?

– Nie twój interes – wydusiła przez zaciśnięte zęby. Była wściekła, że ją obserwował i że tak łatwo domyślił się jej uczuć. Skoro jemu się udało, to z pewnością zauważyła to reszta towarzystwa. Choć Dukajski nie był temu winien, wylała na niego swoją złość.

– Ależ oczywiście, że mój. Skoro wybranka mojego serca ogląda się za innym, to muszę interweniować, a jeśli tylko znajdę sposobność, usunąć rywala – mówił to z ironią, która tak bardzo zawsze irytowała Annę, że miała ochotę mu przyłożyć.

– Też mi coś, wybranka serca – parsknęła z pogardą. – Zejdź mi z drogi.

– Jak tylko ze mną zatańczysz – rzucił i nie czekając na jej zgodę, chwycił ją za rękę. Miała ochotę zaprzeć się pantoflami o podłogę lub chwycić za kotarę, obok której przechodzili, ale zdawała sobie sprawę, że takie zachowanie nie przysporzy jej szacunku i może odstraszyć Małaszewicza. Dlatego pokornie poszła za Dukajskim. Jak zwykle obrócił ją, aż świat zawirował jej przed oczami. Niemal straciła równowagę, dlatego z ulgą wylądowała w jego ramionach. Wtedy wpadł jej do głowy szatański plan. Może wzbudzić zainteresowanie i zazdrość Małaszewicza, jeśli będzie udawała, że świetnie bawi się w towarzystwie Dukajskiego. Zrobiła słodką minkę, starannie wystudiowaną przed lustrem, i spojrzała w oczy partnera.

– Nie widziałam cię tu wcześniej.

– Może byłaś zbyt skupiona na tym pajacu.

– Nie aż tak, żeby nie zauważyć ciebie. – Uśmiechnęła się zalotnie, przywarła do niego mocniej i rzuciła mu niesmiałe spojrzenie spod długich rzęs, aż Dukajski zmylił krok.

Pochylił się nad nią i patrzył jej prosto w oczy. Anna czuła jego oddech na swojej twarzy. Miała ochotę się poddać. Rozchyliła usta, pewna, że zaraz ją pocałuje. Znajome ciepło rozlało się po jej ciele. Chwilę kołysali się w rytm muzyki, zapatrzeni w siebie. Wreszcie Dukajski, na którego twarzy mieniły się emocje, odpowiedział:

– Jeśli chcesz wzbudzić jego zazdrość, musisz się bardziej postarać. – Obrócił ją tak gwałtownie, że straciła równowagę, a potem chwycił w pole. Zawisła w jego ramionach, nie dotykając

stopami podłogi. Nie przeszkadzało mu to nadal tańczyć. W jego oczach Anna zobaczyła lód. Ścisnął ją tak mocno, że miała wrażenie jakby mdlała.

– Ja nie mogę...

Uścisk zelżał. Dopiero po chwili zorientowała się, że muzyka przestała grać. Dukajski złapał jej dłoń i pociągnął w stronę zbierających się pod ścianą dziewcząt. Prawie biegła za nim. Zostawił ją i odszedł, nie obejrzawszy się. Oniemiała wpatrywała się w jego plecy, gdy usłyszała szept:

– Po tym walcu w ogrodzie.

Małaszewicz właśnie oddalał się w stronę wyjścia. A więc jednak. Jej plan się powiódł. Nieważne, co ten gbur Dukajski sobie myślał. Ważne, że za chwilę spotka się potajemnie z Małaszewiczem. Z mężczyzną, o którym śniła, którego sobie wymarzyła. Na samą myśl o tym zadrżała. Nie ze strachu, lecz z ekscytacji, że oto zrobi coś zakazanego. Coś, co może narazić na szwank jej reputację. Przystępowała z nogi na nogę z niecierpliwości i jednocześnie starała się niepostrzeżenie oddalić w stronę wyjścia. Nie widziała, że śledzą ją czujne oczy Dukajskiego.

Michał miał ochotę udusić tego gnojka Małaszewicza, który najwidoczniej próbował skompromitować jego Annę. Upomniał się w myślach, że ona jeszcze nie należy do niego, ale zaraz się poprawił. Ona była jego i tylko jego. Widział, jak ten pajac szepcze jej do ucha, a po chwili ona usuwa się w cień i zbliża się do wyjścia do ogrodu. Zabije go, jeśli drań choćby tknie ją palcem.

Michał odczekał, aż Anna niezauważona przez nikogo wymknie się na zewnątrz, i udał się w stronę biblioteki, skąd wyszedł na żwirowy plac, za którym rozciągał się ogród Lipińskich. Na szczęście w czasie ostatniej wizyty zapamiętał układ pomieszczeń. Noc była jasna. Światło księżycy odbite od śniegu oświetlało przysypane białym puchem krzewy, rzucające na oszronione trawniki i kwietniki cienie o fantazyjnych kształtach. Dukajski odetchnął głęboko świeżym, chłodnym powietrzem, które zdawało się pulsować odgłosami dobiegającymi z sali. Nie czuł zimna, choć miał na sobie tylko ten idiotyczny frak, którego szczerze nie znosił. Wolał mundur. Rozpalona emocjami głowa stygła, gdy skradał się za sunącą w głąb ogrodu jasną postacią. Szedł trawnikiem, żeby go nie usłyszała. Buty zapadały się z cichym chrzęstem w zmrożonej trawie. Z daleka dostrzegł też tego pajaca. Kręcił się przy kępie dębów, które w przyszłości pewnie stworzą naturalną altanę. Michał zacisnął pięści i już miał ruszyć w jego stronę, ale patrząc na Annę, porzucił ten zamiar. Na szczęście włożyła na siebie futro, inaczej jeszcze dostałaby zapalenia płuc przez tego idiotę. Schadzek mu się zachciało.

Anna dostrzegła Małaszewicza, mimo że księżyc, który dotąd oświetlał zimowy ogród, raptem schował się za chmurami. Wpadła wprost w jego ramiona. Zdażyła tylko szepnąć:

– Marzyłam o tym...

Urwała w pół słowa, bo przycisnął usta do jej ust. Rozchyliła wargi i z cichym westchnieniem objęła go. Pocałunek był delikatny, ale jego dłoń szybko zbłądziła pod rozchylone na piersiach futro. Kiedy jedną z nich objął gorącą dłonią, Anna poczuła jakby w tę mroźną noc stanęła przy buchającym pod niebo ognisku. Chciała go więcej. Z cichym jęknięciem, które jej się wyrwało, objęła go za szyję. Nie, to ona była ogniem, ona płonęła, a sunąca po jej udzie dłoń tylko rozpalala ją jeszcze bardziej. Nagle poczuła chłód. Otworzyła oczy.

– Adam? Adam – wołała szeptem w ciemność, ale nikt jej nie odpowiedział. Mężczyzna zniknął, pozostawiając jej najwspanialsze wspomnienie i pewność, że nie jest mu obojętna. Dotknęła palcami pulsujących ust. Poprawiła włosy i suknię, wzięła głęboki oddech, gotowa wracać mimo bijącego szaleńczo serca. Teraz wiedziała, że nie tylko Dukajski potrafi sprawić, że płonęła wewnętrznym ogniem. Skradając się z powrotem do pałacu, pomyślała, że pułkownik powinien się uczyć od Adama delikatności i czułości. Bo w tym względzie nie dorasta mu do pięt. Na szczęście nikt nie zauważył jej zniknięcia. A nawet jeśli, to przecież mogła powiedzieć, że musiała pójść na stronę. Wsunęła się niepostrzeżenie do biblioteki, a stamtąd do salonu zamienionego w salę balową. Akurat rozpoczął się kolejny taniec, więc goście wirowali na parkiecie i nikt nie zwracał na nią uwagi. Małaszewicz, za którym rozglądała się dłuższą chwilę po sali, gdzieś zniknął. Zawód mieszał się z ekscytacją. Zapewne nie chciał wzbudzać sensacji i jeszcze nie wrócił z ogrodu. Najważniejsze,

że wykazywał nią zainteresowanie.

Pod ścianą dostrzegła Ksawerego. Maurycy tańczył z niewysoką blondynką, której Anna nie mogła rozpoznać. W drugim kącie sali zauważyła Marynię. Nerwowo mięła w dłoniach chusteczkę. Zdecydowanie powinna zmienić uczesanie. Lepiej wyglądałaby, gdyby jej włosy nie były tak ciasno upięte wokół drobnej, bladej twarzyczki. Po jej minie Anna wywnioskowała, że lada chwila dziewczyna się rozplacze. Hrabianka Lipińska postanowiła więc interweniować. Dyskretnie prześlizgnęła się ku Ksaweremu. Trąciła go w ramię, a kiedy pochylił się nad nią, powiedziała:

– Hrabianka Dzieduszycka stoi sama pod ścianą.

– Widać nie wzbudza emocji u kawalerów. – Ksawery obojętnie wzruszył ramionami, w odpowiedzi na co Anna przewróciła oczami. Jej bracia czasami naprawdę nie grzeszyli intelektem.

– To bardzo nieładnie, że stoi tam bliska płaczu. Chyba nie chcesz, żeby najbogatsza, zdaje się, dziewczyna w mieście opowiadała potem, że źle się bawiła na balu u Lipińskich.

Ksawery westchnął ciężko.

– Masz rację, Niuniu. – Anna wiedziała, że celowo użył zniechęcającego przez nią zdrobnienia z czasów dzieciństwa, które na domiar złego sama sobie nadała, nie mogąc wymówić swego imienia. Wsunęła dłoń pod ramię brata i uszczypnęła go z całej siły, aż odskoczył od niej.

– Jesteś okropna – sapnął, rozcierając obolałe miejsce.

– Dla wrednych braci na pewno. Teraz odejdę na bok, a ty pójdziesz do Maryni i będziesz ją zabawiał rozmową w czasie następnego tańca – rzuciła i poszła w przeciwnym kierunku, nie dając Ksaweremu szans na ripostę.

Muzyka umilkła i Anna z satysfakcją obserwowała, jak Ksawery spełnia jej prośbę. Miała nadzieję, że brat, poznawszy lepiej Marynię, będzie nią tak samo oczarowany jak ona. Byłoby cudownie mieć za bratową właśnie najlepszą przyjaciółkę. Nadal nie widziała Małaszewicza. Bezwiednie dotknęła dłonią ust. Czyżby wycofał się po angielsku?

– Za kim się tak rozgląda moja piękna siostra? – Maurycy przerwał jej rozmyślenia. – Czyżby za pułkownikiem?

– Oj, Maurycy, jak ty nic nie rozumiesz.

– Rozumiem więcej, niż myślisz, siostrzyczko. Zechcesz ze mną zatańczyć?

Anna roześmiała się i podała mu dłoń. Kochała obydwu braci, ale to młodszy z nich, Maurycy, był jej ulubieńcem. Ksawery bywał chłodny i zdystansowany, co pogłębiała różnica sześciu lat między nimi. Na dodatek obydwójce mieli raczej wiele wspólnych cech charakteru, jak choćby upór i chęć stawiania na swoim za wszelką cenę, a także działanie na przekór wszystkim. Natomiast z uległym i spokojnym Maurycym nie sposób było się pokłócić. Anna bez trudu go sobie podporządkowywała, nad czym ubolewał zawsze ojciec, widząc jak syn spełnia wszystkie zachcianki siostry, nawet te najbardziej absurdalne jak picie herbatek z lalkami czy też nauka jazdy konnej w męskim siodle. Gdyby nie Maurycy, to by się jej nie udało.

– Więc za kim tak wypatrujesz oczy, siostrzyczko?

– Teraz za Marynią Dzieduszycką, z którą miał zatańczyć Ksawery – odrzekła zgodnie z prawdą.

– Jest tam – rzekł Maurycy, obracając Annę tak, że zobaczyła zawstydzoną przyjaciółkę w ramionach Ksawerego.

– Biedna Marynia – szepnęła Anna.

– Dlaczego biedna? Z pewnością tak posażna panna szybko znajdzie sobie adoratora.

Anna wychwyciła smutek w głosie brata. Przyjrzała mu się uważnie. Idąc za jego spojrzeniem, dostrzegła Marynię, która zmyliła właśnie krok, co Ksawery przyjął ze stoickim spokojem i jeszcze bardziej zacisnął usta. Najwidoczniej nie miał zamiaru niczego partnerce ułatwiać.

– Maurycy, sam widzisz, że ona jest bardzo nieśmiała. Ale ma też złote serce. To dobra dziewczyna. Nie zasłużyła na męża, który będzie z nią wyłącznie z powodu jej fortuny. Miałam nadzieję, że nasz Ksawery pójdzie po rozum do głowy i zauważy to, ale widzę, że się myliłam, choć nie tracę nadziei. – Przejęta losem przyjaciółki Anna na chwilę zapomniała o Małaszewiczu. – A kogo



ty wybrałaś na moją przyszlą bratową?

– Nawet jeśli jest ktoś taki, to nie mam u niej najmniejszych szans. – Maurycy zmarkotniał.

– I kto to mówi! Na Boga, Maurycy, kto jak kto, ale ty nie powinienes mieć żadnych kompleksów.

Młodszy Lipiński był dobrze zbudowany, mimo że nie jakoś specjalnie wysoki. Ciemnowłosy i smagły, przypominał rysami twarzy ojca. Ksawery był wyższy od niego o głowę, miał jaśniejszą cerę i włosy. Nosił nawet wąsy, ale powaga i zawziętość widoczne w oczach nie przydawały mu uroku.

– Nie w tym rzecz, siostrzyczko. Ona po prostu jest poza moim zasięgiem.

Anna kolejny raz powędrowała za spojrzeniem Maurycego. Obserwował Marynię. Rozbrzmiały ostatnie takty walca i muzyka umilkła. Anna uśmiechnęła się do brata, który podziękował jej za taniec.

– Myślę, braciszku, że zbyt łatwo się poddajesz – powiedziała do Maurycego i uściśnęła jego ramię. – A teraz idź i poproś ją do tańca.

Maurycy zaczerwienił się.

– Kogo? – udał, że nie wie, co siostra ma na myśli.

– Ależ Marynię, oczywiście. Zobaczysz, będzie dobrze. – Pchnęła go prawie niezauważalnie w stronę przyjaciółki, która nie wyglądała na zbyt zadowoloną. Odprowadzona przez Ksawerego, stała na uboczu ze smętną miną. Anna posłała jej uśmiech. Marynia odpowiedziała leciutkim uniesieniem kącików ust i zaraz spojrzała tak żałośnie, że hrabianka Lipińska miała ochotę podejść i ją uściśnąć serdecznie, ale ubiegł ją Maurycy. Marynia zaczerwieniła się i nie patrząc w oczy partnera, ruszyła z nim na parkiet.

Anna poczuła znajome mrowienie. Zdażyła się przyzwyczaić, że tak reagowała tylko na jednego człowieka. Dukajski wpatrywał się w nią z przeciwległego kąta sali, choć rozmawiał z Małaszewiczem. Zanim dołączył do nich papa, Dukajski powiedział coś do Małaszewicza, na co ten najpierw zbladł, a potem się zaczerwienił. Żadna siła nie zmusiłaby jej, żeby zbliżyć się do Dukajskiego, gdyby nie obawa, że on coś knuje. Ignorując spojrzenia pułkownika, ruszyła ku mężczyznom.

– O czymże panowie rozprawiają z takim przejęciem? – zagadnęła. Zauważyła, że Małaszewicz jest zły, za to ojciec wyraźnie poruszony. Tylko Dukajski stał spokojnie z leniwym uśmiechem przyklejonym do ust i to on pierwszy jej odpowiedział:

– Rozmawiamy o protestach robotników...

– Pan pułkownik twierdzi, że należy ich wysłuchać, a *certaines propositions*<sup>[6]</sup> wprowadzić w życie – wtrącił Małaszewicz, rzucając gniewne spojrzenia w stronę Dukajskiego. Anna była pewna, że zanim podeszła, rozmawiali o czymś innym, co z pewnością nie dotyczyło zamieszek robotniczych. Mimo to przemilczeli prawdziwy powód sprzeczki.

– Tłumienie protestów siłą wywoła tylko większy sprzeciw, a jak pan sam dobrze wie, robotników jest więcej niż właściciele ziemskich i posiadacze przedsiębiorstw podobnych do pana Towarzystwa. Jest to siła, z którą należy się liczyć, której należy słuchać – argumentował spokojnie Dukajski.

– Owszem, *force* znaczy siła, ale my mamy wojsko, czyli największą z sił. A uciszeni i przykładnie ukarani robotnicy nie ośmielą się więcej zachwiać porządkiem ustalonym od wieków.

– Według pana należy więc skierować wojsko do walki z protestującymi, doprowadzić do rozlewu krwi, do bratobójczej walki? – oponował Dukajski z drwiącą miną.

– Mogłam się spodziewać, że panowie będą rozprawiać o polityce zamiast dobrze się bawić. – Anna przerwała mężczyznom. Nie patrzyła przy tym na Dukajskiego, do którego z premedytacją i niezbyt grzecznie odwróciła się bokiem. Mówiła wyłącznie do Małaszewicza.

– Otóż, moja droga, to samo naszym drogim gościom przed chwilą powiedziałem. Że powinni pozostawić te dyskusje na inny moment – wtrącił hrabia Lipiński.

– Pan pułkownik nie rozumie, zdaje się, że *les faibles*<sup>[7]</sup> nie należy pobłażać. – Oczy Małaszewicza przypominały szparki. Zaciskał pięści, kiedy mówił i wydawał się ignorować Annę. Widocznie Dukajski działał na niego tak samo irytująco jak na nią.

– Ja bym kilkudziesięciu tysięcy ludzi nie nazwał słabymi, zwłaszcza gdybym nie miał pojęcia o walce – mówiąc to, Dukajski wysunął podbródek i zademonstrował swą wyższość nad rozmówcą. – A jakie jest panienki zdanie w tej sprawie? Zdaje się, że panienka ma na każdy temat wyrobione poglądy, więc zapewne i w tej kwestii jest zorientowana – zwrócił się do Anny.

Spojrzała na niego z niechęcią. Drań zaatakował jej słaby punkt. Ale postanowiła go zaskoczyć, choć korciło ją, by przyznać rację Małaszewiczowi.

– Niestety, muszę się zgodzić z panem pułkownikiem. Z silniejszym trzeba się liczyć, ale nie wolno mu całkowicie ustępować pola.

– Kwestia sporna, kto jest silniejszy i w czym tkwi jego siła – rzucił Małaszewicz i zamilkł. Spojrzenia Anny i Dukajskiego skrzyżowały się. Mierzyli się wzrokiem jak przeciwnicy na udeptanej ziemi.

– Na nasze szczęście niektórzy nie uświadamiają sobie swojej siły. – Pułkownik mówił, nie odrywając wzroku od dziewczyny.

– Zapewniam pana, że są jej świadomi – odparła Anna z wysoko uniesionym podbródkiem.

Małaszewicz przyglądał im się zdezorientowany, aż hrabia Lipiński przerwał ten pojedynek.

– Zapraszam szanownych panów na kieliszeczek koniaczku do biblioteki.

– Z przykrością muszę odmówić. Pora na mnie. Jutro obowiązki wzywają mnie do garnizonu – wymówił się Dukajski z szerokim uśmiechem, który zirytował Annę na tyle, że przez moment zapomniała o Małaszewiczu.

– W takim razie ja skorzystam z zaproszenia – odezwał się przedsiębiorca.

Anna nie mogła się powstrzymać.

– Jakżeż mi przykro, że musi nas już pan opuścić – rzuciła jadownicie.

– Niebawem postaram się to nadrobić – odpowiedział Dukajski z niewinną miną, po czym ucałował dłoń Anny. Przesunął przy tym palcami po jej knykciach. Nie wiedzieć czemu, poczuła znajomy skurcz w brzuchu. Zrzuciła to na karb irytacji tym niezbyt dobrze wychowanym osobnikiem. Kiedy zniknął, mogła wreszcie odetchnąć z ulgą i poświęcić się rozmowie z Małaszewiczem. Niestety, hrabia Lipiński porwał go do biblioteki.

Tego wieczoru nie miała już okazji z nim porozmawiać ani zatańczyć. Zasypiała nad ranem niezadowolona, ale wspomnienie schadzki w ogrodzie łagodziło to rozczarowanie. Tylko że miała wtedy przed oczami Dukajskiego. A im bardziej starała się wymazać jego stalowe oczy z pamięci, tym intensywniej się w nią wpatrywały. Wreszcie dała za wygraną, ale postanowiła, że przy najbliższej okazji sama zaproponuje Małaszewiczowi potajemne spotkanie. Kto wie, może nawet na balu u Dzieduszyckich, na który zaproszenie spoczywało na jej sekretarzyku.

Michał miał dość tego bawidamka, Małaszewicza. Nie chodziło tylko o to, że kręcił się wokół Anny Lipińskiej. Nie znosił nadmiernie pewnych siebie ludzi, zwłaszcza kiedy za tą pewnością nie stało nic wartego uwagi. Małaszewicz pojawił się znikąd. Podobno przyjechał prosto z Paryża robić interesy w Galicji, która była roponośnym zagłębieniem. Będąc trzecim co do ilości wydobytego czarnego złota rejonem na świecie, rocznie Galicja sprzedawała blisko trzy miliony ton ropy. Nie bez powodu Michał inwestował w zakup działek i prowadzenie odwiertów mających jeszcze zwiększyć to wydobycie. Okolice Drohobycza, Borysławia i Truskawca otaczały szyby i zakłady przemysłowe. Kresowe trójmiasto było jednak miejscem ogromnych kontrastów. Wille i pałace przemysłowców wzbogacających się na wydobywaniu ropy oraz baseny truskawieckiego uzdrowiska, do których piasek transportowano znad Bałtyku, stały tuż obok ubogich chat i lepianek ludzi szukających w tych okolicach łatwego zarobku i szczęścia. Bogactwo mieszało się ze skrajną nędzą, fortuny wyrastały razem z szybami na okolicznych polach i upadały w miarę jak wyczerpywały się złoża. Zaraz jednak odkrywano nowe, a wszystko to napędzała gorączkowa chęć wzbogacenia się bez wysiłku, chęć posiadania, życia ponad stan, pławienia się w luksusach.

Michał podejrzewał, że Małaszewiczem kierowała dokładnie ta sama motywacja co rodzimymi przedsiębiorcami. Niechętnie opowiadał o sobie. Odkupił od Skrzyńskich majątek w okolicy Borysławia, gdzie rozpoczął od wyposażenia dworu w najdroższe, sprowadzane z europejskich stolic

meble i od urzędzenia go zgodnie z najnowszą modą. Mówiono, że Małaszewicz płał w zbytku. Nie bez powodu nazywano jego dwór *Petit Versailles*, czyli Mały Wersal. Ale żeby rozpocząć odwierty, Adam potrzebował kapitału. Michał zdawał sobie sprawę, że ta rezydencja musiała być wizytówką, rodzajem potwierdzenia statusu. Dzięki temu Małaszewicz nie miał problemów z pozyskiwaniem udziałowców, którzy bardzo chętnie dołączali do przedsięwzięcia noszącego od początku znamiona skazanego na sukces.

Choć początkowo Dukajski był sceptyczny co do zamiarów przedsiębiorcy pojawiającego się znikąd, w dodatku rzekomo z workiem pieniędzy, których jak się szybko zorientował, nikt nie widział, musiał przyznać, że rzeczywiście na zakupionych terenach pojawił się sprzęt niezbędny do wiercenia systemem kanadyjskim, a wokół wyrastały pierwsze szyby. Tempo robót oczywiście zachęcało kolejnych inwestorów, którzy wykładali nawet niewielkie sumy, byle zarobić na przedsięwzięciu zainicjowanym przez Towarzystwo Naftowe Małaszewicz i Kompania. Michał wysłał nawet do Borysławia swoich ludzi. Jako właściciel rafinerii i działek z szybami musiał trzymać rękę na pulsie, a w zwyczaju miał sprawdzanie potencjalnych kontrahentów i współników. Dzięki temu jego fortuna rozkwitała i mógł przeznaczać zyski nie tylko na własny użytek, ale pod płaszczykiem działalności dobroczynnej brata i jego żony przekazywać datki na stypendia dla młodych, zdolnych ludzi, którzy potem dla niego pracowali.

Poza finansowym aspektem działalności Małaszewicza, Michała zainteresowało jego życie prywatne. Zwłaszcza od czasu, gdy zaczął się kręcić przy Annie. Wysłał nawet do Paryża swojego człowieka, który miał się czegoś dowiedzieć na temat przedsiębiorcy. Niestety, na razie ustalił on, że nikt w mieście nie słyszał o Małaszewiczu. Poszukiwania trwały i Michał nabierał coraz większych podejrzeń co do rywala. Tym bardziej że hrabianka nie dostrzegała jego umizgów do najbogatszych panien na wydaniu. Owszem, każdy miał prawo szukać żony, która dałaby mu tytuł, ale cierpliwość pułkownika wyczerpała się, gdy Adam namówił Annę na schadzki w cztery oczy. Jeszcze tego samego wieczoru postanowił, że zleci śledzenie Małaszewicza, który budził w nim niewytłumaczalny niepokój. Dukajski wiele razy przekonał się, że warto słuchać swojej intuicji, która i tym razem go nie zawiodła. Choć mogła go tłumaczyć zazdrość, to i tak chciał się upewnić, że Annie nic nie zagraża. Na wszelki wypadek na Małaszewicza chciał mieć coś, co ochłodzi jego zapędy do hrabianki.

Po ich schadzce miał ochotę rozbić głowę Małaszewicza jak kotlet. Zacisnął pięści i podszedł do przedsiębiorcy wodzącego za Anną wzrokiem. Ten zerknął tylko na niego i odwrócił się, dając odczuć Michałowi, że nie ma ochoty na rozmowę. To rozsierdziło pułkownika jeszcze bardziej. Kurdupel sięgał mu ledwie ponad ramię, a z tymi swoimi blond loczkami i wypachnioną różową mordą wyglądał jak panienka na wydaniu. Michał zacisnął szczęki i niezauważalnym gestem ujął Małaszewicza pod ramię, szczypiąc go z całej siły. Dzięki temu rywal nie miał widoku na Annę tańczącą z jakimś gołowąsem. Za to Michał mógł ją obserwować. Poczł się odrobinę lepiej, kiedy przedsiębiorca wyrwał się i poczerwieniał z bólu i złości, choć za wszelką cenę starał się nie pokazywać po sobie, że chwyt był dotkliwy.

– Co pan wyrabiasz? – warknął. Na szczęście muzyka zagłuszyła ten okrzyk.

Michał wzruszył ramionami.

– Zwracam uwagę na moją skromną osobę, bo nie nauczono pana, żeby nie odwracać się tyłem do przeciwnika. Widać nie był pan nigdy w wojsku.

– Patrząc na pana, widzę, że nie mam czego żałować. Zachowuje się pan doprawdy jak barbarzyńca. – Małaszewicz poprawił mankiet, co pewnie miało służyć złagodzeniu bólu. – Nie jestem pana przeciwnikiem.

– Nie byłbym tego taki pewny. Włazisz pan nieproszony na moje terytorium, próbujesz znaczyć teren i jeszcze beczelnie twierdzisz, że to nic takiego, że to niewinny spacer. – Michał mówił do Małaszewicza, ale kątem oka obserwował Annę. Gołowąs, którego obdarzała ciepłymi uśmiechami, na szczęście okazał się jej bratem. Dużo by dał, żeby tak patrzyła na niego. Z miłością, ufnością i spokojem. Wiedział, że na to przyjdzie jeszcze czas. Musi ją najpierw zdobyć i nikt mu w tym nie przeszkodzi. Zwłaszcza Małaszewicz. Na wspomnienie jej dotyku czuł w sobie siłę i podniecenie.

Musiał ją mieć. I to jak najprędzej.

– Czyżbyś pan mnie śledził? – Małaszewicz przerwał fantazje Michała, który rzucił mu mordercze spojrzenie. Że też ten pajac jeszcze oddycha.

– Nie schlebiaj pan sobie. Nie jesteś pan obiektem moich zainteresowań. – Dukajski obrzucił rywala pogardliwym spojrzeniem.

– A więc to ona? – Małaszewicz uśmiechnął się zadowolony i zmrużył oczy, co nadało mu wygląd węża czyhającego na swą ofiarę. Przekrzywił głowę i przyjrzał się uważnie Michałowi, który zaczął rozważać, czy nie zmazać uśmiešku z tej gęby jednym celnym ciosem. – To na niej zależy panu pułkownikowi. To ciekawe. A co jeśli ona woli kogoś mniej brutalnego, delikatniejszego, przewidywalnego?

Przez chwilę obydwaj wpatrywali się w niczego nieświadomą, szczęśliwą dziewczynę wirującą na parkiecie.

– Nie sędzę, że gustuje w mężczyznach słabego charakteru i wątpliwego pochodzenia, którzy wzbogacili się na datkach szlachetnie urodzonych. – Cios dotarł do celu, bo Małaszewicz przestał się uśmiechać i poczerwieniał.

– Nic pan o mnie nie wiesz. Nie wiesz, ile musiałem w życiu przejść, żeby być w tym miejscu, w którym jestem. Ile mnie to kosztowało wysiłku i pracy. Gdyby nie upór i samozaparcie, nie osiągnąłbym tego. Dlatego jedno mogę panu obiecać. Nie zrezygnuję z hrabianki Lipińskiej. Choćby dlatego, że tak bardzo jej pan pożądasz. Będzie moja, masz pan moje słowo.

Dukajski z groźną miną zrobił krok w stronę rywala i gdyby ten się nie cofnął, rozdeptałby go jak robaka. Małaszewicz bał się go, co poprawiło Michałowi humor. Odprężył się i rozluźnił dłoń. Podniósł rękę, a przedsiębiorca z przerażeniem w oczach zrobił unik, ale pułkownik tylko strzepnął pyłek z kłapy jego fraka.

– Weź pan to swoje słowo i wsadź sobie głęboko. Skoro to jest źródłem pana samozadowolenia, to proszę się nie krępować. A jeśli kiedykolwiek dotkniesz pan Anny choćby palcem, zapewniam, że pana fortuna wyparuje szybciej niż śnieg na wiosnę. – Michał mówił spokojnie i pewnie. Obserwował, jak twarz Małaszewicza mieni się emocjami. Od złości przez bezsilność po strach. Widać było, że chce coś powiedzieć. Jednak muzyka ucichła i przedsiębiorca nie zdążył się odciąć, bo podszedł do nich hrabia Lipiński. Zaraz za nim pojawiła się Anna i choćby dlatego Michał stracił zainteresowanie Małaszewiczem. Równie dobrze mogłoby go tu wcale nie być. Liczyły się tylko roziskrzona oczy dziewczyny, która jak zwykle miała swoje zdanie na każdy temat. Nieco przemądrzała i bezczelna, pewna siebie, ale bezbronna i słodka. Takiej kobiety szukał, a skoro już ją odnalazł, to nikt i nic, zwłaszcza jakiś pokurcz z loczkami nad czołem, nie stanie mu na przeszkodzie, by ją zdobyć.

Jeszcze tej samej nocy prosto z sali balowej pojechał do Mati. Zanim wsiadł do powozu, zażądał, żeby woźnica oddał mu butelkę, którą trzymał na rozgrzewkę pod siedziskiem. Alkohol wypity w czasie balu, a także w drodze do mieszkania aktorki, szumiał mu w głowie i kołysał ciało do snu, ale on nie miał zamiaru spać. Trzymał Annę w ramionach, czuł jej świeży, kwiatowy i niewinny zapach. Patrzyła na niego i tuliła się do jego piersi, gdy mocniej nią zakręcił w tańcu. Nie mógł jej jednak posiąść. Mógł mieć każdą kobietę w tym mieście, ale nie ją. Ona nie oddałaby mu się dobrowolnie. A tego właśnie pragnął. Żeby chciała tego tak samo mocno jak on. Tymczasem za każdym razem ona coraz bardziej mu się wymykała. Rozumiał, że takiego jak on odszczepieńca, niemal potwora, nie sposób pokochać, że miłość i troskę musiał sobie kupować, ale jeśli nie uczucia, to przynajmniej ciało mogłaby mu oddać dobrowolnie. Czemu uroił sobie, że kobieta, która na jego widok rzuca gromy i niemal woła: „A kysz!”, zechce z nim być? Bo nie wyobrażał sobie, że będzie ją miał tylko raz, a potem pozwoli komuś innemu, żeby jej dotykał. On ją musiał mieć na wyłączność. A kiedy już ją dostanie, będzie miał dość czasu, żeby zmusić do uległości i przekonać do siebie. To dlatego od tygodni jego ludzie śledzili każdy krok Anny, jej ojca i braci. Zebrał już dość informacji, by móc się czuć pewnie. Hrabia Lipiński nie może mu odmówić ręki córki, a ona sama nie będzie miała innego wyjścia, jak tylko zostać jego żoną. Bo taki uknuł plan. Ożeni się z nią. Innej możliwości,

by ją do siebie przywiązać, nie widział.

Powóz wyhamował, więc Michał pociągnął ostatniego łyka z butelki, resztkę litościwie oddał zmarzniętemu woźnicy i kazał mu przyjechać nad ranem. Zataczając się i nieomal przewracając na schodach, dostał się do mieszkania Mathilde. Oczywiście o tej porze spała. Zaspana, z potarganymi włosami splecionymi w warkocze, nie witała go entuzjastycznie.

– Boży, to ty. A tobi co? – Ziewnęła, nie zasłaniając ust, choć zwracał jej wielokrotnie uwagę, by zachowywała się jak dama. – Czekaj no, zapalę jeszcze jedną lampę, bo ciemno tu jak w dupi po czarny kawy. – Cała Matylda. Niewybredne słownictwo, którego nie sposób było jej oduczyć, lwowski zaśpiew. Kiedyś podobało mu się to, tchnęło świeżością, ale teraz wiedział, że można być niemiłym, można kogoś zwymyślać, można obrazić jednym spojrzeniem, można nienawidzić i zachowywać przy tym klasę. Potrząsnął głową.

– Zostaw – wybełkotał i przyciągnął dziewczynę do siebie.

– Cholira, jestis pijany. – Próbowała się wykręcić od jego pocałunków. – Gdzie ty był? Cuchniesz jak melina u starych Sycylijskich.

Nie odpowiedział. Ścisnął ją jeszcze mocniej i przeniósł w stronę łóżka.

– Ta dzie lizisz? – W końcu poddała się jego pieszczotom. Pomogła mu zdjąć płaszcz i frak. Pociągnęła go za sobą na posłanie, nie przestając całować. Rozłożyła nogi i pozwoliła, żeby na nią opadł. Ale Michał otworzył oczy i spojrzał na rozrzucone na poduszce jasne warkocze, na drobną twarz, z której spoglądały na niego puste, niewyrażające żadnych emocji oczy. Zamroczony alkoholem umysł zbuntował się i już miał wstać, ale Mati objęła go nogami.

– Nie tym razem. Nigdy nie pójdiesz.

Mimo wszystko przesunął się na bok i odwrócił ją do siebie plecami. Zamknął oczy i wyobraził sobie ogniste spojrzenie Anny. To z nią się kochał, jej oddawał wszystko, co miał, dla niej, tylko dla niej. Chwytał garścią warkocz i pociągnął w swoją stronę. Mati zamruczała.

Złość na Annę, że go nie chciała, wściekłość na siebie, że nie umiał jej przekonać do siebie, samotność i żal, tęsknota za matką, gniew na ojca – wszystko to skumulowało się w nim i zalało go falą uczuć, której się poddał. Wbijał się pomiędzy pośladki Matyldy z wściekłością, jak natchniony, nieświadomy tego, co robi. Dziewczyna tylko cicho pojękiwała, a kiedy skończył, wstała, żeby się umyć. Zgasiła lampę i wróciła do łóżka.

– Co w ciebi wstąpiło? Szatan jakiś czy co? – rzuciła przez ramię, gramoląc się pod pierzynę. Odpowiedziało jej miarowe posapywanie wydobywające się z gardła Michała. Zasnął wyczerpany walką z samym sobą. Mati wiedziała, że go traci. Słyszała, co mówią na mieście o nim i o tej hrabiance. Ale taki już los utrzymanek. Nie łudziła się, że to będzie trwać wiecznie. Poglaskała zmierzwiłone włosy Michała. Wiedziała, że nigdy już nie trafi jej się taki opiekun. Był dla niej dobry i w pewien sposób go kochała. Bała się demonów, które czasem z niego wyłaziły, ale zawsze potem był bardzo miły. Szkoda, że wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć. Michał poruszył się.

– Anulka... – wymamrotał przez sen.

Tak chyba miała na imię ta hrabianka. Mati nagle jej pozazdrościła. Nie pieniędzy i bogactwa, nie balów i rodziny. Tylko tego mężczyzny, który był najlepszym z mężczyzn, jakich знаła. Westchnęła cicho i okryła Michała troskliwie. Trzeba brać, co jest i nie martwić się na zapas – pomyślała. Potem wsunęła się w jego ramiona i zasnęła.

Przygotowana na ten dzień codzienna sukienka leżała na posłanym łóżku, z którego ciężko było wstać, mimo że słońce widniało wysoko na zimowym niebie. Wciąż bolały ją nogi, chociaż minęło kilka dni od ostatniej zabawy. Nie wyobrażała sobie, jak wytrzymują takie bale ci, którzy bywają na każdym, nawet na tych składkowych.

Odcienie zieleni i żółci nadawały apartamentowi Anny, złożonemu z sypialni i saloniku oraz garderoby, optymistyczny wygląd. Jednak jej nie było do śmiechu i nawet promienie zimowego słońca, które świeciło w całej okazałości, nie nastrojały jej pozytywnie. Wzdychała i zamyślała się, opatulona szlafrokiem, aż Mania zaczęła zamartwiać się o jej zdrowie.

– Nic mi nie jest, kochana Maniu. To cudownie, że się o mnie troszczysz, ale jestem zupełnie

zdrowa – zapewniała wystraszoną dziewczynę.

– Wyglądasz, jakbyś się zakochała – odważyła się zażartować Mania.

W odpowiedzi Anna westchnęła i zapatrzyła się w okno.

– Aniu, czyś ty się zakochała?

Tym razem Anna mruknęła, co Mania odczytała jako potwierdzenie.

– O Matko Święta! Czy chociaż przystojny, czy bogaty? A odwzajemnia uczucia? Czy to któryś z panów odwiedzających nas ostatnio? – Mania z ekscytacji krążyła po pokoju z otwartymi szeroko oczami, wymachując przy tym trzymaną w dłoni szczotką.

– Maniu, uspokój się, na litość boską, i bądź ciszej – upomniała ją Anna. – Jeszcze ktoś usłyszcy. Nie jestem zakochana, ale jest ktoś... – Zawiesiła głos, bo sama nie wiedziała dokładnie, jak nazwać to, co czuła. Z jednej strony nie planowała się zakochiwać. Chciała męża, który będzie ją rozumiał i wspierał. Pragnęła małżeństwa, w którym rozwinie skrzydła. Miłość nie była warunkiem koniecznym. Z drugiej jednak strony wszystko to, co czuła, można było nazwać zakochaniem. Tak przynajmniej wynikało z przeczytanych dotąd książek.

– Opowiedz mi wszystko, proszę, bo nie wytrzymam z wrażenia. – Mania podskakiwała jak na sprężynie.

– Opowiem, tylko się uspokój.

Anna zrelacjonowała wydarzenia ostatnich dni i opowiedziała o rodzącym się uczuciu do Małaszewicza. Pomięła natomiast schadzki w ogrodzie w obawie, by Mania nie opowiedziała służbie o jej słodkiej tajemnicy. Jak wiadomo służba plotkuje między sobą, a są tacy, którzy z tych plotek potrafią umiejętnie korzystać, i nie daj Boże doniosłoby się coś do niepowołanych uszu.

– A ja myślałam, że to ten pułkownik. – W głosie Mani pobrzmiwało rozczarowanie.

Anna na samo wspomnienie Dukajskiego zerwała się z krzesła i zaczęła spacerować po pokoju.

– Dajże spokój z tym pułkownikiem! To człowiek bez wychowania, przy tym okropnie pewny siebie. Nienawidzę go i gdyby nie papa, nie byłby tu mile widziany.

– Ale jaki przystojny – rozmarzyła się Mania. – Taki wysoki i te oczy... A kiedy patrzy, miękną kolana.

– A ty skąd wiesz? – Anna wyhamowała gwałtownie na środku pokoju i obrzuciła spojrzeniem rozanieloną twarz Mani.

– Widziałam go, kiedy ostatnio wychodził. Spojrzał na mnie tak, tak... Aż mam dreszcze nawet teraz. – Mania perorowała podniecona, a Anna zdała sobie sprawę, że doskonale wie, o czym mówi dziewczyna. Pod wpływem spojrzenia Dukajskiego czuła się zawsze bezbronna i naga. Jakby wiedział o niej wszystko, jakby mógł od niej tym spojrzeniem wyciągnąć wszystkie tajemnice. I chyba właśnie świadomość władzy, jaką nad nią miał, doprowadzała ją do szału. Na szczęście posiadała rozum i głowę na karku, żeby nie dać się złapać na te jego sztuczki i nie zgłupieć jak Mania.

Rozmowę przerwało im pojawienie się pokojówki, która oznajmiła, że ojciec wzywa Annę do biblioteki. Kiedy Mania wpięła ostatnie szpilki w jej włosy, dziewczyna czym prędzej zbiegła po schodach.

– Dzień dobry. Papa mnie wzywał? – Podeszła do ojca i usiadła na kanapie obok niego.

– Spodziewam się dziś gości.

– To wspaniale. Któż nas odwiedzi? – Anna była pewna, że po schadzce Małaszewicz zechce przejść do rzeczy i że to on zapowiedział się z wizytą.

– Hrabia Dukajski z żoną i pułkownikiem zapowiedzieli wizytę.

Anna zdębiała. Nie potrafiła ukryć rozczarowania malującego się na twarzy, które jednak prędko zastąpiła złość. Cóż takiego musiał Dukajski powiedzieć Małaszewiczowi, że ten nie zdecydował się na złożenie jej wizyty zaraz po balu? I dlaczego, na litość boską, Małaszewicz zachowywał się, jakby do niczego nie doszło? A przecież była tam, czuła wszystko, choć niewiele widziała. Czyżby mężczyzna oddalił się, bo nie poczuł tego, co ona? Nie było mu z nią dobrze? A może sprawdzał przyszłą żonę i uznał, że jest zbyt rozwiązła? Skoro wyszła z nim, to skąd mógł wiedzieć, że nie zrobiła tego dla nikogo innego? Nie wiedziała tylko, który z powodów utraty

zainteresowania nią byłby gorszy. Wcześniej nie brała tego pod uwagę, ale teraz dotarło do niej, że każde wytłumaczenie oznaczało koniec marzeń o Małaszewiczu. Od razu zmarkotniała. Nie dość, że będzie musiała znosić Dukajskiego i robić dobrą minę do złej gry, to jeszcze musi żyć ze świadomością, że przeszło jej koło nosa dostatnie życie wypełnione podróżami.

– Coś się stało, córeczko? – Ojciec zauważył jej minę.

– Nie, nic – odparła bez przekonania.

– Jeśli chodzi o pułkownika, to uważam, że powinnaś być dla niego miłsza. Nie wiem doprawdy, Anno, co w ciebie wstępuje, gdy rozmawiacie. I o tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać, zanim pojawią się nasi goście. – Papa wstał z fotela i założywszy ręce do tyłu, przechadzał się przed Anną, omijając ją wzrokiem. Wyglądał, jakby prowadził rozmowę sam ze sobą.

– Co sobie ludzie pomyślą? Że jesteś niewychowaną pannicą, która nie nadaje się na żonę. Że ojciec nie potrafi na ciebie wpłynąć. Nie wypada w taki sposób odzywać się do starszego od siebie mężczyzny, w dodatku kandydata na męża. – Ostatnie słowo podkreślił uniesieniem palca.

Mogła się spodziewać, że wreszcie dostanie reprimendę, ale nie myślała, że w takim momencie, gdy jej plany i marzenia waliły się w gruzy. Miała szczerze gdzieś, co Dukajski o niej myśli, a nawet żywiła nadzieję, że nie bierze pod uwagę jej kandydatury na żonę.

– Przepraszam, papo – odrzekła jednak pokornie. Nie miała sił ani ochoty dyskutować z ojcem.

– Czy mogę już odejść?

– Możesz, córciu, i pamiętaj o tym, co powiedziałem, kiedy pojawią się nasi goście. – Ojciec patrzył na nią podejrzliwie. Anna rzadko kiedy była tak potulna. – Czy na pewno wszystko dobrze?

– Nic mi nie jest, papo. – Dygnęła i zniknęła za drzwiami.

Mimo zimna Anna spacerowała po ogrodzie aż do przybycia rodziny Dukajskich. Gdyby była w Niesłuchowie, w ich rodzinnym majątku, w którym się wychowała, dosiadłaby któregoś z koni i pognała przed siebie, a potem wrzeszczałaby w polach na całe gardło, by wyrzucić z siebie gniew, smutek i ból, jak to się jej już wcześniej zdarzało. Tu, we Lwowie, mogła jedynie krążyć po ogrodzie jak ptak w klatce. Przyzwyczajona do tego, że dostawała zawsze wszystko to, czego zapragnęła, nie mogła się pogodzić z odrzuceniem przez Małaszewicza. Im dłużej rozmyślała, tym bardziej upewniała się w swoich przypuszczeniach i tym bardziej traciła humor.

Kiedy pojawili się Dukajscy, Anna była już bliska płaczu, mimo to nie mogła nie zauważyć, jak wspaniale wyglądała Katarzyna w obramowanej beżowym futerkiem zgniłozielonej sukni, która współgrała z jej jasnymi, wysoko upiętymi włosami. Cokolwiek włożyła na siebie hrabina, wyglądała zjawiskowo. Jej mąż miał zakiet w podobnym odcieniu zieleni oraz kremową kamizelkę. Natomiast pułkownik tradycyjnie już wystąpił w mundurze. Anna wyszła na spotkanie gości i bez słowa zasiadła w salonie, gdzie ojciec kazał podać herbatę i słodycze.

Salon ogrzewał duży kominek obramowany jasnym marmurem. Służba napaliła specjalnie na wizytę gości, by przyjąć ich w najbardziej reprezentacyjnym pomieszczeniu w pałacu. Ciężkie, aksamitne draperie w kolorze czerwonego wina, ciemne meble na giętych nóżkach obite takim samym materiałem oraz połączane bibeloty idealnie nadawały się, by przekonać gości o bogactwie rodziny, która tu mieszkała.

Anna omijała Dukajskiego wzrokiem. Kiedy przez przypadek napotkała jego spojrzenie, dostrzegła w nim troskę i pytanie, a w każdym razie tak jej się zdawało. Szybko jednak odwróciła się w stronę Katarzyny. Odpowiadała jej zdawkowo, półsłówkami. Zignorowała nawet zaczepkę Dukajskiego, który zapytał ją o zdanie z nadzieją na kolejną słowną utarczkę. Wreszcie pułkownik nie wytrzymał.

– Przepraszam, panie hrabio, ale czy mógłbym prosić o pozwolenie rozmowy w cztery oczy z panną Anną?

Zdziwiony Franciszek popatrzył na swoją żonę. Katarzyna tylko wruszyła ramionami i posłała zaskoczony Annie szeroki uśmiech.

– Naturalnie. Anno, oprowadź pana pułkownika po ogrodzie – zgodził się ochoczo hrabia Lipiński.

– Będziemy w zasięgu wzroku, panie hrabio – dodał Dukajski i podszedł do Anny, która nie miała zamiaru wstać. Dopiero kiedy ojciec chrząknął znacząco, podniosła się niechętnie i poszła ku drzwiom, żeby poprosić służbę o okrycia wierzchnie.

Nie wiedziała, czego znowu chciał Dukajski, ale nie miała ochoty na kolejną awanturę z tym impertynentem. Oczywiście kiedy byli na widoku, nie dotknął jej nawet. Utrzymywał bezpieczny dystans, gdy szli w stronę sadzawki po trawniku, z którego poranny szron zniknął pod wpływem promieni słonecznych. Wreszcie zatrzymał się.

– Co się z tobą dzieje? Prawie się nie odzywasz. Coś się stało? – zasypał ją pytaniami.

Anna zdała sobie sprawę, że stoi dokładnie w miejscu niedawnej schadzki z ukochanym i poczuła, że lzy cisną jej się pod powieki. Przełknęła i odpowiedziała zmienionym głosem:

– Wszystko w porządku.

Łza potoczyła się po policzku. Z trudem nad sobą panowała. Zaciśnęła dłonie w pięści, żeby się przy nim nie rozpłakać.

– Anno... – Michał odwrócił się i popatrzył w stronę okien, zza których śledziły ich zapewne ciekawskie spojrzenia rodziny. – Chodź – zakomenderował. Potem ujął ją pod ramię i pociągnął w stronę krzewów, gdzie byli niewidoczni. Z poruszonej przez niego gałęzi osypał się srebrzysty pył. Wiatr wypełniał ciszę pomiędzy nimi miarowym szumem w koronach starych drzew.

Nie miała siły dłużej się opierać. Już nie chciała walczyć. Łzy płynęły, a ona nie wzięła nawet chusteczki. Dukajski, jak tylko zniknęli z pola widzenia rodziny, objął ją i przytulił do siebie. Rozpłakała się na dobre. W gruncie rzeczy co jej zależało. Szlochała, wtulona w mundur, a on głaskał jej plecy i szeptał uspokajające słowa. Biło od niego ciepło, w którym całkowicie rozplynęła się jej buta. Czowała się niekochana, samotna i brzydka. Skoro nie podobała się Małaszewiczowi, nikt jej nie zechce. Michał jakby czytał w jej myślach.

– Jeśli to przez tego durnia, zabiję go jeszcze dziś. Wystarczy jedno twoje słowo, maleńka. – Wplótł palce w jej włosy i delikatnie masował kciukiem kark.

W odpowiedzi zaszlochała jeszcze żałośniej. Co za ironia losu. Opłakiwała porażkę miłosną w ramionach mężczyzny, którego całym sercem nie znosiła. Co dziwniejsze, czuła się z tym dobrze, a zapach jego ciała wlewał w nią spokój i odprężenie.

– Już dobrze. Uspokój się, bo pomyślą, że zrobiłem ci coś złego. – Odsunął ją od siebie i podał wyjętą z kieszeni chustkę. Anna otarła nią oczy. Chustka pachniała jak Dukajski, znajomo i irytująco przyjemnie. Dziewczyna miała ochotę wrócić w bezpieczną przystań jego ramion, ale nie mogła mu przecież dać tej satysfakcji i przyznać, że jego bliskość sprawiała jej przyjemność.

– Powiesz mi, co się stało? – spróbował od niej coś wyciągnąć, ale nie miał najmniejszych szans. Był ostatnią osobą, której zechciałaby powierzyć swe sekrety, zwłaszcza ten jeden wstydlivy.

– Nie twój interes – odpowiedziała, wciąż pociągając nosem.

Michał zaśmiał się krótko.

– Widzę, że już ci lepiej. Taka podobasz mi się najbardziej. – Pochylił się nad nią, kiedy to mówił. Patrzyła w stalowe oczy i na chwilę zapomniała o Małaszewiczu. Bezwiednie rozchyliła usta, gotowa do pocałunku, ale Dukajski tylko przesunął palcem po jej wargach. Nawet on nie chciał jej pocałować.

– Nie dziś, maleńka – szepnął i odsunął się. – A ten kurdupel doskonale wie, co go czeka, jeśli pojawi się w pobliżu ciebie.

Do Anny dotarł sens jego słów i nagle wszystko stało się jasne. Ten diabelski pomiot musiał wtedy na balu przestraszyć Adama. To zapewne jego wina, że Adam się nie odezwał ani nie zapowiedział wizyty. Że też na to nie wpadła sama. Prąd wściekłości przeszył ją, aż podskoczyła. Rzuciła się na niego, gotowa wbić mu paznokcie w tę roześmianą gębę, ale chwycił jej dłonie i wykręcił za plecy.

– Niech cię diabli, ty wstrętny... – Nie dokończyła. Chwycił ją za włosy, aż zapiekła skóra i wycisnął na jej ustach twardy pocałunek.

– Nie igraj ze mną – szepnął, kiedy ją puścił.



Stała zdezorientowana, z bijącym sercem, czując, jak fala gorąca obejmuje ją aż po czubki palców. Nienawidziła go tak bardzo, że czuła, jak to uczucie pali ją od środka. Nienawidziła go, bo ciągle coś w jej życiu niszczył, nienawidziła, bo jego dotyk sprawiał jej przyjemność.

– Jesteś najbardziej prymitywnym mężczyzną, jakiego znam – wysapała wreszcie, zacisnąwszy pięści.

– I dlatego mnie pragniesz, skarbie – mówił ze spokojem wymalowanym na tej pięknie wyrzeźbionej twarzy, w którą Anna nadal miała ochotę wbić paznokcie, choć wiedziała, że to się nie uda. – Teraz powiedz mi, kto cię doprowadził do łez, a spotka go kara.

– Nie twój interes – rzuciła.

– Powtarzasz się. Mój. Ty jesteś moja i nikt nie ma prawa cię denerwować, a tym bardziej doprowadzać do płaczu. Czy to Małaszewicz?

– Co cię to obchodzi?

– Już ci to tłumaczyłem. Nie będę się powtarzał. Czy to on? – Dukajski nie odpuszczał.

Patrzyła na niego, w milczeniu zaciskając zęby.

– A jednak. Miałem rację.

– Nie – zaprzeczyła, może trochę zbyt gwałtownie.

– Przecież widzę, że to on. Zrobił ci coś?

– Nie – powtórzyła. – Nie jestem twoją własnością, żebyś włożył z butami w moje życie i w moje uczucia. – Dopiero po chwili zorientowała się, że w złości powiedziała zbyt dużo.

– A więc w grę wchodzi uczucia – odparł z wahaniem Dukajski. Pokiwał głową i dodał: – Jesteś młoda. Nie wiesz, czym jest prawdziwe uczucie. Ale nauczę cię tego. – Dotknął jej ramienia, lecz ona się wyrwała.

– A co ty możesz wiedzieć o uczuciach? – parsknęła i zrobiła krok w tył, potrącając głową gałąź. Srebrny pył obsypał ich głowy, wciskając się za kołnierze i łaskocząc po twarzach. Włosy Dukajskiego lśniły diamentowo. Otrzeptał się i zmrużył oczy.

– Z pewnością więcej niż ty, maleńka.

– Przestań mnie tak nazywać, do diabła! – wykrzyknęła ze złością.

– To właśnie są uczucia, a nie mdłe wzdychanie do tego pajaca. – Patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem. Uwielbiał ją taką, z zaczerwienionymi policzkami, z ogniem w oczach, z rozwianymi włosami. Teraz był pewien, że tylko dla niego jest taka, tylko z nim pozna, co to namiętność. Żaden mężczyzna nie da jej tego, czego potrzebowała, i żaden jej nie ujarzmi.

– Ja go kocham i nie waż się z tego kpić!

Dukajski znowu parsknął śmiechem.

– Niedługo się przekonasz, czym jest miłość. Ale teraz wracajmy, skoro czujesz się lepiej. – Ujął ją pod ramię i mimo że się szarpała, nie uwolnił, aż dotarli do drzwi. Miał wyśmienity nastrój i nikt ani nic nie zdołałoby mu go zepsuć. Wprowadził Annę do salonu i zatrzymał się jak wryty. Na środku stał jego ordynans.

– Panie pułkowniku, musimy pilnie wracać do garnizonu. Wybuchły zamieszki.

## ROZDZIAŁ IV

### Zamieszki

– Słyszałaś, siostrzyczko, że twojego lubego wzięli do niewoli? – Ksawery wpadł jak burza do biblioteki, gdzie Anna studiowała najnowsze wydanie „Słowa Polskiego”, w którym pojawiły się informacje na temat zamieszek i demonstracji ukraińskich nacjonalistów domagających się między innymi zwiększenia udziału Ukraińców w instytucjach państwowych Galicji oraz zniesienia obowiązującego systemu, faworyzującego polskich wyborców z racji ich wyższego statusu majątkowego.

Życie towarzyskie w tym czasie niemal zamarło z powodu licznych wystąpień komplikujących komunikację w mieście, ale też z obawy o bezpieczeństwo. Niektóre rodziny opuszczały swe mieszkania i pałace i wyjeżdżały do położonych na prowincji majątków, by uniknąć angażowania się w spory i zamieszki trwające na ulicach. Gdyby Anna w tym czasie czytała ukraińską prasę o nacjonalistycznych inklinacjach, takich jak „Swoboda” czy „Diło”, z pewnością przeraziłaby się postulatami przymusowego wysiedlenia Polaków ze Wschodniej Galicji.

Dziewczyna podniosła wzrok na brata, który, nie widzieć czemu, wyglądał na zadowolonego z przyniesionej wiadomości. Anna poczuła, że drętwieją jej dłonie i dostaje boleści ze strachu.

– Adama Małaszewicza? – zapytała pełna najgorszych przeczuć. Choć nie widziała go od ostatniego balu, to nie traciła nadziei, że kolejna feta znowu da jej szansę na przekonanie mężczyzny, że Dukajski nic dla niej nie znaczy i że nie należy się go obawiać, bo jest tylko nieszkodliwym pieniactem.

– Tego przedsiębiorcę? Przecież on nie ma nic wspólnego z tym całym bałaganem.

Anna nic nie rozumiała. O co chodziło Ksaweremu? Skoro nie Małaszewicz został uwięziony, to kto? Wtedy ją olśniło.

– Jeśli masz na myśli Dukajskiego, to nic mnie on nie obchodzi – rzuciła hardo, ale w głębi duszy wiedziała, że kłamie. Wbrew temu, co mówiła, jej niepokój wzrósł.

– Jak to nie obchodzi? – zdziwił się Ksawery. – Przecież nie dalej jak tydzień temu widziałem, że patrzycie na siebie jak stare dobre małżeństwo. Nie zauważyłem, żebyś na kogoś innego tak patrzyła, a już na pewno nie na tego Małaszewicza. – Rozsiadł się na kanapie i wyciągnął przed siebie nogi.

– Musiało ci się coś pomylić – parsknęła.

– Nie jestem ślepy – upierał się Ksawery. Bawił się książką, którą wziął ze stojącego obok stolika.

– Daj spokój. – Anna zerwała się z fotela, gotowa wyjść. Zatrzymała się jednak. – Kto go wziął do niewoli?

Ksawery uśmiechnął się. Znał swoją siostrę i był przekonany, że się nie myli. Jej pytanie tylko upewniło go w przypuszczeniach. Ona durzyła się w pułkowniku, choć prędzej dałaby się pokroić w plasterki, niżby to przyznała.

– Podobno odmówił strzelania do studentów, a ci wykorzystali fakt, że wstrzymał ogień i pojмали go jako zakładnika. Może to i lepiej, bo w przeciwnym razie czekałby go sąd wojskowy za niewypełnienie rozkazu. – Ksawery odłożył książkę i obserwował siostrę krążącą po pokoju.

– A ty skąd masz takie wiadomości? – Wycelowała w niego palec.

– Znam ze studiów kilku Ukraińców. Opowiadał mi o tym jeden z nich, bo podobno na mieście chodzą słuchy, że Dukajski smali do ciebie cholewki. Nie zastanowiło cię, dlaczego żaden inny młodzieniec nie odważył się zapowiedzieć wizyty w naszym domu?

– Chyba nie powiesz mi, że ze strachu przed tym krzykaczem bez żadnych manier – parsknęła.

– Doprawdy nie słyszałam większej bzdury, braciszku.

Ksawery pokręcił głową z politowaniem i pogłaskał swoje niepozorne wąsy.

– Niuniu, nie powinnaś lekceważyć pułkownika. To mężczyzna cieszący się dużym szacunkiem starszych od siebie. Nie bez powodu ma opinię człowieka, na którym można polegać. Nie rozumiem,

czego ty od niego chcesz.

Anna zignorowała wywody brata na temat prawości pułkownika.

– Mam nadzieję, że ty nie trzymasz z tymi... z tymi barbarzyńcami, którzy nie wahają się użyć broni, by wyegzekwować to, czego chcą? – Wzięła się pod boki i stanęła przed bratem.

– Siostrzyczko, oni walczą, bo nikt do tej pory nie słuchał ich postulatów. Wychodzą na ulice, bo ich naród praktycznie przestał istnieć zdominowany przez Polaków.

– Kobiet też nikt nie słucha, a nie biegają po ulicach z bronią. A tam, gdzie sobie wywalczyły prawa, nie doszło do rozlewu krwi.

– Chyba zapominasz, siostrzyczko, o Olimpij de Gouges<sup>[8]</sup>.

– Ale ona walczyła słowem, nie bronią. Poza tym to ją zamordowano, ona raczej nikogo na sumieniu nie miała – odcięła się Anna. Gdyby dyskutowała z Maurycym, z pewnością by ją poparł. Ksawery z reguły się z nią nie zgadzał.

– Wiesz co ci powiem? Czasem to słowa robią więcej krzywdy niż broń.

– Więc uważasz, że słusznie ci ludzie wychodzą na ulice?

– Oczywiście, że tak. Namiestnik popełnia błąd i zamiast ich słuchać, każe siłą stłumić bunt. Kwestia czasu, kiedy osiągną to, czego chcą. Choćby z powodu przewagi liczebnej.

– Z pewnością, ale historia ich zapamięta jako wichrzycieli – nie odpuszczała Anna.

– A namiestnika jako tego, który przeciwstawia się czemuś, co jest nieuchronne i za jego zgodą czy też bez niej i tak nadejdzie. Nie ma takiej siły, która pokonałaby cały naród.

– Tu muszę się z tobą zgodzić. Choć nie pochwalam metod, to cel jak najbardziej. – Anna rzeczywiście uważała, że Ukraińcy powinni mieć takie same prawa jak Polacy. Teraz jednak bardziej martwiła się o Dukajskiego. Może nie przepadała za nim, ale ostatecznie znała go i żal jej się zrobiło człowieka, który bądź co bądź nie chciał najwyraźniej nikogo skrzywdzić. Zamiast to docenić, nacjonałści go pojmali.

– Gdzie on jest? – zapytała.

– Kto?

– Ksawery! Gdzie jest Dukajski?

– Więc jednak się martwisz... – Brat popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

– Na litość boską, czy ty musisz być taki podły? – Anna ponownie poderwała się z kanapy, na której przed chwilą przysiadła. Kolejny raz w czasie tej rozmowy żałowała, że Maurycy wyjechał do Niesłuchowa.

– Dobrze już, dobrze. Uspokój się. Chyba przetrzymują go w jakimś prywatnym mieszkaniu. Nikt nie wie gdzie dokładnie.

– Czy ktoś próbuje go uwolnić?

– Podobno Ukraińska Partia Narodowo-Demokratyczna dostała ultimatum i jeśli nie wydadzą Dukajskiego, wojsko ma rozpocząć aresztowania jej członków.

– A ten twój znajomy? Nie mógłby się czegoś dowiedzieć? – Nagle gorączkowo zaczęła się zastanawiać, co może zrobić, żeby pomóc Dukajskiemu.

– Nie wiem – odparł z wahaniem Ksawery. – Nie przyszło mi do głowy o to zapytać. Ale jeśli chcesz, mogę.

Anna popatrzyła na niego z mocą. Maurycy nie potrzebowałby żadnych sugestii. Rozumieli się bez słów. Za to Ksaweremu zawsze trzeba było powtarzać wszystko dziesięć razy. Skupiony na sobie, nie zastanawiał się, co może zrobić dla innych.

– Jeśli się czegoś dowiesz, natychmiast przekaż to władzom. Jak myślisz, czy oni mogli... – Urwała niepewnie. Nie mogła i nie chciała sobie nawet wyobrazić, że temu potężnemu, silnemu mężczyźnie coś się stało. Nie był byle chłystkiem. W dodatku potrafił się bronić. Ale ci, którzy go przetrzymywali, też z pewnością mieli broń i na tyle wściekłości w sobie, że mogło dojść do najgorszego.

Ksawery musiał dostrzec w oczach siostry strach, do którego nie umiała się przyznać sama przed sobą. Uścisnął jej dłoń w geście pocieszenia. Oddała uścisk.

– Nie bój się siostrzyczko. Dukajski to twardy mężczyzna. Poza tym gdyby coś mu zrobili, byłoby już o tym głośno. Lwów to małe miasto, gdy chodzi o przekazywanie złych wieści. – Nie chciał straszyć Anny i mówić wprost, że do tej pory zwłoki zostałyby znalezione, gdyby Michał nie żył. Poza tym Ukraińcy przetrzymywali jeszcze kilku innych żołnierzy, którzy też musieli żyć, skoro nie znaleziono ich martwych.

Ksawery pożegnał siostrę i wyruszył do miasta, gdzie spodziewał się dowiedzieć czegoś więcej na temat uwięzionych. Nie przyznał się Annie, że w tajemnicy przed znajomymi i rodziną sympatyzował z ruchem ukraińskim, choć nie w jego radykalnej postaci. Od uzyskania autonomii przez Galicję, za którą stała polska szlachta, konflikt polsko-ukraiński zaognił się. Autonomia zagwarantowała silną pozycję języka polskiego w administracji i szkolnictwie. Tylko w sądownictwie dopuszczono ukraiński jako język pomocniczy. Również większość stanowisk administracji zajęli, niestety, często lepiej wykształceni Polacy.

Koledzy Ksawerego ze studiów, którzy nie zawsze pochodzili z arystokratycznych polskich rodzin, zapoznali go z głównymi postulatami Ukraińców. Podzielał ich opinię, że prędzej czy później musi dojść do zmian. Niestety, namiestnik Galicji hrabia Andrzej Potocki był odmiennego zdania. Uważał, że wszelkie protesty należy tłumić w zarodku, najlepiej pokazując przy tym siłę i nie cofając się przed rozlewem krwi.

Ukraińcy równie mocno wrosli w tę ziemię, w dodatku mieli poczucie krzywdy związane z niską pozycją społeczną. A gdzie dwóch się bije... Konflikt pomiędzy Polakami a Ukraińcami był na rękę Austriakom, o czym namiestnik, ślepo posłuszny cesarzowi, zdawał się zapominać. Skłóconymi narodami łatwiej rządzić, bo nie staną ramię w ramię przeciw rzeczywistemu wrogowi. A we Lwowie nie brak było piniaczy, ludzi przegranych, sfrustrowanych, i to po obydwu stronach, zarówno polskiej, jak i ukraińskiej. Byli oni gotowi, pod byle pretekstem i bez względu na hasło, jakie im przyświecało, odgrywać się na tych żyjących w spokoju i dostatku.

Jeśli ktoś podsyczał nienawiść dwóch żyjących obok siebie od wieków narodów, to prędzej czy później musiało dojść do katastrofy. Po jednej i drugiej stronie bowiem nie brakowało radykałów, a ci bywali nieobliczalni. Dlatego Ksawery obawiał się, że może być za późno na cokolwiek. Nawet jeśli Dukajski i jego ludzie żyli, to nie było powiedziane, że uda się ich uwolnić.

Michał nie wiedział dokładnie, gdzie jest, ale z pewnością przetrzymywali go w piwnicy. Choć pojmano też kilku jego żołnierzy, to w zimnym i wilgotnym pomieszczeniu był sam. Wykręcone na plecach ręce bolały i piekły od wrzynającego się w nie sznura. Na głowie miał cuchnący stęchlizną worek, a ponieważ było ciemno, i tak przez rzadkie płótno nic nie widział. Zresztą, od ciosu w głowę czaszka o mało mu nie eksplodowała. Miał zawroty głowy i było mu niedobrze, ale tym akurat najmniej się przejmował. Musiał porządnie oberwać, bo stracił przytomność. Kiedy się ocknął, był już w piwnicy. Na pewno z rany sączyła się krew. Czuł wilgoć na skroni. Płótno worka przylepiło się do skóry i włosów. Gdyby nie jeden z młodych mężczyzn o imieniu Myrośław, skończyłoby się to wszystko znacznie gorzej. Upominał rozwścieczonych Ukraińców, w większości chłopców, że niczego nie wskórają, jeśli zginie żołnierz, w dodatku żołnierz w wysokim stopniu. Przez chwilę Michałowi wydawało się nawet, że w głosie tego Myrośława słyszy podziw, gdy przekonywał swoich pobratymców, że gdyby nie pułkownik, niektórzy z nich leżeliby teraz na bruku.

Michał poprowadził swoich ludzi na plac zgodnie z rozkazem. Jako najstarszy szarżę nie powinien się angażować, a jedynie wydawać rozkazy, ale zobaczył strach w oczach zebranych. Tych z jednej i tych z drugiej strony rynku. Dostrzegł też desperację młodych Ukraińców, ich gorączkową chęć, by wywalczyć swoje miejsce w historii. Gotowi byli rzucić się z gołymi rękami na żołnierzy, choć w przeciwieństwie do wojska, tylko część z nich była uzbrojona. Padły strzały, na jego rozkaz oddane w powietrze. Wtedy podjął decyzję, by nie dopuścić do rozlewu krwi. Z wysokości konia zwrócił się po ukraińsku do demonstrantów.

– *Lyudy, yty het* <sup>[9]</sup>!

Tym ich zaskoczył. Zbici w gromadę słuchali go, gdy zapewniał, że nikt nie chce ich skrzywdzić, że powinni się rozejść.

– Nie pójdziemy, póki nie zostaniemy wysłuchani! – odezwał się po polsku z charakterystycznym zaśpiewem ktoś z tłumu.

W odpowiedzi Michał przypomniał, że wśród żołnierzy też są Ukraińcy.

– *Zdradnyk*<sup>[10]</sup>! – wrzasnął ktoś z tłumu. Reszta podchwyciła ten okrzyk i poniosła go dalej. Wokół Dukajskiego zakotłowało się. Ręce wyciągnęły się w jego stronę. Spiął konia, a ten zamachał kopytami w powietrzu, co na chwilę odpędziło mężczyzn od jego strzemion. Krzyczał, żeby żołnierze nie strzelali. Kątem oka dostrzegł bowiem, że wymierzili broń w stronę tłumu. Nie tyle obawiał się o protestujących, co o siebie. Mogła go trafić jakaś zabłąkana kula. W ferworze walki niewprawne oko rzadko kiedy naprowadzało broń na cel. Wycofywał konia, ale ktoś go chwycił za uzdę i zatrzymał. Żołnierze ruszyli mu na pomoc, lecz nie mogli przedrzeć się przez krąg protestujących, który zacieśniał się wokół niego. Widział, że kilku żołnierzy zostało obezwładnionych i demonstranci pod naporem wojska zaczęli się wycofywać, unosząc swoich rannych. Wreszcie ściągnęli go z końskiego grzbietu, wieszając się na jego lewej ręce. Poleciał głową w dół. Nie dotknął jednak bruku, a może tego nie pamiętał. Cios w głowę pozbawił go przytomności.

Siedząc w ciemności, rozpamiętywał swój bunt przeciwko rozkazom, które wyraźnie mówiły, że w razie potrzeby ma użyć siły. Wiedział, że za narażenie życia żołnierzy może czekać go sąd wojskowy. Nieważne, że ocalał w ten sposób wiele istnień ludzkich. Być może nie na długo. Z pewnością zamieszki w końcu przerodzą się w otwartą wojnę dwóch narodów mieszkających zgodnie we Lwowie od setek lat. Miał na tyle rozumu i orientacji w polityce, by rozumieć, kto podżega do tego konfliktu. Mimo to był żołnierzem i dowódcą, więc powinien słuchać rozkazów i ponieść karę za sprzeniewierzenie się namiestnikowskim postanowieniom, które z kolei były dyktowane przez dwór w Wiedniu. Poruszył nadgarstkami i spróbował zmienić pozycję. Kiedy jednak unosił głowę, czuł nową falę mdłości i zawrotów. Świat wirował, ciemność falowała przed oczami. Odplynął.

Wtedy ją zobaczył, jak szła otulona jasnym futrem po roziskrzonym księżycowym światłem trawniku. Zamiast obejść sadzawkę i dotrzeć do Małaszewicza, który czaił się gdzieś w krzakach, przyszła wprost do niego. Musiała go zauważyć, ale w ciemności pomyliła go z tym pajacem. Inaczej uciekałaby, gdzie pieprz rośnie. Jak na zawołanie księżyc ukrył się za ciemną chmurą, więc szła w jego kierunku niemal po omacku. On w każdym razie rozpoznawał w ciemności tylko jasny kształt. Kiedy znalazła się na wyciągnięcie ręki, chwycił ją i pociągnął pomiędzy krzewy, gdzie nie docierało światło księżyca. Słyszał jej przyspieszony oddech, czuł świeży zapach i nie mógł się doczekać, kiedy jej dotknie, posmakuje. Ale najważniejsze było to, że Małaszewicz zniknął im z pola widzenia. Mógł sobie czekać do rana. Michała rozpieierała radość pomieszana z tryumfem, kiedy Anna szepnęła:

– Marzyłam o tym...

Starał się nie być zbyt natarczywy. Nie mogła się zorientować, że to nie Małaszewicz ją całuje. Ale nie potrafił się zbyt długo powstrzymać. Całował jej pachnącą liliami szyję, sunął wzdłuż obojczyka, aż do ramienia, z którego opadła suknia. Nie protestowała, gdy wsunął dłoń pod futro i objął dłonią pierś, a kciukiem odnalazł twardy pączek. Drażnił go i masował, czując, że jeszcze chwila, a straci panowanie nad sobą. Drugą ręką podciągnął jej suknię, aż odnalazł gładką skórę, po której jego dłoń sunęła teraz ku pośladkowi. Oddychała szybko i kurczowo obejmowała jego kark. Jakby miała zaraz zemdleć. Było jej dobrze. Jego ukochanemu kwiatuskowi. Było jej dobrze, bo myślała, że jest z tym pajacem. Michał zastygł w bezruchu. Serce mu łomotało z podniecenia, ale czuł, że narastająca w nim złość gasi to uczucie. Anna pogłaskała jego policzek, zapewne myśląc, że chwilowo nasycił się nią, lecz on wiedział, że nigdy nie będzie miał dość tej kobiety. Dlatego musi ją zdobyć. Za wszelką cenę, ale nie w ten sposób. Nie tak, żeby wzdychała w jego ramionach, myśląc o tym durniu. Wypuścił ją niechętnie z objęć.

Otworzył oczy. Znów był w piwnicy, a Anna gładziła jego włosy. Płakała.

– Michał, Michaś – szeptała.

Łzy paliły go pod powiekami. Nie rozczulał się nad sobą. Nie chciał, żeby przez niego płakała. Musi się uwolnić, musi do niej wrócić. Do Anny, do kobiety, bez której nie mógł żyć. Ocknął się i chwilę oddychał, żeby uspokoić emocje. Jeśli tylko uda mu się z tego wyjść cało... Nie! Kiedy

wyjdzie stąd, znajdzie ją, a potem tak szybko jak to tylko będzie możliwe, oświadczy się jej. Koniec idiotycznych zalotów. Życie jest zbyt krótkie i nieprzewidywalne, żeby je mitrzyć na głupstwa.

– Weź się w garść, Dukaj – wymamrotał do siebie. Potem podpierając się stopami i zdzierając sobie palce do krwi, podniósł się do pozycji siedzącej. Coś zazgrzytało i Michał poczuł powiew cieplejszego powietrza. Domyślił się, że otwarto drzwi. Nadstawił uszu i spał się na wypadek, gdyby spróbowali go bić. Nie pójdzie im tak łatwo. Z emocji zaschło mu w gardle. Przełknął i obrócił się w stronę, skąd dobiegały hałasy.

– Zostanę na czatach – szepnął nerwowo jakiś męski głos. – Proszę uważać. On może być niebezpieczny.

Coś zafalowało i zaczęło poruszać się blisko, coraz bliżej niego. Ruchowi towarzyszyło przytłumione światło. Przez płótno dostrzegał niewyraźne kształty. Ludzie. Z pewnością więcej niż jedna osoba. Obrócił ciało za tym ruchem i światłem. Czyjeś ręce chwyciły go za kark i szarpnęły powróż. Rzucił się niespokojnie, próbując zwiększyć dystans, ale zaraz opadł powalony falą zawrotów głowy.

– Niech pan siedzi spokojnie, pułkowniku. Zaraz to zdejmę.

Michał czuł, jak serce mu przyspiesza. Znał ten głos, choć nie mógł sobie przypomnieć skąd. Czego chcieli przybysze?

– Ja to zrobię, Ksawery. – Na dźwięk głosu drugiej osoby, z Dukajskiego zeszło powietrze. To musiał być sen, to mu się przywidziało. Musiał oberwać naprawdę mocno, skoro słyszał jej głos, w dodatku drżący i niepewny. Znieruchomiał, pozwalając tym samym, by zdjęto mu worek z głowy. Mdłe, drgające, żółtawe światło oślepiło Michała na chwilę i obraz się zamazał, ale ten zapach, jej zapach poznałby wszędzie. Świeżo ścięte kwiaty. To zapewne był sen.

– Anno... – wyszeptał zeszywniałymi wargami. Jego głos przypominał chrzęst butów na żwirze. Zakasłał.

– Spokojnie. Nie ruszaj się. – Dotykała jego obolałej głowy. Dłonie miała przyjemnie chłodne. Przytulił do nich twarz. – Ksawery, daj wodę.

Michał przypomniał sobie, że tak ma na imię jej brat. Stłuczony mózg w malignie musiał wyobrazić sobie wszystko, co z nią związane. Mężczyzna podał Annie naczynie, które przysunęła do ust Michała. Woda, zimna i świeża. Pił łączywie, aż się zachłysnął. Uniósł twarz w jej stronę. Miała łzy w oczach. Dopiero kiedy jedna z nich zsunęła się po policzku i Anna otarła ją grzbietem dłoni, zdał sobie sprawę, że nie śni. To naprawdę była ona.

– Co tu robisz, do cholery? – Chciał na nią krzyknąć, ale z gardła wydobył się jedynie zgrzyt. Zakasłał spazmatycznie. Anna w tym czasie przemywała ranę na jego skroni, a raczej próbowała zmyć zaschniętą krew.

– Ciii, nie ruszaj się – wyszeptała zdławionym głosem. Posłusznie przymknął oczy i nawet nie drgnął, gdy ocierała mu twarz chustką. – Pomożemy ci, wyciągniemy cię stąd.

Zachciało mu się śmiać. Jak ta drobna kobietka, w zasadzie dziewczyna, chciała mu pomóc? Wtedy odezwał się jej brat, który patrzył na niego z przerażeniem. Nic dziwnego. Michał był świadomy tego, że marnie wygląda nie tylko jego poobijana i zapewne spuchnięta głowa, ale też uwalany mundur i włosy posklejane w strąki. Doprawdy, musiał to być żaloszny widok.

– Wyciągniemy stąd pana, pułkowniku. Mam tu znajomych, którzy nie chcą nikogo krzywdzić. Mają świadomość, że może z tego być więcej problemów niż korzyści. Musi być pan cierpliwy – mówiąc to, położył mu dłoń na ramieniu i poklepał go ostrożnie.

– Co z moimi ludźmi? – Michał miał nadzieję, że nikt przez niego nie ucierpiał.

– Niektórzy chcieli ich wypuścić. Nie przedstawiali dla nich dużej wartości, ale większość odmówiła. Natomiast pan jest cennym zakładnikiem.

– Jakie postawili żądania i kto za tym stoi? – Michał chciał ocenić swoje szanse na dobrowolne uwolnienie.

– Z tego, co mi wiadomo, to tylko grupka zapaleńców, którzy nie słuchają nikogo. Niestety są zwolennikami radykalnych metod. Chcą rozmowy z namiestnikiem, ale obawiam się, że są też tacy,

którzy najchętniej widzieliby pana martwego. – Tu Ksawery zerknął na Annę, a Michał poczuł, że dłonie, które pieczołowicie ocierały teraz jego policzki, drżą.

– Nie martw się, Anno. – Michał patrzył na jej twarz, na zaciśnięte usta i zmarszczone czoło. Wzrokiem błędziła po jego twarzy, lecz nie patrzyła mu w oczy. Gdyby mógł, objąłby ją i ukoił jej strach, jednak związane na plecach ręce skutecznie mu to uniemożliwiały. Szarpnął nimi i wtedy ich oczy się spotkały. Pierwszy raz nie dostrzegł w nich gromów złości. Wyzierał z nich strach, troska i coś jeszcze, czego nie był w stanie teraz nazwać. Litość? Świat niebezpiecznie się zakołysał, ale ona go chwyciła i przytrzymała. Wsparty głową o jej biodra, wdychał jej cudowny zapach, którym emanowała ciepła wełniana spódnica.

– Ksawery, pomóż mi – jęknęła. Wspólnymi siłami oparli Dukajskiego o ścianę. Przymknął oczy i oddychał ciężko. Nawet teraz, w tej piwnicy, z rozwaloną głową, z obolałym ciałem, pragnął jej. Uśmiechnął się do siebie. Krew krążyła żwawiej w jego żyłach, pobudzona hormonami. Czuł się silny jak nigdy dotąd. Miał cel. Ona była tym celem.

– Nic mi nie jest – powiedział, otworzywszy szerzej oczy.

– Musicie już iść – odezwał się głos zza drzwi, ten sam, który sprowadził tu Annę i Ksawerego. Lipińscy obejrzel się, ale żadne z nich nie wyszło.

– Proszę na siebie uważać i nie prowokować tych ludzi – powiedziała Anna, po czym pochyliła się nad nim. Dotknęła ustami jego policzka. W tym momencie poczuł, jak coś miękko ląduje na jego udach, a ona szepcze tak cicho, że nie był pewien, czy dobrze usłyszał, zwłaszcza że owionął go ten jej charakterystyczny zapach, który mieszał mu zmysły:

– Róg Łyczakowskiej i Krupiarskiej.

Nie zareagował, widząc w jej spojrzeniu milczącą prośbę.

– Wyciągniemy stąd pana – dodał jej brat.

Pożegnał go jej wymowny, utkwiony w nim wzrok. Kiedy zniknęli, zdał sobie sprawę, że nikt nie założył mu worka na głowę. Dopiero wtedy odważył się zerknąć na uda. Bardziej czuł, niż widział ten kształt. Rozchylił nogi, a kształt z miękkiem stukotem zsunął się na kamienną podłogę. Pułkownik przesunął się tak, by móc wymacać przedmiot dłońmi. Cokolwiek to było, zostało zabezpieczone materiałem. Michał z trudem manewrował palcami. Skórę miał porozcinaną od więzów, które próbował poluzować, żeby sprawniej wydobyć przedmiot. Kiedy wreszcie to coś wypadło z materiału, Dukajski szepnął:

– A to mała żmija. – Trzymał w dłoni niewielki nóż o szerokim, krótkim ostrzu i takiej samej rękojeści. Brat Anny nie miał pojęcia o prezencie, który przyniosła. W połączeniu z informacją, którą zdążyła mu wyszeptać do ucha, wyglądało to na plan ucieczki lub przynajmniej próbę uwolnienia go.

Nie miał dużo czasu. Ułożył nóż w dłoni tak, by móc nim przesunąć po więzach, i rozpoczął zmuśną pracę. Miał wrażenie, że nigdy nie skończy. Sznur ustępował milimetr po milimetrze. Gruby, mocno spleciony, trzeszczał pod naporem metalu. Z nerwów i zmęczenia Michał pocił się obficie. Krople skapywały z brwi na spodnie, w uszach mu szumiało. Zwolnił i co kilka chwil odpoczywał. Z wysiłku zaczynało mu się kręcić w głowie. Gdyby teraz stracił przytomność, mogłoby się to skończyć utratą noża i nie tylko. Kto wie, kiedy ktoś znowu do niego zajrzy. Wziął kilka głębokich oddechów i wznowił pracę. Gdy poczuł, że sznur zaczyna się robić luźniejszy, zdał sobie sprawę, że za drzwiami od jakiegoś czasu słychać głosy. Skupiony na wyczerpującym zajęciu, początkowo nie zwrócił na to uwagi. Zamarł. Głosy docierały do niego coraz wyraźniej. Mężczyźni sprzeczali się. Wreszcie nastąpiła cisza i po chwili w zamku zgrzytnął klucz. Michał zwiększył tempo. Miał niewiele czasu.

Drzwi się otworzyły i w słabym świetle lampy zobaczył młodego mężczyznę. Nie wyglądał na zbira, raczej na studenta. Ciemne ubranie wisiało luźno na jego szczupłej sylwetce, a oczy jarzyły mu się niezdrowym blaskiem. Gość nie zakrył twarzy i raczej było mu obojętne, czy zostanie rozpoznany. To mogło oznaczać tylko jedno. Michał poruszył nadgarstkami ukrytymi za plecami. Nic ich już nie trzymało. Ostatnie włókna sznura pękły. Poprawił nóż w dłoni, ale nie poruszył się.

– Witam pana pułkownika – odezwał się mężczyzna, odstawił lampę i wyjął zza pazuchy

bagnet w pochwie. Dukajski rozpoznał w nim standardowe wyposażenie żołnierskie, M. 95. Zapewne odebrano go któremuś z jego ludzi.

– Kim pan jest? – Michał próbował grać na czas i zmniejszyć dystans.

Jego gość roześmiał się, po czym nagle spowaźniał.

– Jestem kimś, kto zakończy pana nędzny polski żywot.

– Z czyjego rozkazu?

– Rozkazy to się wydaje w wojsku, panie Dukajski. A może hrabio Dukajski? My nie słuchamy rozkazów, a już na pewno nie waszych, polskich. – Mężczyzna mówił, przekrzywiając głowę i wymachując wydobytym z pochwy bagnetem jak batutą.

– Rozumiem, że chce mnie pan zamordować. Jako żywy trup chyba mogę wiedzieć, z czyjego polecenia? – Michał czuł, jak adrenalina znieczuliła go, jak daje mu nadludzkie siły. To była niepowtarzalna okazja, by się stąd wyrwać. Musiał tylko działać rozważnie i szybko, kiedy przeciwnik znajdzie się blisko. Raczej nie był w stanie poderwać się na równe nogi, więc musiał czekać, aż mężczyzna zbliży się do niego wystarczająco.

– Pułkowniku, pułkowniku, czy ja powiedziałem, że zrobię to z czyjegoś polecenia?

– Martwy nie na wiele się przydam wam i waszej sprawie. Więc ktoś musiał zapłacić za moją głowę.

– Jak na Polaczka niegłupi z pana człowiek. Aż szkoda, że muszę to zrobić. – Mężczyzna podszedł do Michała i dotknął czubkiem ostrza jego podbródka. Bagnet wbił się lekko w skórę, ale Dukajski nie poczuł bólu. Strużka ciepłej krwi popłynęła po jego szyi.

– Błagam o litość. Może cię oszczędzę – wyszeptał napastnik, zbliżywszy się do niego. Patrzyły na Michała przekrwione oczy, osadzone głęboko w wynędzniałej twarzy. Mężczyzna miał nieświeży oddech i rzeczywiście wyglądał na chorego. Michał wiedział, że to nienawiść i chciwość tak zmieniają rysy. Dukajski nabrał powietrza i wciąż patrząc w oczy przeciwnika, chwycił lewą dłoń za jego nadgarstek. Drugą dłoń, uzbrojoną w niewielki nóż, zadał cios w szyję. Mężczyzna nawet nie zdążył zareagować. Chwycił się za gardło, w którym tkwił nóż, upuszczając przy tym bagnet. Metaliczny brzęk odbił się zdziwieniem na jego twarzy wykrzywionej bólem. Zacharczał, ale z ust zamiast słów popłynęła krew.

Michał sięgnął po bagnet i odepchnął napastnika, który klęczał przy nim, trzymając się za krtań. Mężczyzna w końcu upadł. Spomiędzy jego palców kapała krew.

– Kto ci kazał mnie zabić? – Michał przygniół go swoim ciężarem do ziemi. Sam nie miał siły wstać. Najpierw musiał rozruszać zdrętwiałe kończyny. – Kto ci kazał?

Patrzył w wytrzeszczone z przerażenia oczy, które zdawały się od niego oddalać. Wsłuchiwał się w rżenie, ale nie mógł nic zrozumieć. Mężczyzna konał. Michał doszedł do wniosku, że nie dowie się od niego niczego, a każda sekunda narażała go na niebezpieczeństwo. Chwycił latarnię i zostawił umierającego, który w konwulsjach wił się po podłodze.

Wyjrzał na zewnątrz. Na korytarzu nie było nikogo. Inne drzwi prowadziły do kolejnych pomieszczeń, zapewne takich samych komórek jak ta, w której go trzymali. Tam też cuchnęło wilgocią i starymi szmatami. Michał wsunął bagnet za pasek spodni i wyjął z zamka pęk kluczy. Nasłuchiwał chwilę i wydawało mu się, że dobiegł go jakiś dźwięk zza drzwi po przeciwnej stronie korytarza. Starając się działać cicho, otworzył je. Zaświecił lampą.

– Boże, pan pułkownik – rozległy się westchnienia ulgi.

Jego żołnierze przedstawiali żałosny widok. Poobdzierani, poranieni i rozbrojeni, wyglądali jak banda włóczęgów. Gestem nakazał im zachowanie ciszy. Odstawił lampę i kolejno przecinał ich więzy. Było ich pięciu. Ruszyli w stronę schodów, po których zaczęli się wspinać, starając się nie narobić hałasu jakimś nieostrożnym krokiem. Za drzwiami, wokół których szparami przebijało światło, słychać było przytłumione głosy. Michał musiał zdecydować, co robić. Czy czekać, aż ktoś tu zejdzie i spróbować obezwładnić przeciwników pojedynczo, czy też otworzyć drzwi i atakować w ciemno, wykorzystując element zaskoczenia? Wyjął bagnet, odstawił lampę i sięgnął do klamki.

Anna dzięki Ksaweremu mogła zobaczyć się z Dukajskim. Serce jej się ścisnęło na jego widok.



Wciąż przed oczami miała spuchniętą głowę z raną, której brzegi otworzyły się jak purpurowy kwiat. Od początku wbrew Ksaweremu planowała, jak pomóc pułkownikowi.

– Przecież wiedząc, gdzie go trzymają, możemy go uwolnić! – upierała się przy swoim, zanim udali się do piwnicy, w której przebywał Dukajski. Tupąła przy tym i zaciskała dłonie z niecierpliwości.

– Anno, zrozum. Nie chcę narażać na szwank moich znajomych, którzy mi zaufali i umożliwili mojej siostrze być może ostatnie spotkanie z ukochanym – tłumaczył Ksawery. – Nie możemy poinformować władz. Od razu będzie wiadomo, że to ja. Wystarczy, że mają pułkownika. Nie uważasz?

Anna domyślała się, że brat liczył zapewne na polubowne rozwiązanie sprawy, czyli wydanie Dukajskiego w zamian za rozpoczęcie negocjacji z namiestnikiem. Ona jednak nie była przekonana, że ci ludzie uwolnią pułkownika. Nawet jeśli, to zapewne w kiepskim stanie. Jej przypuszczenia potwierdziły się, gdy go zobaczyła. Nieopatrzona rana groziła zakażeniem. Możliwe, że Dukajski miał wstrząśnienie mózgu. Powinien leżeć, odpoczywać, a nie tkwić w piwnicy.

Hrabianka Lipińska nie potrafiła się pogodzić z własną bezsilnością. Nie spała pół nocy, planując w szczegółach ucieczkę człowieka, którego może i nie cierpiała, ale w tej chwili współczuła mu z całego serca. Zyskał w jej oczach, odmawiając użycia broni przeciwko studentom. To co prawda niewiele zmieniało, jeśli chodzi o jego zamiary wobec niej, ale przynajmniej będzie miała czyste sumienie, że zrobiła wszystko, by mu pomóc.

Zanim pojechała z Ksawerem na ulicę Krupiańską, bez wielkich nadziei na powodzenie akcji, przygotowała niewielki nóż wyszperany w kuchni, który starannie owinęła w kawałek ciemnego materiału. Ukryła go w rękawie sukni. Nie było sensu wtajemniczać Ksawerego w cały plan, bo zapewne wybiłby go jej z głowy. Opłaciła sownie Gabrysia, młodego lokaja, żeby wieczorem czekał w wynajętym powozie na rogu Krupiańskiej i Łyczakowskiej. Miał nie wracać przed północą, a ewentualnego pasażera zawieźć tam, gdzie ten sobie zażyczy.

Anna nieźle się nakombinowała, żeby zostawić nóż Dukajskiemu, i to tak, by Ksawery się nie zorientował. Najpierw obmywała mu twarz, ale mężczyźni rozmawiali, więc nie mogła stanąć między nimi. Z nerwów i niecierpliwości cała dygotała. Podrzucenie noża to pestka w porównaniu z przekazaniem informacji o powozie. W głowie miała kilka scenariuszy, ale okazało się, że nie przewidziała własnego zdenerwowania i tego, że Ksawery będzie stał tuż obok niej. Piwniczne pomieszczenie było niewielką komórką, w której nie miała żadnego pola manewru. Wreszcie mieli wyjść. Wtedy w akcie desperacji zawróciła i objęła Dukajskiego. To dało jej kilka sekund. Szepnęła mu wiadomość do ucha i puściła trzymany w dłoniach nóż, modląc się, by podczas upadku nie wysunął się ze szmatki i nie zadzwęczał na podłodze. Bała się, że Michał nie usłyszał, co powiedziała, bo nie zareagował. Nie poruszył się, nawet nie mrugnął okiem.

Całą drogę do domu milczała, zastanawiając się, czy jej plan się powiedzie. Teraz wszystko zależało od Dukajskiego. Wyglądał na wycieńczonego i słabego. Możliwe, że nie ucieknie, ale przynajmniej ona będzie mieć pewność, że zrobiła wszystko, co mogła. A na pewno więcej niż niejeden mężczyzna. To powinno ją uspokoić. Niestety, nie mogła zasnąć ani skupić się na czytaniu. Była zła na siebie, bo powinna mieć gdzieś Dukajskiego, powinna przestać o nim myśleć, a już z pewnością nie powinna się martwić, co się z nim stanie. Tymczasem jak wariatka obsesyjnie miała w głowie jego spuchniętą twarz. Zasnęła nad ranem, zmęczona i znękana własnymi myślami, uczuciami i walką z nimi.

Mimo wyczerpania Anna obudziła się wczesnym rankiem. Natychmiast uderzyła w nią fala niepokoju. Serce zabiło szybciej po trosze ze strachu, a po trosze z niecierpliwości. Nie wiedziała, czy gdyby Dukajski uciekł, do tej pory byłoby już coś wiadomo, czy raczej wieści przyjdą później. Kręciła się pod ciepłą pierzyną, próbując choć na chwilę ponownie zapaść w sen. Niesforne myśli uparcie krążyły nad nią jak stado wróbli nad ulicą. Spróbowała oddać się lekturze przy pierwszych promieniach słońca wpadających przez delikatne firanki, ale co i rusz łapała się na tym, że nie wie, co czyta. Wreszcie odrzuciła pościel i płacząc się w długiej falbaniastej koszuli, wyskoczyła z łóżka.

Tak czy inaczej nie miała zamiaru czekać. Zanim zdążyła zawołać Manię, żeby pomogła jej się ubrać, podjęła decyzję o wysłaniu kogoś ze służby do hrabiego Dukajskiego. Tylko tak mogła się upewnić, że wrócił.

– Dzień dobry, Anno. Coś się stało? Tak rano wstałaś i wyglądasz blado. – Mania sama wyglądała na zasnęłą. Ziewając dyskretnie co jakiś czas, krzątała się wokół Anny. Niestety, ta nie mogła jej wyjawiać przyczyny swojej bezsenności. Im mniej osób wiedziało o spotkaniu z pułkownikiem, tym bezpieczniej dla niego i dla Ksawerego. O siebie Anna się specjalnie nie martwiła. Uważała, że zawsze można udać słodką idiotkę i wykpić się z kłopotów. Z pewnością dzięki takim sztuczkom kobiety miały przewagę nad mężczyznami. Potrząsnęła głową i zwróciła się do Mani, która rozkładała na łóżku kremową bluzkę z niewielkimi bufkami oraz rozszerzaną u dołu brązową spódnicę z żakietem do kompletu.

– Po prostu nie mogłam długo zasnąć. Może to wina pogody. – Wzruszyła ramionami i zaczęła z pomocą Mani wciągać bluzkę, a potem zapinać niewielkie perłowe guziczki stanowiące ozdobę stroju.

– Trzeba było mnie zawołać. Naparzyłabym ci melisy. – Mania sięgnęła po spódnicę.

– Czytałam trochę... – Anna odpowiadała zdawkowo. Cały czas zastanawiała się, co powiedzieć służącemu, którego wysłał z misją. Szybko okazało się to stratą czasu. Kiedy Mania kończyła upinać jej włosy w węzeł na czubku głowy, Anna usłyszała pukanie do drzwi. Na szczęście była ubrana i siedziała na krześle przy toalecie, bo gość nie czekał na zaproszenie, tylko wtargnął do saloniku, a stamtąd prosto do sypialni.

– Słyszałaś, siostrzyczko? Dukajski zbiegł – wyrzucił z siebie Ksawery.

Anna poderwała się z krzesła, żeby ukryć zdenerwowanie i radość.

– Co ty mówisz? – udała zdziwienie.

Mania zamarła z rękami w powietrzu, zaskoczona wizytą mężczyzny w kobiecym pokoju. Ze zdenerwowania Anna nie zwróciła na to uwagi. Zaraz jednak się opamiętała i skarciła brata.

– Przepraszam, ale myślałam, że chciałabyś wiedzieć – powiedział Ksawery, patrząc na nią podejrzliwie. – A przy okazji... Czy miałaś z tym coś wspólnego?

– Ja? Chyba zwariowałeś! Niby jak miałabym tego dokonać? – Dziewczyna miała nadzieję, że uda jej się nabrać brata. Gdyby to był Maurycy, od razu by się zorientował, że kręci. Ale Ksawery przyjrzał jej się jeszcze raz i więcej o nic nie zapytał. Pogroził jej tylko palcem, co przyjęła z miną wyrażającą politowanie. – Lepiej opowiedz, jak to się stało.

Ksawery zerknął na Manię, która dygnęła i wyszła z pokoju, po czym rozsiadł się w fotelu przy biurku i zaczął mówić. Anna dla niepoznaki opadła na krzesło. Z niecierpliwości niemal wyłamała sobie palec wskazujący lewej dłoni.

– Podobno ktoś mu pomógł. Stąd moje pytanie. Jakimś cudem uwolnił pozostałych żołnierzy. Nie znam szczegółów. Wiem tylko tyle, że doszło do walki wręcz z przetrzymującymi ich Ukraińcami. Wiem, że ktoś zginął. W większości to byli studenci, którzy nie mieli pojęcia o walce. Dukajski wrócił do garnizonu...

– I co teraz, Ksawery? Czekają go sąd? – Tym razem Anna wiedziała, że nie może mu pomóc. Chociaż gdyby tak dostać się do namiestnika...

– Nie sądzę, siostrzyczko. W końcu uwolnił swoich ludzi, ale nie wiesz o najważniejszym. Podobno żołnierze zabrali ze sobą jednego z inicjatorów zamieszek. I to powinno ostatecznie złagodzić karę wymierzoną pułkownikowi. Z pewnością całkowicie jej nie uniknie, ale przynajmniej nie skończy przed plutonem.

Anna pokiwała tylko głową, niezdolna, by wypowiedzieć choćby słowo. Wszystko skończyło się dobrze. Dzięki niej. Jednak nie oczekiwała żadnych podziękowań, a nawet miała nadzieję, że Dukajski okaże się na tyle inteligentny, że jej nie zdradzi.

Ksawery wstał.

– Teraz możesz spać spokojnie, siostrzyczko. No i na twoim miejscu wyglądałbym ukochanego, bo coś mi mówi, że po tych przejściach rychło cię odwiedzi – mówiąc to, Ksawery

uśmiechnął się drwiąco.

– Lepiej nie wywołuj wilka z lasu. Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło.

– Nie dla wszystkich. Pamiętaj o tym biedaku, na którego spadnie kara za to całe zamieszanie. –

Ksawery wyglądał na przejętego.

– Znasz go?

– Nie osobiście. Ale mogę sobie wyobrazić, co się z nim stanie.

– Przecież można wstawić się za nim u namiestnika.

– I uważasz, że to coś zmieni? Obawiam się, że ten, kto odważyłby się na taki czyn, tylko rozsierdziłby namiestnika i zamiast pomóc, zaszkodziłby nieszczęśnikowi.

– Ale Ksawery, jeśli namiestnik nie okaże łaski, to będzie woda na młyn dla Ukraińców. To będzie pretekst, jak rzucenie rękawicą w twarz. – Anna wolała się nie zastanawiać, do czego zdolni będą ci ludzie, gdy się ich sprowokuje. Już teraz podnieśli rękę na pułkownika wojsk Cesarskiej i Królewskiej Armii.

– Cóż z tego, skoro hrabiemu Potockiemu wydaje się, że silniejszy ma zawsze rację – odparł ze smutkiem Ksawery i ruszył ku drzwiom, ale kiedy chwycił za klamkę, zatrzymał się i obrócił w stronę siostry. – Niestety, to tylko jeszcze bardziej poróżni dwa narody, które w gruncie rzeczy mają ze sobą więcej wspólnego, niż każdy z nich chce to przyznać. Ale my, zdaje się, nie mamy na to żadnego wpływu.

Anna nie zgadzała się z bratem, lecz nie zdążyła mu tego powiedzieć, bo wyszedł i zostawił ją z głębokim poczuciem niezgody, niesprawiedliwości i bezsilności. Jak widać nawet słabi, w tym kobieta taka jak ona, mogą odmienić losy świata. Uwalniając Dukajskiego, wprawiła w ruch maszynę zemsty. Oklapła na krzesło zgnębiona. Czy mogła przewidzieć, że ten dureń weźmie zakładnika? Że już na zawsze obciąży ją piętnem odpowiedzialności za to, co spotka tego człowieka i wielu innych, w większości zupełnie niewinnych ludzi?

Od rozmowy z bratem śledziła wszelkie wiadomości napływające z miasta i mające związek z pojmanym ukraińskim aktywistą. Prasa natychmiast podchwyciła wątek i rozdmuchała do niemożliwych rozmiarów całą tę tragedię. Oczywiście walczyli między sobą zwolennicy narodowców ukraińskich i ich zdecydowani przeciwnicy. W tym wszystkim szybko zapomniano o Dukajskim, a jeszcze szybciej o nieszczęśniku przesłuchiwanym i przetrzymywanym w cytadeli. W całym zamieszaniu i wśród wyrzutów sumienia, które targały Anną, zapomniała o Małaszewiczu. Przypomniał o sobie sam we własnej osobie, pojawiając się dwa tygodnie później w pałacyku Lipińskich z popołudniową wizytą.

Wezwana przez ojca Anna weszła do salonu zawstydzona i jednocześnie zdziwiona. Po ich ostatniej schadzce, którą Małaszewicz dotąd pomijał milczeniem, nie liczyła na to, że nadal się nią interesuje. Przywitała się uprzejmie, unikając jego wzroku i przysiadła sztywno na brzegu kanapy. Mimo to zarejestrowała, że ubrany jest jak zawsze z niezwykłą elegancją i dbałością o każdy szczegół, co niezmiennie robiło na niej wrażenie. Począwszy od nienagannie ułożonej fryzury, przez śnieżnobiałą koszulę, grafitowy żakiet, na którym próżno szukać było najmniejszego pyłku, po ciemnoszare długie spodnie.

– I cóż pan sądzi o tym całym zamieszaniu? – zagaił hrabia Lipiński.

Małaszewicz, rozparty w fotelu z pewnością siebie cechującą częstych bywalców salonów nawykłych do skupiającej się na nich uwagi, prychnął jak niezadowolony kot.

– Słusznie pan nazwał zamieszaniem, drogi hrabio, to, co się dzieje w ostatnich dniach. *Mon Dieu*, jak można było pozwolić, żeby żołnierze zostali wzięci do niewoli i to przez kogo?! – Tu Małaszewicz uniósł palec wskazujący. – Przez bandę chłystków, w dodatku Ukraińców. Gdyby nie bezmyślność pułkownika Dukajskiego, bo chyba tak brzmi jego nazwisko, nie doszłoby do tej *situation très dangereuse*<sup>[11]</sup>.

Anna poczuła, jak serce jej przyspiesza, ale tylko zacisnęła zęby i nie odezwała się. Ojciec, znając jej poglądy na to, co się działo w mieście, spojrzał na nią ostrzegawczo.

– Myślę, że pułkownik postąpił słusznie z punktu widzenia moralności. Natomiast nie powinien

narażać swoich ludzi i przeciwstawiać się rozkazom – odrzekł dyplomatycznie hrabia.

– Moralność? Czy można mówić o moralności, kiedy ma się przed sobą bandę – chwilę szukał słowa – *fauteurs de troubles*? Wichrzycieli.

– Więc uważa pan, że nie powinno się ich wysłuchać? – Anna nie wytrzymała. Przeszywała Małaszewicza wzrokiem.

– *Mademoiselle* raczej żartować. Jeśli ktoś w taki sposób chce przykuć czyjąś uwagę, to zasługuje na potępienie. Gdybym ja chciał zmusić siłą moich inwestorów do wyłożenia gotówki, nic bym nie osiągnął. Powinno ich się wysłuchać, ale wtedy, gdy mówią, a nie kiedy wrzeszczą. – Małaszewicz z zadowoleniem rozparł się w fotelu.

– Rzeczywiście wywoływanie niepokoju w mieście to nie najlepszy sposób, by zwrócić uwagę na pewne palące kwestie – przyznał ugodowo hrabia Lipiński.

– Co nie zmienia faktu, że pułkownik zachował się skrajnie nieodpowiedzialnie – odparował Małaszewicz.

– Być może, ale gdyby postąpił inaczej, kto wie, co dziś działałoby się na ulicach Lwowa i ile ofiar by to za sobą pociągnęło. – Anna nie miała zamiaru odpuścić.

– Wierzę, że wojsko poradziłoby sobie z sytuacją na tyle skutecznie, że to odstraszyłoby na długo kogokolwiek od publicznych wystąpień. W końcu Cesarska i Królewska Armia to potęga, *pas vrai*<sup>[12]</sup>? – Małaszewicz nie spuszczał z niej wzroku. Czują, że się rumieni. Opuściła głowę i zapatrzyła się na splecione na kolanach dłonie. Straciła wątek i nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Zanim jednak pozbiierała myśli, rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Lokaj zaanonsował przybycie pułkownika Dukajskiego.

Hrabia Lipiński wyraził swoje zdziwienie tą niespodziewaną wizytą, ale kazał wprowadzić gościa do biblioteki. Natomiast Małaszewicz poruszył się niespokojnie na swoim miejscu.

Serce Anny gwałtownie przyspieszyło. Ta wizyta mogła oznaczać dwie rzeczy. Że stan pułkownika jest na tyle dobry, by mógł wyjść z domu, i że nie został osadzony w więzieniu. Swoją drogą to byłaby dopiero niesprawiedliwość, gdyby zamknięto go tak samo jak jego prześladowcę. Dopiero kiedy Dukajski stanął w drzwiach i trzaskając obcasami, przywitał się ze wszystkimi, Anna pobladła ze strachu. Co jeśli pułkownik zechce jej podziękować i wyda się, że brała udział w jego ucieczce? Co pomyśli o niej Małaszewicz? Nawet jeśli do tej pory nie stracił nią zainteresowania, to w tej sytuacji zrezygnuje ze zdobywania względów kogoś, kto ma na sumieniu nocne wycieczki do siedziby narodowców ukraińskich. Nie było wyjścia, za wszelką cenę musiała zapobiec najgorszemu.

Dukajski zajął miejsce w fotelu naprzeciw niej. Wciąż był blady, a na głowie nosił opatrunek przytrzymywany ciemną opaską, ale poza tym wyglądał nadspodziewanie dobrze, co Annę zaskoczyło. Człowiek, który otarł się o śmierć, powinien mieć odrobinę pokory czy strachu w spojrzeniu. Tymczasem on patrzył na nią z tym samym diabelskim ogniem w oczach. Natomiast pobladłego Małaszewicza obdarzył pogardliwym uśmiechem.

– Cóż pana pułkownika sprowadza do nas z niespodziewaną wizytą? – zagaił hrabia Lipiński, a Anna skurczyła się w sobie. Za chwilę wszystko się wyda. Popatrzyła błagalnie na Dukajskiego. Oczy mu się śmiały. Dostrzegł jej strach i wiedział, że ma ją w garści. Cholerny bufon.

– Myśleliśmy, że pan przebywa w więzieniu. Krążą słuchy, że zignorował pan rozkaz. – Małaszewicz wtrącił się z szyderym uśmiechem, zakładając nogę na nogę i moszcząc się z powrotem wygodnie w fotelu. Anna podziękowała mu za to w duchu. Odwlekl tym samym nieuchronnie.

Dukajski przeszył go lodowatym spojrzeniem. Zanim odpowiedział, pokiwał głową.

– Widzę, że jest pan doskonale poinformowany. Ktokolwiek dostarczył panu informacje, nie wiedział, że rozkaz nakładał na mnie obowiązek stłumienia zamieszek, natomiast nie kazano mi strzelać. To była moja decyzja. Jak pokazał czas – słuszna.

Wszyscy obecni zamilkli z zaskoczenia. Pierwsza odzyskała głos Anna.

– To dlaczego całe miasto i wszystkie gazety pisały, że czeka pana sąd?

– Być może z tego samego powodu, z którego pan Małaszewicz twierdzi, że powinienem być w więzieniu. Nikomu nie zależało na tym, by poznać prawdę. Liczyła się wyłącznie sensacyjna wiadomość. Sensacja. To napędza sprzedaż gazet, czyż nie? – Dukajski zwrócił się do Małaszewicza, który wpatrywał się w niego spod ściągniętych brwi.

– Pańska ucieczka z więzienia, w czasie której zginął z pana ręki człowiek, jest zapewne większą sensacją – wysyczał Małaszewicz.

Anna zdębiała. Rzeczywiście słyszała, że ktoś zginął, ale przez myśl jej nie przeszło, że z ręki Dukajskiego.

– Czy to prawda, panie pułkowniku? Jak w ogóle udało się panu uwolnić? – wtrącił się hrabia Lipiński, poruszając nerwowo wąsem.

Dukajski popatrzył badawczo na Annę. Szok spowodowany informacją, że przyczyniła się do czyjejś śmierci, wyparł skutecznie strach o siebie. Siedziała jak zaczarowana, a myśli wirowały jej w głowie.

– Otrzymałem pomoc z zewnątrz. – Dukajski zamilkł ze wzrokiem utkwionym w poblądlą Annę.

– Niech pan zdradzi coś więcej, jeśli to nie jest tajemnica wojskowa – zachęcał hrabia.

– Niech pan opowie, jak to jest zabić z zimną krwią niewinnego człowieka – dodał Małaszewicz.

Anna zadrżała.

– Nie był niewinny. Został opłacony, by mnie zamordować – rzucił Dukajski, wbijając wzrok w Małaszewicza. – Nie zostawił mi wyboru. Albo on, albo ja. Zanim skonał, zdradził mi, kto posunął się do nasłania mordercy na człowieka, który w żaden sposób nie mógł się bronić.

Anna cicho krzyknęła i zasłoniła dłonią usta. Było jej niedobrze. Wszystko to, napięcie ostatnich dni, wizyta Małaszewicza i Dukajskiego, któremu najwidoczniej uratowała życie, dało o sobie znać. Oddychała szybko, spazmatycznie chwytając powietrze, ale zamiast poczuć się lepiej, wrażenie wiru szalejącego w głowie narastało.

– Anno, czy wszystko dobrze? – zapytał Dukajski.

– Córciu? – wtrącił zaniepokojony hrabia i podszedł do Anny.

– Przepraszam. Nie czuję się najlepiej, chyba powinnam wyjść. – Podniosła się, na co pułkownik zareagował błyskawicznie. Stał przy kanapie i podał jej ramię.

– Wyjdziemy do ogrodu. Powinnaś odetchnąć świeżym powietrzem. Panowie wybaczą... – zwrócił się do hrabiego i Małaszewicza, który patrzył na niego zaciętym wzrokiem.

– Może lepiej pójdziesz do siebie, Anno? – zapytał hrabia Lipiński, zapewne mając świadomość, że nie wypadało, by wychodziła z Dukajskim, ale ten odpowiedział za nią:

– Wystarczy chwila na powietrzu, prawda Anno? Będziemy widoczni z okien. – Pułkownik najwidoczniej właściwie zrozumiał troskę hrabiego o reputację córki. A że ta chwilowo nie miała siły się z nim sprzeczać, potaknęła tylko i zawisła na ramieniu pułkownika, czując kolejną falę mdłości. Jeśli nie chciała zwymiotować w obecności mężczyzn, powinna natychmiast wyjść.

Ojciec wezwał służącą, która przyniosła Annie okrycie, a Dukajskiemu wojskowy płaszcz.

– Gdybyś się poczuła gorzej, wezwij Manię, niech cię odprowadzi do twoich pokoi.

– Oczywiście, papo – wydusiła z siebie Anna.

Dukajski wyciągnął ją na zewnątrz, na zalany słońcem trawnik, który ugiął się miękko pod ich stopami, i potem na ławkę w cieniu ogołoconych dębów. Kucnął przy jej nogach.

– Wszystko dobrze, maleńka?

– Nie – rzuciła, zerwała się z ławki i ruszyła w stronę krzewów, gdzie zwymiotowała. Żołądek kurczył się i skakał w stronę gardła, łyzy płynęły, a ziemia wirowała i gdyby Anna nie chwyciła się drzewa, upadłaby. Otoczyły ją ramiona, w których zawisła, targana torsjami jeszcze przez dobrych kilka minut.

– Już dobrze. Wytrzymaj twarz. – Dukajski podał jej chustkę. Przyjęła ją z wdzięcznością. Otarła mokre od łez oczy i usta. Stali blisko siebie, ale pułkownik tylko odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów.

– Dziękuję, maleńka – wyszeptał. – Uratowałam mi życie.

– Czy to prawda? Że chcieli cię zamordować? – spytała bardziej z ciekawości niż ze strachu o niego.

W odpowiedzi skinął głową.

– Ale to nieważne. Świadomość, że jesteś, trzymała mnie przy życiu. Wspominałem nasze spotkanie nocą w ogrodzie, to, jak smakowałaś, twój zapach... A potem pojawiłaś się jak sen i gdyby nie nóż od ciebie, byłoby po mnie. Jak powiedziałem, ten człowiek został opłacony, żeby mnie zamordować. I udało mu się to.

Anna patrzyła w jego oczy jak zahipnotyzowana. Wiatr zaszeleścił resztkami liści na dębie. Dopiero po chwili dotarło do jej świadomości to, co Michał powiedział.

– Jakie spotkanie? Kiedy?

– Chyba nie myślałaś, że w waszym ogrodzie to ten pajac czekał na ciebie? – Dukajski kolejny raz pogładził jej policzek, ale tym razem Anna odepchnęła jego dłoń.

– Skąd wiesz, że miał tam czekać? – Nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Mógł widzieć ją i Małaszewicza, a teraz kłamać.

– Widziałem, jak wychodzisz za nim. Ukrył się tam. – Dukajski pokazał miejsce, w którym zauważył tamtego wieczoru Małaszewicza. – Na szczęście wzięłaś mnie za niego i chyba nie narzekałaś.

Anna czuła, jak serce jej przyspiesza, a krew w żyłach zaczyna się gotować. Ten diabeł wcielony jakimś cudem podszył się pod Małaszewicza. Ale jak? Dlaczego nie zorientowała się wcześniej? Przecież czuła to wszystko... Coś do niej mówił? Oddychała coraz szybciej. On nie powiedział wtedy ani słowa. To ona mówiła. Do diabła! To gorąco, które czuła w jego obecności, ta chęć poddania mu się, leniwa przyjemność i miękkość w ciele... Powinna była zorientować się od razu. Spięła się w sobie, kiedy fala wstydu zalała ją nagle na wspomnienie tego, jak jej dotykał i jak reagowała.

– Ty, ty... Nienawidzę cię – wydusiła z siebie i odwróciła się na pięcie. Gnała w stronę domu, aż zabrakło jej tchu. Gonił ją cichy śmiech Dukajskiego, lecz może tylko jej się wydawało. Ominęła salon, w którym zapewne nadal siedział ojciec i Małaszewicz, ale nie mogła teraz spojrzeć im w twarz. Jak wicher wpadła do biblioteki i stamtąd pognęła do swojego pokoju. Drzwi trzasnęły za nią głucho. Rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem. Jeśli przez chwilę nawet podziwiała Dukajskiego, to teraz nienawidziła go całym sercem. Tak bardzo, że w przyпіływie rozpaczы pożałowała nawet, że mu pomogła i że przeżył.

W tej sytuacji Anna nie miała najmniejszej ochoty pokazywać się na najbliższym balu, który tym razem organizowali dla swojej jedynaczki Dzieduszyccy. Jeśli spotka Małaszewicza, to co mu powie? Że wyszła wtedy na zewnątrz, ale zamiast niego spotkała się z pułkownikiem? Że chciałyby powtórzyć ich schadzke i przekonać się, jak to jest z nim? Teraz rozumiała, dlaczego nie wspomniał ani słowem o ich spotkaniu. Ono po prostu nie doszło do skutku, a Małaszewicz myślał, że go zignorowała. Jakimś cudem nie zrezygnował jednak z ich znajomości, o czym świadczyła jego ostatnia wizyta. Najwidoczniej mu zależało i przynajmniej tyle dobrego z tej całej sytuacji. Mógł przecież pomyśleć, że z niej taka porządna panna, że nie odważyła się na potajemne wyjście z sali. Czy proponuje jej kolejną schadzke? Czy nadarzy się okazja, by mogła go przekonać o swoich uczuciach? Nie dowie się tego, jeśli nie będzie jej na balu.

Marynia Dzieduszycka może by i rozumiała, że jej najbliższa przyjaciółka nie była w stanie uczestniczyć w przyjęciu, ale papa nawet nie chciał słyszeć o tym, żeby nie jechała. Nawet Maurycy wrócił ze wsi, a Ksawery szykował się jak panna na wydaniu na ten wyjątkowy wieczór, gdzie mieli być wszyscy najważniejsi mieszkańcy Lwowa.

Pałac przy Kurkowej piętnaście położony był w parku, do którego prowadziła otwarta gościnnie brama. Za nim rozciągał się w górę tarasami ogród, z którego roztaczał się widok na Lwów. Latem rześńie oświełony, zachęcał do spacerów, ale i w lutym zimozielone krzewy i miękkie dywan z trawy wyglądały pięknie. Anna doskonale znała ten budynek, ponieważ mieszkała tu nie tylko po śmierci

matki, ale i potem zdarzało się jej bywać u Maryni. Mimo to jak zwykle zaskakiwał ją wspaniałością i wielkością. Pałacyk Lipińskich nie mógł się równać z siedzibą Dzieduszyckich, w których posiadaniu był potężny majątek. W samym wnętrzu znajdowało się wiele obrazów znanych artystów takich jak Rubens czy van Dyck. Dzięki uprzejmości rodziców Maryni, dwa razy w tygodniu można było zwiedzić wystawę malarstwa znajdującą się pod opieką zatrudnionego w tym celu kuratora, doktora Józefa Piotrowskiego. Włodzimierz Dzieduszycki otworzył nawet muzeum przyrodnicze, do którego przekazał zgromadzone przez siebie i swoich przodków eksponaty. Anna o swojej rodzinie wiedziała tylko tyle, że wzbogacili się na handlu zbożem. Stąd posiadali wiele majątków ziemskich, których doglądali zatrudniani administratorzy, a od jakiegoś czasu również bracia.

Dziś Marynia tylko mignęła Annie w holu tonącym w powodzi świateł i pachnącym oszałamiająco od kwiatowych kompozycji, przygotowanych zapewne z roślin wyhodowanych w oranżerii. Przyjaciółka miała wreszcie swój wielki dzień, kiedy błyszczała wśród innych panien. Lekka toaleta z błękitnej lejącej tkaniny wyjątkowo pasowała do dziewczyny i ładnie podkreślała jej zaróżowioną z emocji cerę. Tym razem też spisała się jej asystentka, bo w taki sposób ułożyła puszące się i niezbyt bujne włosy, że sprawiały wrażenie gęstych i falujących.

Dziewczęta uśmiechnęły się do siebie ciepło i każda ruszyła w swoją stronę, choć uwadze Anny nie umknął rumieniec, który wykwitł na policzkach Maryni, gdy przechodziła obok braci Lipińskich. Mina Maurycego mówiła sama za siebie. Zachwyt i smutek to idealne połączenie świadczące o uczuciach. Wyswatanie tych dwojga nie powinno nastroczać większych problemów. Pokrzepiona tą myślą Anna ruszyła ku reprezentacyjnej sali balowej, która lśniła i onieśmiałała. Wydawała się jeszcze większa niż w rzeczywistości dzięki lustrum na ścianach.

Orkiestra wynajęta na ten wieczór na razie wygrywała z cicha spokojną melodię. Goście, w oczekiwaniu na posiłek poprzedzający bal, rozmawiali i co rusz ktoś wybuchał śmiechem. Wszystkim dopisywał doskonały humor, który udzielił się też Annie. Nie widziała nigdzie Dukajskiego, za to Małaszewicz ukłonił się jej z daleka. Jak zawsze ubrany był z niebywałą elegancją, w nienagannie skrojony czarny frak, lśniące lakierki oraz śnieżnobiałą koszulę widoczną zza pikowanej kamizelki. Anna odpowiedziała mu skinieniem głowy.

Hrabianka Lipińska założyła na ten najważniejszy chyba w sezonie bal wspaniałą suknię zamówioną w Paryżu. Bładoróżowe falbanki okalały dekolt i przechodziły w delikatne bufki. Suknia opływała szczupłą figurę dziewczyny, podkreślając wąską talię i kształtne piersi pasem mieniących się perełek. Kończyła się delikatnymi marszczeniami na wysokości kostek. Z pomocą Mani Anna upięła włosy do góry w zgrabny kok, z prawej strony którego spływały starannie ułożone loki, połyskujące w ciepłym świetle lamp.

Po obfitym, tak pożądanym w ten mroźny wieczór, gorącym posiłku z obowiązkowym bigosem, którego smak Anna doskonale pamiętała z czasu, gdy była gościem w pałacu przy Kurkowej, goście wrócili do sali balowej. Anna, jak przystało na damę, jadła niewiele, ale i tak ogarnęła ją senność oraz rozleniwienie. Papa odszedł w stronę starszych mężczyzn, którzy rozprawiali w drugim końcu pomieszczenia. Annie towarzyszyli bracia w czarnych frakach, ale nie na długo. Znajome mrowienie na karku kazało jej się obrócić. W przeciwnym krańcu sali Dukajski rozmawiał właśnie z Kniaziołuckim i kilkoma innymi młodymi mężczyznami, których Anna знаła tylko z widzenia. Ich oczy się spotkały, ale ona jedynie prychnęła i odwróciła się. Napotkała spojrzenie Małaszewicza. Najwidoczniej zobaczył jej reakcję. Zareagował uśmiechem i zanim wodzirej zarządził pierwszy taniec, ruszył prosto do niej. Z satysfakcją Anna obserwowała niewróżącą nic dobrego minę pułkownika i miała to szczerze gdzieś. Wreszcie była wystarczająco blisko Małaszewicza, by z nim porozmawiać.

– Dlaczegoż mnie zignorowałaś na swoim balu, *ma chère*? – zaczął bez wstępów.

– Nie zignorowałam. W ciemności nie mogłam do pana trafić. – Anna postanowiła kłamać. Z wrażenia zaschło jej w ustach. Na szczęście taniec polegał głównie na wykonywaniu serii figur dyktowanych przez wodzireja, więc nie musiała zbyt skupiać się na dreptaniu wokół partnera. Od dłoni Małaszewicza, mimo rękawiczek, które obowiązkowo nosili, biło przyjemne ciepło.

Zastanawiała się, co czułaby, gdyby dotykał ją bezpośrednio tymi dłońmi.

– Czy zechcesz w takim razie spotkać się ze mną za kilka minut w westybulu? – zapytał, gdy kolejny raz znalazła się z nim twarzą w twarz. – Oczywiście znikniemy wszystkim z oczu.

Małaszewicz obrócił ją i puścił, żeby mogła przejść między inną parą. Czekala na ten moment, ale teraz nie była pewna, co ma odpowiedzieć. Nie wiedzieć czemu, na dnie serca odezwał się strach. Potrząsnęła głową, odpędzając go i z uśmiechem zgodziła się, a kiedy muzyka umilkła, każde z nich osobno ruszyło w stronę wyjścia. Wszystko było lepsze niż zaloty Dukajskiego. W tłumie ludzi zdawałoby się, że przemknęli niezauważeni. Ale czujny wzrok pułkownika śledził ich aż do drzwi. Zaaferowana czekającym ją spacerem Anna nie zwróciła na to uwagi. Tak samo jak nie zauważyła, kiedy Dukajski, przeprosiwszy mężczyznę, podążył za nią.

Na korytarzach pałacowych kręciło się kilka par, zazwyczaj były to małżeństwa lub panowie prowadzący zacięte dyskusje, ewentualnie kobiety, które poprawiały swoje toalety. Małaszewicz jednak poprowadził ją dyskretnie w takie miejsce, gdzie zniknęli z oczu wszystkim. On szedł pierwszy, ona dla niepoznaki za nim. Boczne skrzydło pałacu miało potężne drzwi we wnękach, gdzie mogli się ukryć. Anna ledwie mogła złapać oddech ze zdenerwowania. Jej towarzysz zatrzymał się i obrócił ją ku sobie, żeby wycisnąć na jej ustach delikatny pocałunek. Anna rozchyliła wargi, czekając, aż poczuje jego język, ale nic takiego nie nastąpiło. Otworzyła oczy i spojrzała na Małaszewicza. Z czułością odsunął pukiel włosów z jej policzka i założył go za ucho. Potem bez słowa objął ją i pocałował. Anna odpowiedziała na zaproszenie i niezdarnie przylgnęła do niego. Nieśmiało przesunęła dłonie w rękawiczkach w kierunku jego karku, ale on sięgnął po nie i odsunął się, żeby je ucałować. Serce łomotało jej tak głośno, że nie słyszała orkiestry wygrywającej właśnie walca.

– Anno, uczyniłaś mi w tej chwili wielki zaszczyt i dałaś nadzieję na przyszłość – wyszeptał, patrząc jej w oczy. – Czy nie będziesz miała nic przeciw temu, żebym pojawił się u twojego ojca z konkretną propozycją?

Radość pomieszana ze strachem wypełniała głowę Anny i uniemożliwiała jej logiczne myślenie. Zrozumiała jednak intencje Małaszewicza.

– Oczywiście, Adamie – odpowiedziała.

– Uczyniłaś mnie *très heureux, ma chère*<sup>[13]</sup>. – Uścisnął jej dłonie i jeszcze raz je ucałował. – A teraz wracamy. Mamy przed sobą wiele takich chwil.

Anna odwzajemniła uścisk i ujęła podane jej ramię. Ruszyli w stronę sali balowej. W głowie jej się kręciło, choć emocje z wolna opadały. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nie tego oczekiwała. Czego konkretnie chciała, też nie była w stanie powiedzieć. Kiedy przekroczyli próg sali, zdała sobie sprawę z tego, że w jej głowie wciąż Małaszewicz był namiętym mężczyzną, z którym całowała się wtedy w ogrodzie, na jej balu. Teraz rozumiała, że się nie myliła i rzeczywiście on ma w sobie dużo więcej delikatności niż Dukajski. I zrobiło jej się dziwnie smutno. Zaraz jednak odepchnęła to uczucie i z uśmiechem oraz spokojem na twarzy wkroczyła u boku Małaszewicza w krąg jaskrawego światła, muzyki i rozmów. Nie pozostanie starą panną, a i do kolejnego sezonu nie dotrwa w panieństwie, co było powodem do radości. Wreszcie wyrwie się z domu, ze Lwowa, w wielki świat. Może nawet do Paryża, kto wie. O tym myślała w czasie kolejnego walca, do którego zaprosił ją Małaszewicz, by potem odprowadzić ją do ojca.

Nie zdążyła nawet złapać tchu, kiedy jak spod ziemi wyrósł przed nią Dukajski. W oczach miał błysk, który tak dobrze знаła i który zwiastował same kłopoty. Chwilę patrzyli na siebie. On nachmurzony i zły, ona z zaciętym wyrazem twarzy.

– Panie hrabio, czy mogę prosić o kolejny taniec z pana córką? – Dukajski zwrócił się do Lipińskiego.

– Jeśli tylko moja córka wyrazi chęć – odpowiedział hrabia i skinął głową.

Anna naturalnie miała wielką ochotę odmówić pułkownikowi lub najlepiej odwrócić się do niego plecami i zignorować go, ale jakieś лихо, może to jego drwiące spojrzenie, kazało jej podać mu dłoń.

– Oczywiście. Z przyjemnością – powiedziała na głos, a do Dukajskiego, który podał jej ramię,



szeptnęła:

– Wątpliwa to przyjemność, zapewniam cię.

W odpowiedzi Dukajski boleśnie uściśnął jej dłoń i obrócił gwałtownie przodem do siebie, aż zadzwoniły jej zęby i straciła równowagę. Zauważyła, że Adam poprosił do tańca Marynię, ale zaraz skupiła się na swoim partnerze.

– Co ty wyrabiasz? – rzuciła, oparłszy się na jego piersiach.

– W porównaniu z tym, co ty wyrabiasz, moja droga, to jest niewinna zabawa – wysyczał jej do ucha i mocno ścisnął dłoń.

– To boli! – Szarpnęła się, choć z niewielkim skutkiem. Dłoń zaboląła ją jeszcze bardziej. – Czego znowu ode mnie chcesz?

– Dobrze wiesz czego.

– Akurat tego nie dostaniesz – rzuciła.

– Przekonamy się. Tak chętnie szafujesz swoimi wdziękami, to może i ja się załapię.

Anna najpierw zbladła, lecz po chwili krwawy rumieniec wstydu wykwitł na jej policzkach. A więc widział ją i Adama. Zaraz jednak wybuchły w niej ze zdwojoną mocą dwa uczucia: radość, a w zasadzie mściwa satysfakcja, i wściekłość. Najwyraźniej bowiem Dukajski czuł się jak jej pan i władca. Tym razem jednak przekonał się, że nie ma żadnego wpływu na Annę Lipińską. Uśmiechnęła się szeroko.

– Niedoczekanie twoje – szepnęła ze słodką miną.

Nie zdążyła dodać nic więcej, bo muzyka ucichła i odetchnęła, pewna, że Dukajski odprowadzi ją do kobiet. On jednak nie puścił jej ręki, tylko uklonił się i porwał ją z szerokim uśmiechem do kolejnego tańca. Wirowali w szaleńczym tempie przez kilka minut, nie odzywając się do siebie. On zacięty w sobie, ona skupiona na walcu, w którym nie chciała mu ustąpić kroku, choć niemal straciła oddech. Pułkownik za to wyglądał, jakby w ogóle się nie męczył. Gdzieś mignęła Annie uśmiechnięta Marynia tańcząca z Maurycym i kilka innych znajomych twarzy. Małaszewicza nie widziała. Kiedy orkiestra zakończyła taniec, Anna dyszała. Nogi jej się trzęsły. Próbowwała wyswobodzić się z ramion Dukajskiego, lecz on jej nie puścił. Wodzirej zapowiedział kolejnego walca i wokół nich przybywało par, które przypatrywały im się z coraz większym zainteresowaniem.

Kątem oka Anna widziała też ciekawskie spojrzenia matron. Dziewczęta zbite w grupę przestały chichotać i patrzyły tylko na nich. Anna czuła wstyd, którego przyczyną był ten impertynent, ten żołdak, ten prostak. Boże, jak go nienawidziła. Kawaler, tańcząc z dziewczyną więcej niż trzy razy z rzędu, narażał ją na plotki o łączącym ich romansie. Spojrzała z błaganiem w oczach na ojca, ale zarówno on, jak i bracia wyglądali na zadowolonych z sytuacji. W jednej chwili opadło z niej napięcie. Czuła, jak łyzy palą ją pod powiekami. Miała wrażenie, że cała sala patrzy tylko na nich.

– Dlaczego to robisz? – szepnęła, patrząc mu w oczy. – Co ja ci zrobiłam?

– Bo jesteś moja i nie pozwolę, żeby jakiś miękki hrabia dotykał cię, bałamucąc słodkimi słówkami. Poza tym nie znasz tego człowieka, nie wiesz, z kim masz do czynienia. – Michał patrzył, jak drży jej broda i już żałował, że dał się ponieść emocjom. Ona z nim otwarcie walczyła i to go nakręcało, podniecało, doprowadzało do szaleństwa. Do tej pory kobiety wzdychały do niego i robiły maślane oczy, a wystarczyło słowo, by wskoczyły mu do łóżka. Anna nie ustępowała mu we wszystkim jak Mathilde. Nie zgadywała jego zachcianek i nie zabiegała o niego, nie chciała jego zalotów i otwarcie mu to pokazywała, nie wiedząc, że w ten sposób stawia mu wyzwanie, co Dukajski uwielbiał. Na pewno nie chciał jej krzywdzić. A za każdym razem kiedy ją widział, osiągał efekt odwrotny do zamierzonego. Kiedy tu dziś przyszedł, miał zamiar zatańczyć z nią, spokojnie porozmawiać, a potem umówić spotkanie z jej ojcem i zaproponować mu układ nie do odrzucenia. Tymczasem ta pannica rozwścieczyła go i sprawiła, że wystawił jej reputację na szwank. I teraz będzie musiał to naprawić. Jej złością zajmie się później.

– Więc postanowiłeś zniszczyć moje dobre imię na najważniejszym balu, tak żeby już żaden kawaler nie zechciał ze mną zatańczyć...

Odwróciła twarz, ale widział, jak rozpaczliwie próbuje powstrzymać łyzy.

– Nie mam zamiaru niszczyć niczego, zwłaszcza twojego dobrego imienia, maleńka. Nie chcę, żebyś wpadła w łapy człowieka, który zlecił zamordowanie mnie. Dlatego zaraz po tym balu porozmawiam z twoim ojcem. – Przesunął dłonią po jej plecach. Spięła się w sobie pod wpływem tego gestu i spojrzała na niego, ale nie było w tym błagania. Raczej oskarżenie, mimo że dostrzegł łzę, która sunęła po jej policzku ku wargom. Zwolnił i powiódł kciukiem śladem łzy. Matrony siedzące w kącie pochylały się i rozprawały z coraz większym ożywieniem. Wyglądały jak ciemna chmura gradowa otoczona falbanami i koronkami, z której za chwilę wystrzeliły gromy. Każdy wycelowany w nią. No bo przecież według panujących przekonań to ona była winna tej sytuacji, ona dawała powody i przyzwolenie, by ją skompromitować na oczach tych wszystkich ludzi.

– Kłamiesz. Tak bardzo chcesz mnie zdobyć, że oczerniasz niewinnego człowieka. Nienawidzę cię – szepnęła i wtedy zrozumiał, że te łzy to nie łzy rozpaczy, lecz wściekłości i bezsilności.

– Małaszewicz nie jest niewinny. W dodatku to tchórz. Nie miał odwagi sam dokonać dzieła, dlatego przekupił tego studenta. – Michał żałował, że powiedział jej, czego się dowiedział od swoich ludzi, którzy bez większych problemów ustalili, kto rozpytywał o niego i kto zlecił, za niemąłą sumę, zabójstwo więźnia. Ale teraz nie miał zamiaru jej przekonywać, że mówił prawdę. Najważniejsze to trzymać tego typu z dala od Anny. – Niedługo zmienisz zdanie, moja słodka złośnico – rzucił przed siebie i znowu zakręcił nią, aż musiała się na nim oprzeć. Na szczęście taniec się skończył, a ona odwróciła się i zrobiła krok w stronę dziewcząt wpatrujących się w nią jak w jakieś dziwowisko. Niestety, Dukajski stał jak wmurowany. Przeknęła ślinę i spokojnie powiedziała:

– Odprowadź mnie, proszę, zanim do reszty mnie skompromitujesz.

– Chyba na to za późno.

Rozległy się pierwsze takty kolejnego tańca i Anna wiedziała, że nie ma szans w starciu z tym człowiekiem. Ponownie przyciągnął ją do siebie, ucałował dłoń i znowu zaczęli tańczyć. Dlaczego ojciec jej nie ratował, dlaczego bracia patrzyli na to wszystko tak spokojnie, a Katarzyna i Franciszek uśmiechali się do niej? I gdzie był Małaszewicz? Jedyne, co przychodziło jej teraz do głowy, to wylać swoją złość na tego, który był jej przyczyną.

– Jesteś podłym człowiekiem bez zasad i honoru.

– Już to mówiłaś – odparł ze złośliwym uśmiechem.

– Masz maniery jak prostak, prymitywny żołdak...

– Nie denerwuj się tak, maleńka, bo będę musiał zamknąć ci usta pocałunkiem. – Nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie prowokować. Uwielbiał, gdy patrzyła na niego jak wściekła lwica.

– Nie ośmielisz się – wysyczała.

– To nie prowokuj, bo twój ojciec mógłby tego nie znieść. – Najwidoczniej świetnie się bawił. I w dodatku nie żartował. Wiedziała o tym. Do końca tańca już się do niego nie odezwała. Wreszcie odprowadził ją, ale nie do kobiet, tylko do ojca.

– Panie hrabio, zwracam córkę.

– Panie pułkowniku, zapraszam pana do nas jutro.

– Z przyjemnością. Panowie. – Ukłonił się jej braciom i strzelił obcasami, po czym ucałował dłoń Anny, którą ta szybko wyszarpnęła z jego ręki. Potem zniknął jak zły sen, a ona czuła, że nie dotrwa na tym balu do rana. Uświadomiła sobie, że bez Dukajskiego jest tu tylko nudno. Jakby zjadła deser przed właściwym daniem. Boże, co też jej do głowy przychodziło! Przecież Małaszewicz też zapowiedział się z wizytą. Co, jeśli spotkają się z Dukajskim jak ostatnio?

Na szczęście zanim ojciec zarządził wcześniejszy powrót do domu, podeszła do niej Marynia i odciągnęła ją na bok. Wymknęły się obie na korytarz, żeby niezauważone ukryć się w pokojach Maryni. Kiedy tylko zatrzasnęły się za nimi drzwi, przyjaciółka pociągnęła Annę w stronę okna, gdzie w półmroku rozświetlonym tylko nikłym blaskiem księżycy Lipińska z cichym okrzykiem rzuciła się w ramiona Dzieduszyckiej. Łzy płynęły same, a razem z nimi żal i złość. Bo Anna nienawidziła nie mieć kontroli, nie znosiła, kiedy ktoś rozstawiał ją według własnego widzimisię po kątach, a tym razem dokładnie tak było. Dukajski realizował swój plan. Ona mogła tylko stać i się przyglądać, podczas gdy każde wyrażenie niezadowolenia kończyło się karą lub w najlepszym razie kompromitacją. Bo Anna

była pewna, że ten człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Marynia najpierw głaskała ją uspokajająco po plecach, bo dla niej to było coś nowego pocieszać Annę, kiedy to zazwyczaj przyjaciółka była tą silniejszą, tą, która pomagała i wspierała. Kiedy wreszcie Anna ochłonęła, Marynia odważyła się odezwać.

– Aniu, kochana, czemu pozwoliłaś temu człowiekowi na takie zachowanie? Przecież teraz cały Lwów... – Nie dokończyła, bo Anna wyswobodziła się z jej objęć i z napuchniętą twarzą, potarganymi włosami i z blaskiem księżyca odbitym w ciemnych źrenicach wyrzuciła z siebie z pretensją:

– I ty przeciwko mnie? – Otarła twarz dłonią w rękawiczce i wlepiła w Marynię oszalałe z gniewu oczy, aż dziewczyna się cofnęła. – Jak możesz sądzić, że on tańczył ze mną za moim przyzwoleniem? Jak możesz?!

– Ale ja nie... – Marynia patrzyła ze strachem na dyszącą z wściekłości przyjaciółkę. Jej rysy wykrzywił gniew i cienie rzucane przez słabe światło. Pochylona do przodu przypominała zjawę, złego ducha zionącego nienawiścią, który lada moment oderwie się od ziemi i zaatakuje. Dzieduszycka wzdrygnęła się i zrobiła krok w tył. Tymczasem Anna warczała przez zaciśnięte zęby:

– Nie rozumiesz, że on mnie zmusił do tego, że właśnie o to mu chodziło, żeby mnie skompromitować, żeby przyprzeć do muru i nie dać mi wyboru? On mnie osacza, zmusza do czegoś, na co nie mam ochoty.

– Ale Aniu, on nie może bez twojej zgody...

Anna zaśmiała się głucho.

– Chyba żartujesz. On nie potrzebuje ani mojej zgody, ani przyzwolenia mojego ojca. Zrobi, co zechce. Nie zauważyłaś tego?

– Przecież cię nie porwie!

– Nie wiem, Maryniu. Po nim można się spodziewać wszystkiego. – Anna oklapła i posmutniała. Stała jak porzucona szmaciana lalka. Marynia podeszła do niej i ujęła jej dłonie. Nawet przez rękawiczki czuła, że są lodowate.

– Aniu, pamiętaj, że masz mnie po swojej stronie. Poza tym powinnaś się cieszyć, że pułkownikowi tak bardzo na tobie zależy, że nie waha się narazić swoją i swoją reputację na szwank. O mnie nikt nie zabiega i obawiam się, że to się prędko nie zmieni.

Hrabianka Lipińska podniosła wzrok na przyjaciółkę. I nagle jej pozazdrościła tej przeciętności, swobody i naiwności.

– To wszystko pozory. A ty, kochana, jesteś najwspanialszą osobą, jaką znam, i jestem pewna, że niejednego kawaler zasypiać dziś będzie z twoim imieniem na ustach. – Anna otarła twarz i siąknęła nosem. – Nie dostrzegasz tego, co dziś widziałam na sali balowej. Tych spojrzeń i westchnień rzucanych w twoją stronę.

– Nie próbuj mnie pocieszać za pomocą kłamstw. Przecież wiem, że nie jestem gwiazdą wieczoru nawet na własnym balu. – Marynia westchnęła ciężko.

Anna znalazła chusteczkę w woreczku i osuszyła nią resztki łez.

– Póki Dukajski mnie nie skompromitował, byłaś gwiazdą, a nawet słońcem, kochana. Dla ciebie ten wieczór jeszcze się nie skończył, a dla mnie i owszem. – Pogłaskała ramię przyjaciółki. – Zobaczysz, że znajdzie się w końcu ten wysniony.

– Już się znalazł, ale cóż z tego... – Marynia spuściła wzrok.

– O, a któż to taki?

– Ktoś, kto na mnie nie zwraca uwagi, bo woli kompromitować ciebie.

Anna otworzyła usta ze zdziwienia. Nie odzywała się przez chwilę, tak była zaskoczona tym, co powiedziała przyjaciółka. W życiu nie przyszłoby jej do głowy, że pułkownik wpadł jej w oko. Kompletnie do siebie nie pasowali. On by ją zniszczył, przeżuł i wypluł. Marynia była za delikatna i za wrażliwa dla takiego gbura.

– Ja nie wiedziałam...

– Skąd miałaś wiedzieć, skoro on od początku na nikogo innego nie zwraca uwagi. Przecież zdaję sobie sprawę, że nie mam szans. – Dzieduszycka mięła w dłoni troczek od woreczka.

– Gdyby chodziło o kogoś innego, powiedziałabym: walcz, ja odstępuję pola. Ale on nie jest dla ciebie.

– Zrobiłabyś to? – Oczy Maryni zaiskrzyły.

– Zrobiłabym, ale to niczego nie zmienia. To nie jest człowiek dla żadnej z nas, choć to ja mam pecha i mnie będzie usiłował zmusić do czegoś, na co nie mam najmniejszej ochoty. Cała nadzieja w papie, który nie może mnie unieszczęśliwić. – Anna pozbierała się w sobie i wróciła jej wiara w swoje siły. Wyprostowała się i wzięła przyjaciółkę za rękę. – Zasłużyliśmy na kogoś lepszego! Uwierz mi, znam kogoś, kto za tobą wypatruje oczy.

– Kogo?

– Maurycego – rzuciła Anna z porozumiewawczym błyskiem w oku.

Tym razem to Marynia zaniemówiła na moment.

– Ależ on mnie nie znosi! Co ty mówisz?

– Cóż, wszystko się zmienia. Widocznie Maurycy dostrzegł w tobie to, co i ja widzę. I to jest mężczyzna, który potrafi okazać kobiecie miłość, który będzie ją nosił na rękach. Wierz mi, nikt nie zna go lepiej niż ja. – Anna uśmiechnęła się, bo zobaczyła, jak na twarzy przyjaciółki wykwita rumieniec.

– Nie wiem, Aniu...

– Ale ja wiem. Przyjrzyj się mojemu bratu, by zobaczyć to samo, co ja. A teraz chodźmy. Papa będzie się martwił, że porwał mnie ten prostak.

Roześmiały się obydwie i trzymając się za ręce, wyszły na korytarz. Cała Anna. Maryni zrobiło się jakoś raźniej na duszy po rozmowie z przyjaciółką, a przecież to ona miała ją pocieszać. Tymczasem to Anna dała jej nadzieję i rozbawiła, mimo że sama została skompromitowana i jutro stanie się obiektem plotek oraz niewybrednych żartów. Tyle tylko, że znając Dukajskiego, nie zostawi on tak dziewczyny i na pewno się jej oświadczy. Tego Marynia była więcej niż pewna i tego też zazdrościła przyjaciółce. Zaraz jednak ze wstydem odepchnęła od siebie to uczucie. Ania nigdy jej nie zawiodła, a przyjaciółki nie walczą o mężczyzn, ani nie są o siebie zazdrosne. Choćby nawet pragnęły tego samego kawalera. Poza tym pułkownik już dokonał wyboru, więc Maryni nie pozostało nic innego jak to zaakceptować.

W westybulu natknęły się na hrabiego Lipińskiego. Wylewnie komplementował do Dzieduszyckich przyjęcie, po czym przeprosił, że musi opuścić bal tak szybko. Złożył swoje wyjście na karb wieku. Hrabina uśmiechnęła się ciepło do Anny i patrząc na jej ojca, powiedziała:

– Mimo że opuszczasz nas tak wcześnie, to zauważyłam, że bal okazał się owocny...

Ojciec uklonił się i odpowiedział:

– Miejmy nadzieję.

– Znając pułkownika Dukajskiego, możesz być pewien, że nie rzucił słów na wiatr. Wiele panien wodziło za nim wzrokiem na wielu balach, ale on najwidoczniej upatrzył sobie twoją śliczną córkę, i dobrze, że zostaną małżeństwem, bo widać było, że nie zostawił Annie wyboru.

Anna zerknęła na stojącą obok Marynię i dygnęła, puszczając do przyjaciółki oko. W tym samym momencie poczuła, że żelazna obręcz ściska jej głowę. Dukajski był hrabią, pułkownikiem, ale nie mógł zostać jej mężem. Mimo tej kompromitacji to się nie mogło wydarzyć... Czuła, że zaraz zemdleje, ale grała przed Marynią spokojną i zadowoloną. Na szczęście ojciec pożegnał się i wyszli na zewnątrz, gdzie chłodny wiatr ją otrzeźwił. Mimo że był luty, w powietrzu czuło się cieplejsze prądy. Anna otuliła się szczelnie futrem.

– Papo, co tu się dzieje? Dlaczego żaden z was nie zareagował, kiedy ten... człowiek ze mną tańczył? Dlaczego księżna mówiła o Dukajskim jakby był moim narzeczonym? – wypaliła, kiedy tylko zostali sami. Przecież zarówno ojciec, jak i bracia byli świadkami tej całej sytuacji i żaden nie zareagował. Jedynie stali i patrzyli. Na ich miejscu chwyciłaby pułkownika i strzeliła w mordę. Tak właśnie, nie w twarz nawet, a w mordę. Złość Anny obróciła się przeciw papie.

Ojciec westchnął i popatrzył na nią poważnie. Kiedy wsiedli do powozu i rozsiadł się wygodnie w obitym ciemnym pluszem wnętrzu, powiedział:

- Córeczko, ty musisz za niego wyjść.
- Nie zmusicie mnie!
- Nie musimy. Dukajski jest jedynym ratunkiem dla naszej rodziny.

## ROZDZIAŁ V

### *Stracone złudzenia*

Mimo późnej pory ojciec i Anna siedzieli w bibliotece pogrążonej w półmroku rozświetlanym jedynie mdłym światłem lampy. Hrabia sączył ze szklaneczki jakiś kolorowy trunek, o którym Anna wiedziała tyle, że pochodził prawdopodobnie z zasobów Baczewskiego. W głowie jej się kręciło od nadmiaru wrażeń. Najchętniej poszłaby już spać, choć pewnie trudno byłoby jej zasnąć. Bo czy Małaszewicz w ogóle poprosi o jej rękę, skoro to Dukajski ją skompromitował i wyraźnie pokazał towarzystwu, że jest nią zainteresowany? A nawet uprzedził ojca o wizycie. Tak czy inaczej wiedziała, którego z mężczyzn wybierze. I na pewno nie miał to być pułkownik.

Anna, pogrążona w myślach, które wywoływały przyspieszone bicie serca, zapomniała na chwilę o powodzie, dla którego ojciec chciał z nią rozmawiać, tym bardziej że Lipiński nie spieszył się z wyjaśnieniem całej sytuacji.

– Papo? Co się dzieje? – zapytała wreszcie zniecierpliwiona milczeniem ojca. Hrabia wychylił resztę płynu i odstawił szklanekę na blat biurka.

– Córciu, nasz majątek jest na skraju bankructwa.

Anna zaniemówiła. Siedziała, wpatrując się w papę i nie mogąc uwierzyć w to, co mówił. Przecież ich majątek stanowiły ogromne posiadłości, które produkowały tony zboża. Poza tym bracia musieli wiedzieć lepiej niż papa, że coś jest nie tak, skoro zajmowali się na co dzień finansami i doglądaniem pracowników. Ojciec chyba się pomylił albo chciał ją wystraszyć i zmusić do czegoś, na co nie miała ochoty. Może sam przestraszył się, że skompromitowana córka nie znajdzie innego adoratora. A może żartował. Lipiński tymczasem oparł głowę na dłoniach i zamyślił się. Nie wyglądał na skłonnego do żartów.

– Ale przecież stać nas na wszystko, mamy kilka pałaców, dużo ziemi, jest jeszcze mój posag...  
– odezwała się wreszcie.

Ojciec machnął ręką.

– To nie tak, słońce. Twój posag to rzecz święta. Od niego zależy twoje szczęście i dostatnie życie, więc jest nienaruszony. Interesy, w które zainwestowałem, nie idą zgodnie z przewidywaniami. A w zasadzie straciliśmy większość majątku. To dlatego szukam dla chłopców posażnych panien, a dla ciebie... Cóż, niewykluczone, że gdybym nie zabezpieczył twojego posagu, nigdy nie wyszłabyś za mąż, żeby nie okryć rodziny hańbą. Jak dotąd nikt nie wie o naszych problemach. Na nasze szczęście pojawił się hrabia Dukajski, który wyraźnie jest tobą zainteresowany i z tych kilku słów, cośmy zamienili w czasie balu, wynika, że nie dba o twój majątek. Zależy mu na tobie, Anno. Jutro zatem dobijemy targu...

Anna zerwała się z kanapy, na której brzegu siedziała, jak urzeczona słuchając tego, co mówi ojciec.

– Papo, jak to brzmi! Jakbym była jakąś klaczą, którą sprzedajesz za kilka srebrników! Jeszcze najpodlejszemu z kupców i pierwszemu, który się o mnie ubiega. Jak możesz? – Drżała z wściekłości na całym ciele. – Nie rób tego. Błagam. Wolę żyć w staropanieństwie, niż tak się poniżyć i za niego wyjść. Czy ty nie rozumiesz, że on mnie traktuje jak rzecz, jak zabawkę do kolekcji, która mu się spodobała. Jestem jego zachcianką. Czy takiego życia dla mnie chcesz? U boku kogoś, kto mnie nie kocha?

Lipiński ciężko westchnął i pokręcił głową.

– Nie mów tak. Chcę, żebyś była szczęśliwa, córciu, a Dukajskiemu na tobie zależy. Z czasem się o tym przekonasz. Nie zgodziłby się wykupić naszych długów, gdyby mu nie zależało...

– Ale ja go nie kocham! Poza tym jestem po rozmowie z panem Małaszewiczem...

Ojciec uniósł rękę, uciszając ją tym gestem. Podszedł do niej i pogłaskał ją po policzku.

– Wybacz, duszko, ale nie mam wyjścia. Małaszewicz może i jest przedsiębiorcą z niemałym majątkiem, ale jednak nie kwapił się, by przebić ofertę hrabiego. Poza tym sama mówiłaś, że nie wierzysz w miłość, że małżeństwo to formalność, a ty chcesz męża, który sprostą twoim wymaganiom

i pozwoli ci się rozwijać i żyć swoim życiem. Popatrz na to od tej strony. Cóż, myślę, że Dukajski ma tak wielki majątek, że da ci to, czego pragniesz. No i on jest kimś więcej niż żołnierzem. Ma sporą władzę i dość pieniędzy, żeby kupić pół Lwowa. Wojsko jest dla niego tylko rozrywką. Powiedziałem mu o naszym długi. Zgodził się go spłacić, więc sprawa jest jasna. Myślę, że on zna naszą sytuację lepiej, niż mi się wydawało. Odniosłem wrażenie, że zrobił szczegółowe rozeznanie w sprawach naszego majątku. Dał mi to ostatnio odczuć.

– Sam widzisz, że nie kierują nim żadne uczucia poza chęcią postawienia na swoim. – Anna czepiała się wszystkiego, byle odwieść ojca od pomysłu wydania jej za Dukajskiego.

– Anno, będziesz panią, będziesz żyła w dostatku, swoim braciom dasz czystą kartę. I nie zostaniesz starą panną.

– No właśnie, przecież są jeszcze Ksawery i Maurycy. Jeśli się ożenią, ich żony wniosą w posagu jakiś majątek. Poczekam rok czy dwa, aż nasze finanse się poprawią i w tym czasie na pewno znajdę sobie męża. – Kiedy mówiła, ojciec kręcił cały czas głową.

– To nie takie proste, córciu. Obawiam się, że żaden posag nie jest w stanie uratować tego, co żeśmy dotąd stracili. Nawet Niesłuchów jest zagrożony. Pozostałe majątki obciążają długi. Sprzedanie ich nie wchodzi w grę, bo więcej stracimy, niż zyskamy. Poza tym z posagu żon Ksawerego i Maurycyego należy wydzielić wiana, czyli zabezpieczyć część, którą żony dostałyby po śmierci mężów, co też znacząco uszczupli dochód. A Dukajski zgodził się wszystko uregulować.

W miarę jak ojciec mówił, czuła, jak opanowuje ją słabość, w uszach jej dudni, a w piersiach ściska. Nie wszystko jednak było stracone. Małaszewicz. On był jej ostatnią szansą i ratunkiem z zachłannych łap Dukajskiego.

– Małaszewicz ma dość pieniędzy, by zapewnić mi dobre życie. Poza tym łączy nas uczucie i z pewnością zgodzi się na twoje warunki – zaczęła, ale ojciec jej przerwał.

– Rozumiem cię, duszko, lecz tu nie chodzi o ciebie. Pomyśl o nas. O swoich braciach i o mnie. Małaszewicz dał mi jasno do zrozumienia, że nie wchodzi w grę żadne korzyści dla nas. Chętnie za to weźmie twój posag.

– I dlatego chcesz mnie oddać w łapy człowieka, który, jak sam mówisz, nie ma najlepszej reputacji?

– Ależ kochana, ja tego nie powiedziałem. Wbrew pozorom Dukajski cieszy się ogromnym szacunkiem i wierzę, że cię nie skrzywdzi.

– Nie jestem tego taka pewna. Widziałeś, co zrobił dzisiejszego wieczora! Ale ja za niego nie wyjdę! Chyba wolałabym się zabić, niż zostać żoną tego żołdaka! – Zacisnęła pięści i zerwała się z kanapy. W tej chwili faktycznie była gotowa targnąć się na swoje życie. Boże, jak mogła spędzić resztę życia w towarzystwie tego prostaka?! Stała naprzeciw ojca, gotowa na wszystko.

– Dość! – Hrabia podniósł głos. – Nie masz wyjścia. On nie odpuści i śmiem twierdzić, że będzie chciał nas zaszantażować. Nie mam dowodów, ale podejrzewam, że za katastrofą naszego przedsięwzięcia stoi ten człowiek. W końcu chodzi o ropę naftową, a on siedzi w tym od lat i posiada rafinerię, więc musiał wiedzieć, jak nas zniszczyć. Los naszej rodziny jest w jego rękach. A w tej chwili w twoich rękach. Jeśli nie oddam mu ciebie, on nas zniszczy. Ja cię o to nie proszę. Ja ci nakazuję wyjść za Dukajskiego! – Ostatnie zdanie wykrzyczał, wymachując przy tym rękami, z czerwoną z gniewu twarzą. Miał nadzieję, że Anna sama podejmie właściwą decyzję, tymczasem ona jawnie sprzeciwiała się jego woli. Przyjdzie czas, że będzie mu wdzięczna, choć teraz zachowywała się jak skończona egoistka.

Anna opadła na kanapę i ukryła twarz w dłoniach. To był koniec jej młodzięcych marzeń o niezależności. Marzeń o mężu, który pozwoli jej się rozwijać i żyć wreszcie pełną piersią. Zamiast tego miała podpisać pakt z diabłem.

Dukajski pojawił się w ich domu kilka dni później przed południem, razem z marcową odwilżą. Hrabia Lipiński oczekiwał go w bibliotece. Anna nie zeszła, by przywitać się z gościem. Ostatnich kilka nocy przepłakała z bezsilnej złości. Oczy miała podkrążone, a powieki opuchnięte i nie miała najmniejszej ochoty pokazywać się w takim stanie komukolwiek, zwłaszcza Dukajskiemu. Dopiero

kiedy ojciec przekazał przez służącą, że ma niezwłocznie zejść na dół, wyszła z pokoju. Wściekłość ją rozsadzała, więc dawała jej upust, dudniąc pantoflami po schodach. Żałowała, że rano Mania wbrew niej weisnęła ją w jedną z ładniejszych sukien. Granat podkreślał bladość jej cery i błękit oczu. Dla Dukajskiego nie miała zamiaru się stroić. Mimo to widocznie wzbudziła jego zachwyty, bo kiedy weszła do biblioteki i rzuciła ciche „dzień dobry”, wstał i wpatrywał się w nią intensywnie, aż wreszcie ucałował jej dłoń. Wyszarpnęła ją z jego ręki. Dałaby sobie głowę uciąć, że kiedy szła w stronę kanapy, gapił się na nią z drwiącym uśmiechem. Zanim usiadła, Dukajski zwrócił się do jej ojca:

– Panie hrabio, jeśli nie byłoby to problemem, chciałbym pannę Annę zabrać na spacer po ogrodzie, zanim odbędę z panem ostateczną rozmowę.

– Oczywiście. Anno? – Lipiński spojrzał wymownie na córkę, a jego oczy mówiły: „zachowuj się”.

Ona potrafiła się zachować, ale czy ten prostak potrafił?

– Naturalnie, papo. Dla ciebie wszystko. – Dukajskiego spiorunowała wzrokiem, co przyjął z drwiącym uśmiechem i nadstawił ramię. Nie oparła się na nim. Ruszyła ku drzwiom. Za plecami za to usłyszała głos ojca.

– Anno, jak ty się zachowujesz?

Nie zdążyła nic odburknąć, bo Dukajski ją ubiegł.

– Panie hrabio, proszę się nie denerwować. Właśnie temperament pana córki mnie urzekł. Będzie wielkim wyzwaniem ujarzmić go i uczynić z niej przykładną żonę.

– Wątpię, czy się panu to uda – odparł ojciec ze śmiechem, na co Anna odpowiedziała fuknięciem, zaś do Dukajskiego rzuciła cicho:

– Niedoczekanie twoje. – Przyspieszyła kroku. Wybiegła do holu, złapała płaszcz podbity futrem i chwyciwszy skraj sukni, ruszyła na zewnątrz. Prawie zbiegła po stopniach i skręciła za róg budynku, żeby znaleźć się w ogrodzie. Szła po wilgotnej jeszcze od porannej rosy trawie ku szpalerowi drzew. Na trawniku pojawiły się pierwsze oznaki wiosny w postaci pierwiosnków wychylających się ku słońcu. Na placu osłoniętym od wiatru drzewami było przyjemnie ciepło. Ptaki hałasowały wśród gałęzi, wzbijając się co jakiś czas stadami ku niebu. Anna jednak nie dostrzegała piękna wiosennej przyrody. Maszerowała w stronę ledwie co pozieleniałych pąkami drzew. Dukajski nie miał problemu z dotrzymaniem jej kroku. Stawiał rażno te swoje długie nogi i w zasadzie nie spieszył się nawet. Ona za to ciężko dyszała, gdy dotarła do sadzawki. Nie tyle ze zmęczenia, co ze złości.

– Widzę, że trzeba Annę utemperować, bo zanadto jej papa pobjązał – odezwał się wreszcie pułkownik.

– Niech cię diabli wezmą, ty podstępna żmijo – rzuciła mu w twarz. W oczach miała ogień. Nawet nie zapięła płaszcza, bo czuła, że płonie z wściekłości.

– A czymże zasłużyłem na takie komplementy, najdroższa? – Każde jego słowo ociekało drwiną.

– Jak śmiałeś uderzać w moją rodzinę? – Zacisnęła pięści i wysunęła podbródek. Mężczyzna górował nad nią wzrostem, ale zupełnie się go nie obawiała. – Jak możesz posuwać się do czegoś takiego? Rujnować nas, tylko po to, by postawić na swoim. A miałam cię za człowieka szlachetnego i uczciwego. Myliłam się, i to bardzo.

– Nie schlebiaj sobie, najdroższa. Aż tak bym się nie wysilił. Poza tym chyba zaszła jakaś pomyłka – przerwał jej spokojnie. – Ty nie mówisz o mnie? Niemożliwe, że miałaś o mnie dobre zdanie. Nie tak dawno słyszałem z twoich ust same inwektywy.

– Owszem, ponieważ mnie skompromitowałeś przed całym miastem.

Dukajski uśmiechnął się i zrobił krok w jej stronę. Nie cofnęła się, choć stał tak blisko, że poczuła jego zapach i zaczęło jej się robić jeszcze bardziej gorąco. Znajome mrowienie wędrowało wzdłuż kręgosłupa.

– Przypominam ci, że to było zaraz po tym, jak wyszłaś z tym pajacem. Zostałem sprowokowany. Nie pozwolę, żeby ktoś inny cię dotykał, zwłaszcza ten prostak. – Na samo wspomnienie ich schadzki Dukajskiemu źrenice stężały w szarą taflę lodu. Obserwowała, jak zmienia



się jego twarz i pojawia się na niej grymas niezadowolenia. Pochylił się nad nią tak, że ich czoła prawie się zetknęły. – Poza tym powinnaś mi podziękować. Próbuję uratować twoją rodzinę przed katastrofą finansową, a ciebie przed wstydem.

Nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Mówił to tak, że miała pewność, co do jego motywacji. I pomyśleć, że zmusił ojca do sprzedania jej. Na samą myśl o tym zagotowało się jej w żołądku.

– Wybawca się znalazł! Zapomniałeś, że uprzednio okradłeś nas i okryłeś mnie wstydem, a teraz udajesz wspaniałomyślnego. Małaszewicza też próbowałeś oczernić. Mój ojciec się na to nabierze, może nawet i cały Lwów, lecz ja na pewno nie!

– I po co te nerwy? Nikogo nie okradłem i to nie ja kłamię, ale nie musisz mi wierzyć, najdroższa.

– Nie mów tak do mnie. – Popchnęła go otwartymi dłońmi. Nawet nie drgnął. Gdyby miała coś ciężkiego pod ręką, zmasałyby ten wyraz zadowolenia z jego twarzy.

– A któż mi zabroni? Ty? – Śmiał się całym sobą.

– Żebyś wiedział. Jeszcze nie ciesz się swoim sukcesem. Dziś do mojego ojca przyjdzie Małaszewicz. Zobaczymy, kto wtedy będzie się śmiał ostatni.

Oczy Dukajskiego zwęziły się w szparki. Naparł na nią całym ciałem, aż się cofnęła. – Ta menda ma zamiar poprosić o twoją rękę? – wyszczał pułkownik.

– Żebyś wiedział – rzuciła z satysfakcją Anna.

– Niedoczekanie. Zapewniam cię, że nie pojawi się więcej w twoim życiu. – Mięsień na lewym policzku pułkownika zaczął drgać. – Moja w tym głowa.

Anna pomyślała ze strachem, że ten człowiek jest gotów skrzywdzić Małaszewicza, byle postawić na swoim. Pożałowała, że wspomniała w złości o Adamie.

– Zostaw go w spokoju. – Kolejny raz go popchnęła. Znowu bez efektu.

– Tylko jeśli zostaniesz moją żoną.

– To małżeństwo będzie tylko na papierze. Nigdy mnie nie zdobędziesz. Nigdy! – Starła się mówić spokojnie, ale nie mogła opanować drżenia głosu. W zasadzie cała się trzęsła.

– O, już zapomniałaś, co ci obiecałem w teatrze? Będiesz moją żoną i będziesz mnie błagać, żebym się z tobą kochał. I żaden pajac mi w tym nie przeszkodzi.

Zamachnęła się, ale chwycił jej rękę i wykręcił za plecami, by zamknąć ją w żelaznym uścisku. Szamotała się, czując, jak oplatają ją stalowe mięśnie, aż opadła z sił i oparła się o niego. Promieniował siłą i pewnością. Przez chwilę miała ochotę się poddać. Jakby jej ciało żyło swoim życiem. Zaraz jednak zacisnęła zęby i przywołała się do porządku.

– Puść mnie – warknęła, patrząc mu prosto w oczy.

– Doprowadzasz mnie do szału, kobieto. A to nie jest bezpieczne ani dla mnie, ani dla ciebie – mówił przez zaciśnięte zęby.

Oddychała ciężko, lecz wytrzymała jego wzrok. Niech wie, że się go nie boi. Zdała sobie sprawę, że choć trzymał ją mocno z wciąż wykręconą za plecami ręką, to nie czuła bólu. Panował nad sobą nawet w tej chwili i nie chciał jej zrobić krzywdy, a to już było coś, co mogła wykorzystać. Że też nie wpadła na to, że ten potwór ma swoje słabe strony i ona jest jedną z nich. Pozostałe odkryje z czasem. Pochylił się nad nią i poczuła na wargach jego oddech. Nie miała zamiaru czekać, aż zaatakuje. Wyciągnęła szyję i dotknęła jego ust, gorących i twardych.

Co ta kobieta z nim wyrabiała? Musnęła jego usta, a on rzucił się na nią jak głodny wilk. Wplótł palce w jej potargane od szarpania się włosy. Marzył o tym od chwili, kiedy miał ją dla siebie wtedy w ogrodzie. Nie broniła się. Rozchyliła wargi i zarzuciła mu ręce na szyję. Oddawała pocałunek, a on czuł się jak pijany, świat z nim wirował. Objął ją i chwycił za ten cudowny tyłeczek, którym wdzięcznie kręciła, biegnąc tutaj. Przyciągnął ją do siebie. Jęknęła cicho. Wiedział, że będzie cudowną kochanką, a ujarzmienie jej da mu satysfakcję, jakiej nie odczuł z żadną kobietą. Wziąłby ją tutaj, zaraz, ale nie tak to miało wyglądać. Nie robi jej tego. Nie tu. Chciał ją smakować kawałek po kawałku i patrzeć, jak błaga o spełnienie. Nie teraz!

Anna nie wiedziała, co się stało. Chciała się uwolnić z jego ramion, a pocałunek miał odwrócić

jego uwagę, ale kiedy ją odepchnął, zrobiło jej się zimno. Jej serce waliło jak oszalałe, w dole brzucha czuła pulsowanie. Nie była do końca pewna, czy przyjemne, czy bolesne. Pułkownik przyglądał się jej spod tych swoich gęstych brwi, które zbiegały się nad mocnym nosem, gdy nad czymś dumał. Czuła się naga, zdezorientowana. I wtedy pojawił się na jego twarzy ten drwiący uśmiezek. Miał rację, gotowa była błagać o więcej. Z Małaszewiczem mogła wieść spokojne życie. Za to Dukajski budził w niej burzę uczuć, które porywały i niosły ją wbrew rozsądkowi na sam środek wzburzonego oceanu doznań. Chciała go czuć przy sobie, chciała być przez niego całowana, dotykana. Tęskniła za tym i to była jego wina. Wymierzyła mu policzek i tym razem trafiła. Dłoń ją zapiekła, ale stała przed nim z furią w oczach i żądzą zemsty. Nie patrzył na nią, był jak marmurowy posąg bożka. Potężny, straszny, piękny. Zacisnął pięści, a ona cofnęła się o krok. Kiedy podniósł na nią wzrok, zrozumiała, że zrobiła błąd. Wbił w nią stalowe spojrzenie i wiedziała, że czeka ją kara. Ale to ją tylko rozsierdziło.

– Masz ochotę mi oddać, prymitywie? – rzuciła zaczepnie.

Nic nie powiedział, tylko doskoczył do niej jak dziki kot i zaczął miażdżyć jej wargi swoimi ustami. Kiedy próbowała protestować, wykręcił jej boleśnie ręce, a potem jego dłoń ześlizgnęła się na jej pierś, którą ścisnął tak mocno, że aż krzyknęła z bólu. Stłumił ten okrzyk swoimi ustami. Strach przed tym, do czego jest zdolny, zmroził ją. Najgorsze było to, że była u siebie, w swoim domu, mimo to panika odebrała jej oddech. Czuła się jak dzikie zwierzę w klatce. Wciąż wykręcał jej ramiona jedną ręką, a drugą podciągał spódnice. Walczyła ile sił, lecz czuła, że słabnie. Łzy spływały po jej policzkach, kiedy gorąca dłoń dotknęła nagiego uda. Wtedy uścisk zelżał. Zaczęła szlochać, ale nie uciekła z jego ramion. Chciała się w nich schować, razem z całym wstydem. Zrozumiała.

– Mógłbym wziąć siłą to, czego pragnę, od chwili gdy cię zobaczyłem, ale nie zrobię tego, maleńka – mówił w jej włosy, głaszcząc ją po plecach. – Poczekam, tak jak obiecałem. Już dobrze, nie mógłbym cię skrzywdzić, słyszysz? – Chwycił jej zapłakaną twarz w dłonie i pocałował powieki, później usta. Kiedy wyciągnęła się w jego stronę, przytulił ją i mówił dalej. – Teraz widzisz, jaka jest różnica między pragnieniem a ślepą żądzą. I wiesz, że ja pragnę, ale nie wezmę niczego bez twojej zgody.

Kiedy się uspokoiła, odsunął ją od siebie. Miał w oczach coś, czego dotąd nie dostrzegała. Łagodność, czułość. Otrząsnęła się jednak szybko, na co on zmarszczył czoło. Co też jej do głowy przyszło. To największy wróg. Człowiek, który zdeptał jej marzenia, a teraz oczekuje wdzięczności. Uniosła głowę wysoko.

– Tak lepiej, złościco. – Znowu z niej zadrwił. – A teraz wracajmy, bo papa będzie się o ciebie martwił. Odwiedzę cię niebawem. Wypadałoby zrobić pamiątkę przedślubną. Zadbam o to, żeby znaleźć najlepszego fotografa we Lwowie.

Podał jej ramię, które tradycyjnie miała zamiar zignorować.

– Na twoim miejscu udawałbym choć odrobinę sympatii do mnie, żeby papie nie łamać serca.

Wiedziała, że ma rację. Ojciec chciał jej dobra, a ona nie miała zamiaru przysparzać mu zmartwień. Ujęła więc swego przyszłego męża pod ramię i ścisnęła z całej siły.

– Nienawidzę cię i to się nigdy nie zmieni – wyszeptała z uśmiechem, pochylając się ku niemu.

– Ale mnie pragniesz, choć nie chcesz tego przyznać.

– O tak, jak wysypki na tyłku.

Odpowiedział jej gromki śmiech.

Hrabia Lipiński obserwował córkę wracającą z ogrodu pod ramię z człowiekiem, który miał niebawem zostać jej mężem. Uśmiechała się i szeptała do niego, na co on wybuchał co chwila śmiechem. Może wszystko się ułoży, może takiego właśnie mężczyzny było trzeba tej rozpieszczanej ulubienicy całej rodziny? Kiedy Anna się na coś uparła, trudno było jej się przeciwstawić. Tak było między innymi z jazdą konną. Ojciec musiał zgodzić się na uszycie dla niej męskiego stroju i na naukę, którą na szczęście pobierała u braci. Potem patrzył tylko, jak galopuje po łąkach i wraca zaróżowiona, szczęśliwa. Anna uwielbiała stawiać na swoim i to pułkownikowi Dukajskiemu bardziej współczuł hrabia Lipiński niż własnej córce. A wnosząc po jej wczorajszej reakcji na wieść o konieczności zamążpójścia, żołnierz nie będzie miał lekkiego życia. Ona go nienawidziła. I ten jej uśmiech nie

zwiódł hrabiego, który widział w jej oczach znajomy ogień. Ogień, który trafił na chłód emanujący od pułkownika.

Kiedy Anna i Dukajski wrócili do biblioteki, hrabia Lipiński odesłał córkę, żeby ustalić szczegóły przedślubnego kontraktu z przyszłym zięciem. Anna przyjęła to z ulgą. Potrzebowała spokoju po rozmowie z pułkownikiem i najchętniej zaszyłaby się teraz w swoim apartamencie. W westybulu jednak czekała ją niespodzianka. Lokaj odbierał właśnie kapelusz i okrycie od Adama Małaszewicza. Skoro do nich przybył, oznaczało to, że nie wziął sobie do serca karygodnego zachowania Dukajskiego na balu. Zauważywszy ją, gość szeroko się uśmiechnął.

– *Bonjour, mademoiselle.* – Ucałował wyciągniętą w jego stronę dłoń.

Lokaj odwrócił się i chciał odejść, żeby zaanonsować panu domu przybycie gościa, ale Anna go powstrzymała.

– Antoni, proszę poczekać i na razie nie informować papy, że mamy gościa. Sama zaprowadzę pana Małaszewicza do biblioteki.

Lokaj uniósł pytająco brwi, ale skinął głową i oddalił się. Anna chwyciła dłoń Małaszewicza i zaciągnęła go do salonu.

– Musimy porozmawiać – rzuciła w odpowiedzi na zdumioną minę mężczyzny. Zatrzasnęła drzwi do pomieszczenia, upewniwszy się wcześniej, że nikt nie pojawił się w westybulu. Stała na wprost Małaszewicza i chwilę mu się przypatrywała. Był całkowitym przeciwieństwem Dukajskiego. Nie dość, że był niższy i miał jasne włosy, to bił od niego spokój, pewność siebie, swego rodzaju niefrasobliwość, wynikająca z odniesienia życiowego sukcesu. Nie wywoływał swoim pojawieniem się wybuchów emocji, co gwarantowało spokojne życie u jego boku. Nade wszystko jednak nie narzucał się. Z wyczuciem i elegancją dążył do jej zdobycia, nie narażał na niepotrzebny stres i dbał, by nie zrobić na niej złego wrażenia. Takiego męża chciała mieć, a nie gburę, który już na pierwszym spotkaniu mówił o tym, co miał zamiar z nią zrobić. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie i zdecydowanie podeszła do Małaszewicza. Uniosła się na palcach, by go pocałować. Zaskoczony mężczyzna zrobił krok w tył, ale dotknął jej ust.

– Anno, to... Nie wiem, co powiedzieć. – Był wyraźnie zdezorientowany. – Cóż to ma znaczyć?

– Cokolwiek usłyszysz od mego ojca, chcę, żebyś wiedział, że jestem odmiennego zdania i w swoim sercu dokonałam wyboru. – Serce jej łomotało. Jeśli mu zależy, zrobi wszystko, by z nią być.

– Co się stało? – Małaszewicz ujął jej dłoń i ucałował ją. Była w tym geście troska i ukojenie. Trochę się uspokoiła.

– Z moim ojcem właśnie rozmawia pułkownik Dukajski. Papa chce mnie za niego wydać, ale ja wolałabym zostać starą panną niż żoną tego, tego... – szukała właściwego słowa – ...tego prostaka.

W miarę jak Anna mówiła, Małaszewicz robił się czerwony na twarzy i drgał mu mięsień na policzku.

– Czy to znaczy, że ten człowiek chce cię zmusić do ślubu wbrew twojej woli?

Anna pod powiekami czuła łzy. Nie chciała pozwolić, by się wymknęły i by stała przed Małaszewiczem zasmarkana. Pokiwała więc tylko głową.

– Jak to się stało? Przecież rozmawiałem z twoim ojcem i nie miał nic przeciwko temu, żebym starał się o twoją rękę. Jakim cudem ten człowiek wkradł się w łaski hrabiego? – Małaszewicz kręcił głową ze złością.

– Papa mówi, że on chce spłacić nasze długi – wydusiła Anna.

– Długi?

– Ten człowiek doprowadził naszą rodzinę na skraj bankructwa, żeby móc mnie potem kupić. – Anna, mówiąc to, zrozumiała, jak przebiegłym i wyrachowanym typem jest Dukajski.

– Przecież macie te wszystkie majątki, i ziemie, i pałace... – Z Małaszewicza jakby uszło powietrze.

– Papa twierdzi, że zadłużone. – Anna chwyciła mężczyznę za kłapy granatowego surduta. Kilka łez stoczyło się po jej policzkach. – Jeśli nam nie pomożesz, on postawi na swoim. Musisz mnie

ratować.

– To dlatego hrabia chciał wiedzieć, ile mogę zainwestować w jego majątek. – Anna puściła Małaszewicza, który nerwowo przeczesał włosy i zaczął spacerować po salonie, mówiąc do siebie. Wodziła za nim wzrokiem, wyłamując sobie palce. – Dlatego mnie wypytywał. – Wreszcie odwrócił się w jej stronę. – A biżuteria? Konie?

– Nie pomyślałam o tym. Ale ile to może być warte?

Małaszewicz zahamował przed nią.

– Słuchaj, musisz mi dać biżuterię. Postaram się ją dobrze sprzedać i spłacić najpilniejsze wierzytelności. Potem porozmawiam z twoim ojcem i zastanowimy się nad tym, jak poradzić sobie z resztą. – Chwycił ją za ramiona i potrząsnął. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. A teraz przynieś biżuterię i nie mów ojcu, że tu byłem. Nikomu nic nie mów. Rozumiesz?

Potaknęła i otarła łzę z policzka.

– A co z nami?

Małaszewicz machnął ręką.

– Na razie nic, *ma chérie*. Ale bądź dobrej myśli. Wszystko się ułoży.

– A nie jesteś na mnie zły, że tańczyłam z nim na balu?

Małaszewicz przewrócił oczami i położył jej dłonie na ramionach.

– Ależ *chérie*, czy kobieta może walczyć z silnym mężczyzną? Kto kogo zmuszał do tańca?

Spuściła wzrok i pokiwała głową.

– Więc głowa do góry i najpierw musimy utrzyć nosa temu podłemu człowiekowi. No, a teraz idź po biżuterię.

Anna biegiem ruszyła do swojego apartamentu, gdzie w niewielkiej skrytce trzymała wszystkie cenne rzeczy. Miała kilka diademów, pierścieni, bransolet i brosz oraz wysadzanych kamieniami spinek do włosów. Większość biżuterii należała do matki. Młodym dziewczętom nie wypadało nosić drogich ozdób, dlatego Anna pozwalała sobie zakładać jedynie sznur pereł, rzadziej jakiś niewielki wisiorek. Poza tym miała jeszcze kilka pierścionków i drobnych błyskotek od braci. Wyjęła atlasowy worek, w którym tkwił ślubny diadem matki wysadzany małymi brylantami, i patrzyła na niego chwilę. Westchnęła ciężko. Musiała ratować siebie, a przede wszystkim rodzinę. Wrzuciła do worka całą zawartość kasetki i wyszła z pokoju, wyjrzawszy wcześniej na korytarz, by nie natknąć się na nikogo ze służby ani na ojca. Zakradła się ponownie do salonu. Małaszewicz stał przy oknie. Kiedy weszła, ruszył energicznie w jej stronę.

– Masz?

– Tak. Zabrałam wszystko.

Mężczyzna zajrzał do worka i uśmiechnął się.

– Cenne rzeczy. Z całą pewnością to pomoże.

– Tak sądzisz?

Małaszewicz pogłaskał policzek Anny, po czym położył ciepłą dłoń na jej ramieniu.

– Jeśli będzie trzeba, zabiorę cię stąd wbrew ojcu. Nawet za cenę kompromitacji. Pamiętaj, że mam majątek ziemski. Tam możemy się ukryć przed całym światem. Jeśli będę musiał, sprzedam wszystko i wyjedziemy do Paryża.

Anna ufnie patrzyła w oczy jedyne go człowieka, któremu zależało na jej szczęściu, który był gotów poświęcić się dla jej dobra. A mimo to zadrzała na myśl o czekających ją zmianach, które mogły oznaczać całkowite zerwanie ze światem, który znała.

Tej nocy Anna kolejny raz nie mogła spać, mimo że dochodziła północ, a ona była zmęczona wrażeniami całego dnia. Wystarczyło, że zamknęła oczy i zaczęła odpływać, zaraz stawał jej przed oczami Dukajski. Czuła go każdym centymetrem ciała. Udo w miejscu, w którym go dotykał, paliło ogniem, usta pulsowały. W dole brzucha rozchodziły się rytmiczne skurcze. Czy tak byłoby w noc poślubną, kiedy przyszedłby do jej sypialni? Gdzie w ogóle by zamieszkali, jak wyglądałoby jej życie? Czy wypada tak reagować na mężczyznę? Zwłaszcza jeśli się go nienawidzi całym sercem?

Niestety, jeśli Adam spieniży jej biżuterię i spłaci część długów, nigdy się nie dowie, jakie

życie wiodłaby u boku tego diabła. Nie była pewna, czy Adamowi uda się przekonać ojca do swojego planu, czy będą musieli wbrew woli papy uciekać gdzieś z dala od domu. Setki pytań dręczyły Annę aż do rana. Wreszcie zasnęła zmęczona, postanowiwszy zachowywać w stosunku do niedoszłego męża chłodną rezerwę i spokój za wszelką cenę, żeby z niczym się nie zdradzić. No i nie dawać mu się prowokować. A żeby to osiągnąć, musi ciągle pamiętać o tym, co Dukajski zrobił jej rodzinie. Upokorzył, okradł i zaszantażował. Zaś Adama chciał wplątać w swoje gierki i oskarżyć o próbę zamordowania, żeby w konsekwencji wybielić się w towarzystwie i usprawiedliwić zabójstwo niewinnego studenta. Nigdy mu tego nie wybaczy. Nigdy!

Dukajski nie tracił czasu. W ciągu kolejnych tygodni dobił targu z hrabią Lipińskim i podpisał przedślubną umowę. Anna nie chciała znać jej treści. Woląла nie wiedzieć, ile jej niedoszły mąż za nią zapłacił. Choć Małaszewicz nie odzywał się od ostatniego spotkania, nie miała wątpliwości, że intensywnie działał dla jej dobra. Wszystko to wydawało się takie nierealne, jakby nie dotyczyło jej. Przyszło kolejne zaproszenie na bal, ale na samą myśl, że znów spotka pułkownika, zaczęła dostawać spazmów. Starła się unikać wyjść z domu, bo nie wiedziała, jak się zachować, choć zdawała sobie sprawę, że nieuniknione jest publiczne pokazanie się z narzeczonym zaraz po zaręczynach.

Kiedy Anna nie pojawiła się na przyjęciu u jednej ze swoich licznych ciotek, odwiedziła ją zmartwiona Marynia. Oczywiście zaproszenie wynikało wyłącznie z ciekawości ciotki i jej towarzyszek, do których zapewne dotarła już wiadomość o rychłych zaręczynach najprzystojniejszego kawalera w mieście i najładniejszej panny. Oficjalnym powodem nieobecności Anny była niedyspozycja zdrowotna. Jednak Marynia nie dała się zwieść. Ją też zżerała ciekawość, jakim cudem mężczyzna, którego Anna nie trawiła, zdobył jej serce.

– Aniu, musisz mi wszystko opowiedzieć – wykrzyknęła, kiedy została wprowadzona do pastelowego saloniku, w którym czekała na nią przyjaciółka.

Anna, w przeciwieństwie do Dzieduszyckiej, z powodu nieprzespanych nocy miała podkrążone oczy i blade policzki. Mimo nalegań Mani nie założyła jasnej sukienki. Wybrała szare, dopasowane i bardzo skromne ubranie, które współgrało z jej nastrojem. Tym razem to Marynia wyglądała kwitnąco. W grafitowej spódnicy i białej bluzce, na którą założyła lekką narzutkę, przypominała uczennicę pensji dla dziewcząt. Ale prawdziwy powód jej odmiany żarzył się w jej oczach. Biła z nich radość i pewność własnego szczęścia. Nieśmiała Marynia przemieniła się w młodą, pewną swej kobiecości damę, ale Anna, pogrążona we własnych problemach, zdawała się tego nie dostrzegać. Uścisnęła przyjaciółkę ze łzami w oczach. Kiedy usiadły obok siebie na kanapie, Anna poprosiła służącą o herbatę i ciastka. Gdy ta opuściła pokój, odezwała się do Maryni:

– Och, Maryniu. Nie wiem doprawdy, od czego zacząć. – Z jakiegoś powodu rozczuliła się tak bardzo, że musiała otrzeć łzy haftowaną chusteczką, którą ścisnęła w dłoniach. Jedno wiedziała na pewno – nie mogła opowiedzieć Maryni całej prawdy.

– Na początek zacznij od tego, że nic ci nie dolega. Jesteś taka blada. – Przyjaciółka ścisnęła jej dłoń ze współczuciem.

– Fizycznie może i jestem zdrowa, ale nerwy mam skołatane i źle sypiam. – Hrabianka Lipińska mówiła cicho, co jakiś czas wzdychając.

– Jesteś przynębiona, a przecież masz wyjść za mąż. Powinnaś być szczęśliwa. Co się dzieje? Czy to przez niego?

– Już wiesz, że Dukajski poprosił o moją rękę. – Bardziej stwierdziła, niż zapytała Anna.

– Całe miasto o niczym innym nie mówi. Usidliłaś zatwardziałego kawalera, na którego polowała niejedna panna. A te, które nie polowały, przynajmniej do niego wzdychały. Powinnaś się cieszyć. Ale nie rozumiem, jak do tego doszło. Twierdziłaś, że go nie znosisz. Cóż takiego się zmieniło, że się zgodziłaś, przecież pamiętam...

Anna kręciła się i wierciła, kiedy Marynia mówiła, aż wreszcie nie wytrzymała i weszła jej w słowo:

– Widzisz, kochana, nic się nie zmieniło. Nadal nie cierpię tego człowieka. Mówię ci to w wielkiej tajemnicy, jak swojej najlepszej przyjaciółce. – Zrobiła tak zboląłą minę, że Marynia

ponownie ją uścisnęła, co tylko wycisnęło z oczu Anny kolejne łzy. Ostatnio zrobiła się zdecydowanie bardziej tkliwa i zaczynała ją to doprowadzać do szału. Zazwyczaj Marynia roniła łzy przy byle okazji. Teraz Anna po prostu była zmęczona i niewyspana z powodu nadmiaru wrażeń w ostatnich dniach.

– Ale jak to?

– Niestety, z przyczyn, których nie mogę wyjawić, żeby nie postawić mej rodziny w złym świetle, muszę wyjść za Dukajskiego, choć go nie kocham.

Marynia siedziała z otwartymi ustami, co nie pasowało damie, ale zaskoczenie było tak duże, że dopiero po chwili milczenia przetrwała słowa przyjaciółki i, chwyciwszy Annę za rękę, odrzekła:

– Na litość boską, Anno, tak nie można! Czy on cię zmusił do tego ślubu? A co na to twój ojciec? Przecież ten bal nic nie znaczy. Wielka mi kompromitacja! Ludzie pogadali i pewnie już zajęli się czymś innym. To nie powód, żeby zmusić kogoś do małżeństwa! – Marynia była poruszona.

Anna pomyślała, że to jedyna osoba, która może zrozumieć sytuację, jedyna, która nie powie, że hrabianka Lipińska oszalała, bo nie chce tego mężczyzny za męża. Ponownie zakreśliły się jej łzy w oczach. Nabrała powietrza, by stłumić wybuch płaczu. Zastanawiała się, jak wyjaśnić Maryni, co tak naprawdę się wydarzyło. Na szczęście rozmowę przerwało pojawienie się służącej z tacą. Dziewczęta odczekały, aż zestawiła dzbanek, filiżanki i paterę z ciastkami na niewielki stolczyk stojący przed nimi i naląa herbaty. Potem dygnęła i wyszła. To dało Annie kilka minut na zapanowanie nad uczuciami. Wreszcie, zmiąwszy w dłoni chusteczkę, odetchnęła głęboko i powiedziała:

– Maryniu, kochana. Pułkownik Dukajski uknuł intrygę, która doprowadziła mego ojca na skraj bankructwa. Podstępem wymógł na nim zgodę na ten ślub. – Anna starała się nie zdradzać wszystkich szczegółów. Czuła wstyd i upokorzenie na myśl, że ona, jedna z najbogatszych panien w mieście, pozbawiona została pieniędzy, a jej ojciec został oszukany. Wzięła kolejny głęboki oddech i mówiła dalej: – Potem Dukajski skompromitował mnie na twoim balu, żebym i ja nie mogła mu odmówić. Znalazłam się więc w beznadziejnym położeniu. Odmowa równałaby się utracie szans na zamążpójście.

Anna nie wspomniała o Adamie. Wciąż się nie odzywał i to napełniało ją coraz większym strachem. Bała się, że jeśli ktokolwiek dowie się prawdy, jego plan spali na panewce. Ale do tej pory powinien był już coś załatwić.

– Och, Aniu, co się z tobą stanie...? – Marynia popatrzyła na nią współczująco, co doprowadziło ją do szału. Lipińska wiedziała, że zemści się na człowieku, który postawił ją, dumną hrabiankę, w takiej sytuacji. Niech no tylko Adam wróci!

– Nie rozpaczaj, Maryniu. – Anna podniosła dumnie głowę. – Trzeba szukać jasnych stron tej sytuacji. Być może uda mi się wyjść z tej katastrofy obronną ręką. Są na szczęście na tym świecie życzliwi ludzie, którzy zgodzili się mi pomóc. Jeśli plan się powiedzie, prawdopodobnie uda mi się uniknąć tego ślubu.

– Więc nie wszystko stracone? – Marynia rozchmurzyła się. – Ale o kim ty mówisz? Jaki plan?

– Nie mogę zdradzić szczegółów. Dość, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, Dukajski będzie musiał odstąpić od swych zamiarów – mówiąc to, Anna poczuła przypływ nadziei. Naprawdę wierzyła, że uda jej się wykręcić z tej całej sytuacji, że w jakiś magiczny sposób Adam ją uratuje. Przecież to niemożliwe, żeby wyjść za kogoś, kogo się nienawidzi, z kim trudno jest przebywać w tym samym pomieszczeniu.

– Jesteś taka dzielna, Aniu. Ja bym się chyba zabiła, gdyby mnie zmuszono do małżeństwa z człowiekiem, którego nie kocham. Choć z drugiej strony, jeśli miałby to być pułkownik Dukajski, to nikt nie musiałby mnie zmuszać. – Marynia rozmarzyła się.

– Maryniu! – upomniała ją Anna. Oczywiście wiedziała, że Dukajski był przystojnym mężczyzną, ale to nic nie znaczyło w zestawieniu z jego podłym charakterem.

– Ależ on jest taki cudowny. Ma chyba ze dwa metry wzrostu i te potężne ramiona... – Marynia gapiała się gdzieś w sufit z rozanieloną twarzą. Anna nie wierzyła własnym oczom. Ta szuja nadal podobała się Maryni! Mimo że miał podły charakter.

– Maryniu, on jest, on jest... – Anna zerwała się z kanapy. – Przecież ci mówiłam. On jest

wstrętny, wykorzystuje swoją przewagę, jest...

– Ale musisz przyznać, że każda dziewczyna na tym balu patrzyła na was z zazdrością.

– Chyba żartujesz. – Anna krążyła nerwowo po pokoju.

– Jestem pewna, że tak było. Chętnie bym się z tobą zamieniła i jestem przekonana, że prawie wszystkie dziewczęta również. Ty widziałas, jakie on ma piękne oczy? Takie szare. I te gęste czarne włosy...

O, Anna doskonale wiedziała, jakie ma oczy, znała jego zapach i smak. Poznała jego siłę. Na wspomnienie spaceru po parku poczuła, jak na jej policzki wypełza rumieniec. Dotknęła ust palcami.

– Anno, czy on... Czy ja mogę o coś zapytać? – Marynia podskoczyła na swoim miejscu, wyrwijąc Annę z zamyślenia.

– Cóż takiego?

– Czy ty, to znaczy czy on cię pocałował? – Marynia patrzyła na nią wielkimi oczyma, jakby od odpowiedzi na to pytanie zależało jej życie.

Anna wahała się chwilę. Przestała oddychać i znowu bezwiednie dotknęła warg. Wreszcie wypuściła powietrze z płuc.

– Tak.

– O mój Boże. – Marynia zakryła usta. – I co? Czy to było przyjemne?

– Maryniu! Na litość boską!

– Błagam, Aniu, powiedz. Jak było? Bo ja też na moim balu byłam całowana przez jednego dżentelmena i nie wiem już sama, czy to normalne, czy tak powinnam się czuć...

Anna otworzyła szeroko oczy.

– Czy to Maurycy? – rzuciła bez wstępów.

Marynia zaczerwieniła się i z ogniem w oczach odpowiedziała:

– Nie. To nie Maurycy... – Zawiesiła głos i spochmurniała. – Choć Maurycy jest taki, taki... idealny. Ale on nigdy... Poza tym nawet kiedy tańczyliśmy, on mało mówił i chyba nie zwracał na mnie uwagi. – Marynia westchnęła ciężko i ponownie się ożywiła. – I tylko dlatego pozwoliłam się pocałować, Aniu.

– Kto cię całował? – Anna miała w podejrzeniu jedyne go człowieka, który byłby do tego zdolny i nagle poczuła się zazdrosna. – Czy to był Dukajski?

Marynia zaśmiała się.

– Obawiam się, że on poza tobą nie widzi innych dziewcząt. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że nawet z nikim innym nie tańczył.

– Więc kto? – nie ustępowała Anna.

Marynia spłoszyła.

– Nie mogę ci powiedzieć. Obiecałam...

– Maryniu... – Anna ponownie usiadła obok niej i chwyciła jej dłonie. – Wiesz, że nikomu nie zdradzę twoich sekretów.

Przyjaciółka patrzyła na nią niepewnie.

– Powiem ci – odparła z wahaniem – ale najpierw ty mi opowiesz, jak się czułaś, kiedy całował cię pułkownik.

Anna pokiwała głową i zapatrzyła się w potężne okno wychodzące na park. Wróciła wspomnieniami do tych chwil sprzed ledwie kilku dni. Do tej pory starała się je usunąć z głowy. Uśmiechnęła się do siebie.

– To jest jak pożar. On jest jak pożar, jak huragan. Niszczy wszystko, co spotyka na swej drodze, ale kiedy cię obejmuje, wiesz, że nic ci nie zrobi, że jesteś bezpieczna. – Spojrzała na przyjaciółkę i zacisnęła pięści. – Ale to pozory. Bo ten człowiek nie ma skrupułów. To bestia, która robi wszystko, by zdobyć to, na czym jej zależy.

– To brzmi strasznie. Aniu, a ty musisz z nim spędzić życie. Całe życie. – Marynia miała oczy okrągłe z przerażenia. Anna nie odczuwała jednak strachu. Raczej rodzaj ekscytacji, jaką można

poczuć na myśl o czekającej przygodzie. Wstała i podeszła do okna. Znowu zapatrzyła się w bladą wiosenną zieleń drzew ozłoconą promieniami słońca. Zażeniona za beztruskimi chwilkami, które spędziła w Niesłuchowie, gdzie się wychowała. Jakie wtedy wszystko było piękne i proste. Dawniej patrzyła z nadzieją w przyszłość i czuła, że świat należy do niej, że wszystko jest możliwe. Dorosłość okazała się jednak pasmem kłopotów, które były poza jej kontrolą i z którymi młoda dziewczyna nie mogła sobie poradzić sama. Jak z oddali dobiegły ją słowa Maryni.

– Tym dżentelmenem był pan Małaszewicz. To on mnie pocałował.

Anna pobladała i wolno obróciła się w stronę przyjaciółki.

– Adam Małaszewicz? – upewniła się.

Marynia z błyszczącymi oczyma potwierdziła. Anna poczuła, że podłoga salonu ugina się pod nią i otwiera przepaść bez dna, a czarna dziura zasysa ją do wnętrza. Próbowwała nabrać powietrza, ale żelazna obręcz ścisnęła jej piersi.

– Maryniu, czy on... – Nie mogła wydusić z siebie tego najważniejszego pytania. Chwyliła oparcie kanapy, żeby z niej nie spaść.

– Aniu, czy wszystko dobrze? – Przyjaciółka najwidoczniej zauważyła, że coś złego dzieje się z hrabianką Lipińską.

Anna zebrała się w sobie. Musiała wiedzieć.

– Maryniu, czy Małaszewicz poprosił o twoją rękę?

Dziewczyna rozpromieniła się.

– Jeszcze nie, ale obiecał, że wkrótce to zrobi. Był u nas z wizytą nie dalej jak wczoraj, ale oficjalnie nie rozmawiał z moim ojcem, ponieważ nie ma go w mieście. Czy to nie cudowne?

Annie pociemniało w oczach. Szczebiot Maryni docierał do niej jak zza grubej kotary. Małaszewicz ją oszukał, dlatego się nie odzywał. To już wiedziała.

– Zobacz, co mi podarował na znak swojego uczucia. – Dzieduszycka wstała i podeszła do przyjaciółki. Wymacała na szyi łańcuszek i wyjęła zza bluzki wisiołek. Na jej dłoni spoczywał niewielki szafir oszlifowany na kształt serca. Ten sam, który Anna dostała od ojca na piętnaste urodziny. – Czyż to nie piękne? I takie romantyczne.

– Przecież ty go nawet nie kochasz – powiedziała słabym głosem Anna.

Marynia tylko wzruszyła ramionami.

– Mama mówiła, że uczucie przyjdzie później, że oni z ojcem zakochali się w sobie dopiero po ślubie. Najważniejsze to znaleźć męża. A Adam Małaszewicz jest bajecznie bogaty i w dodatku mną zainteresowany. Wyobrażasz to sobie? Sam mi to powiedział. Żaden inny kawaler nawet nie zwrócił na mnie większej uwagi. Nawet mój majątek niewiele zmienił. Ja nie mam wielkiego wyboru, Aniu. – Marynia posmutniała.

– A Maurycy? – Anna nie wierzyła w to, co słyszy. Przyjaciółka chwytła się pierwszego lepszego mężczyzny, byle tylko wyjść za męża. Choć dla Anny miłość też nie była swego czasu warunkiem koniecznym, żeby być w życiu szczęśliwą, to z pewnością nie chciała wyjść za pierwszego z brzegu. A na pewno nie za kogoś, kogo jedyną zaletą było posiadanie majątku. Tym bardziej, że Maryni podobał się Maurycy. Z wzajemnością.

– Maurycy jest cudowny, ale nie dla mnie. – Dzieduszycka westchnęła i popatrzyła na swoje dłonie. – Zupełnie nie zwraca na mnie uwagi. Poniekąd nie mam wyboru, tak jak i ty.

Anna nie miała siły, by myśleć teraz o przyjaciółce, której przecież groziło niebezpieczeństwo, bo lada chwila miała zostać narzeczoną człowieka będącego pospolitym złodziejem. Zrozumiała, że Małaszewicz wykorzystał ją i odebrał rodzinne kosztowności. Nie zależało jej na klejnotach, ale w obliczu bankructwa rodziny to mógł być dodatkowy cios. I ostateczny powód, dla którego powinna poślubić Dukajskiego. Choć o dziwo nie czuła żalu, że Małaszewicz nie jest jej pisany. Marynia cieszyła się, nieświadoma niebezpieczeństwa, a Annę zalała fala bólu. Zgasła ostatnia nadzieja na ratunek. Dla niej życie skończyło się w dniu, kiedy spotkała pułkownika. Nie zostało jej nic, bo duszę będzie musiała zaprzedać temu diabłu.



## ROZDZIAŁ VI

### Zaręczyny

Cały dom wysprzątno i przystrojono świeżymi kwiatami. Służba od kilku dni uwijała się jak w ukropie. Muzycy ustawieni w salonie grali jakąś rzewną melodię, która dobiegała przez otwarte okno do sypialni Anny. Podekscytowana Mania skończyła upinanie w jej włosach kremowych kwiatów, pasujących odcieniem do eleganckiej sukienki, i wyszła z pokoju. Dziewczyna została sama. Podeszła do okna i wyjrzała na ogród, gdzie wokół klombów krzątał się ogrodnik. Kwietniowa pogoda rozpieszczała Lwów dość wysokimi jak na tę porę roku temperaturami i słońcem, co nie było wcale takie oczywiste, bo Lwów zdecydowanie był deszczowym miastem. Z tego powodu przygotowano w ogrodzie dodatkowe miejsca do siedzenia w postaci specjalnie zamówionych na tę okazję ławek, ogrodowych stołów i krzeseł. Ojciec, natchniony wizją rychłego wyjścia z kłopotów, nie szczędził pieniędzy, by ukryć stan rodzinnych finansów.

Przyszła panna młoda powinna odczuwać radość. To przecież jej zaręczyny, dzień, w którym należało wypatrywać ukochanego, czekać na niego z bijącym z radości sercem. Tymczasem jej serce wybijało smutny rytm. Ojciec ani żaden z braci nic nie wiedzieli, że oddała klejnoty Małaszewiczowi, a ten najwidoczniej miał zamiar zatrzymać je dla siebie. O ile po wizycie Maryni wciąż miała nadzieję, niewielką, ale jednak, że doszło do jakiegoś nieporozumienia, o tyle kiedy minął kolejny tydzień od przekazania klejnotów Adamowi, a on się nie odezwał, zrozumiała, że popełniła błąd. Nie potrafiła przestrzec Maryni przed Małaszewiczem i zepsuć jej radości. Istniała szansa, że jednak kochał dziewczynę i nie zrobi jej krzywdy. Zresztą, czy Marynia uwierzyłaby w to, że Małaszewicz okradł Annę? Najprawdopodobniej oskarżyłaby ją o oczernianie spowodowane zazdrością. Dlatego Annie pozostało zrezygnować z walki, obserwować sytuację i czekać, aż przyjaciółka się sparzy.

Parząc na braci, którzy wracali gdzieś z głębi ogrodu, wpadła jednak na pomysł, jak pomóc przyjaciółce i choć trochę odegrać się na zdrajcy. Rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi. Pokojówka oznajmiła, że przybył pułkownik Dukajski z rodziną. Na dźwięk tego nazwiska Annie przebiegł dreszcz po plecach i jednocześnie zrobiło jej się gorąco. Ledwie kilka tygodni temu myślała, że wszyscy mężczyźni są jak jej bracia i papa – uczciwi i troskliwi. Boleśnie się przekonała, że żadnemu nie wolno ufać i że za każdym ich czynem kryje się ukryty interes lub chęć posiadania. Małaszewicz widocznie pożądał pieniędzy, zaś Dukajski jej. Żadnym nie kierowały szlachetne uczucia, czego nie próbowali ukryć. Kto wie, czy nawet Małaszewicz nie był gorszy. Ostatecznie kłamał, że chce się z nią ożenić, a gdy tylko zorientował się, że nie dostanie majątku, okradł ją. W tym samym czasie szykował sobie alternatywę w postaci Maryni. Intencje pułkownika przynajmniej były jasne od początku. Szantaż finansowy, który miał mu ułatwić zdobycie tego, czego chciał, nie pozostawiał złudzeń, co do intencji.

– Już schodzę – odpowiedziała Anna pokojówce, a kiedy ta wyszła, spojrzała w lustro. Wyglądała pięknie i świeżo w kremowej zwiewnej sukni ozdobionej upięciami na staniku, ale patrzyły na nią podkrążone, smutne oczy, wyzierające z wyjątkowo jak na nią bladej twarzy. Nie była słabą kobietką i teraz miała okazję to udowodnić. Najpierw odegra się na Małaszewiczu, a potem... Potem zastanowi się, co zrobić, żeby Dukajskiego odwieść od pomysłu ślubu z nią. Odetchnęła i ruszyła na spotkanie z przeznaczeniem.

Dukajscy czekali w salonie. Pułkownikowi towarzyszył Franciszek i jego żona. Katarzyna, ubrana w aksamitną bordową suknię z dekoltem, na którym błyszczał naszyjnik z dużych białych kamieni, roztaczała wokół siebie nie tylko czar, ale i słodki zapach owoców. Jej blond włosy spinała drogocenna spinka pasująca idealnie do naszyjnika i podobnej bransolety połyskującej na przegubie okrytym rękawiczką. Zapewne były to diamenty. Anna odruchowo zwróciła na nie uwagę, bo sama nie miała nawet małego pierścionka i nie bardzo wiedziała, jak to wytłumaczyć papie. Katarzyna co chwila obdarzała męża czułym spojrzeniem.

Franciszek Dukajski w niczym nie przypominał brata. Przede wszystkim nosił cywilne ubranie w kolorze gorzkiej czekolady. Poza tym brakowało mu tej pewności siebie, z którą pułkownik się

obnosił. Anna, podając Franciszkowi dłoń do pocałowania, pomyślała, że bije od niego spokój, który musi się udzielać przebywającym wokół niego ludziom.

Goście witali się z ojcem i braćmi, wystrojonymi na tę okazję w eleganckie grafitowe surduty i białe koszule. Dopiero wtedy Anna dostrzegła Michała. Jak zwykle miał na sobie niebieski mundur galowy z granatowymi spodniami. Musiał odwiedzić fryzjera przed tą wizytą, bo czarne włosy były znacznie krótsze niż wtedy, gdy go widziała ostatnim razem. Nad karkiem odcinały się równą linią i Anna przypomniała sobie, jak zarzuciła mu ręce na szyję, jak ich dotykała. Gorący rumieniec oblał jej twarz. Miała nadzieję, że pułkownik tego nie zauważył. Marynia miała rację. Gdyby nie wiedziała, jakim jest człowiekiem, mogłaby się w nim zakochać albo przynajmniej wzdychać do niego jak inne panny na salonach. Oczy mu błyszczały, kiedy ją zobaczył, ale gdy uniosła wysoko głowę i ruszyła ku niemu, uśmiechnął się drwiąco. Spokój, tylko to mogło ją uratować. Inaczej nie zrealizuje swych zamiarów.

Dukajski nie odrywał od niej wzroku. Z całej siły starała się go ignorować, ale musiała i jemu podać rękę. Całował ją odrobinę zbyt długo i nie od razu puścił. Przypomniała sobie spacer i tę chwilę, gdy trzymał ją płaczącą w ramionach. Znajome gorąco rozlało się po jej brzuchu. Skupiła się na jego twarzy. Miała wrażenie, że coś chce jej powiedzieć tym twardym spojrzeniem, ale nie zareagowała.

Patrząc na młodszego z Dukajskich, pomyślała, że Katarzyna ma ogromne szczęście. Może jej mąż nie był tak przystojny jak brat, ale za to było od niego ciepło. Znany był też ze swej działalności dobroczynnej, tak samo jak i Katarzyna. Fundowali wiele stypendiów dla ubogich studentów. Jednocześnie nie afiszowali się z tym nigdzie, więc nikt nie był w stanie zliczyć, ilu młodych ludzi zawdzięcza im wykształcenie. Ale przede wszystkim w oczy rzucało się ogromne uczucie, które łączyło tych dwoje. Świetnie się musieli rozumieć, co nieustannie widać było w ich spojrzeniach. Uśmiechali się do siebie i często dotykali, a od czasu do czasu szukali potwierdzenia tego, co mówią w spojrzeniu współmałżonka.

Jak to możliwe, że dwaj bracia mogli się tak bardzo różnić? O Michale Dukajskim krążyły tylko plotki dotyczące jego miłosnych podbojów, awantur oraz ciemnych interesów, które przyniosły mu fortunę. Nade wszystko jednak jego nazwisko wzbudzało szacunek, ale Anna była przekonana, że wynikał on ze strachu, nie z podziwu.

– Zapraszam do ogrodu, gdzie podano zimne napoje. – Hrabia Lipiński ruszył przodem, a za nim Franciszek Dukajski z żoną. Pochód zamykała Anna, która niechętnie ujęła ramię podane jej przez przyszłego narzeczonego. Zwolnił kroku i nachylił się do jej ucha, jak zwykle nieznacznie muskając je ustami. Dostawała od tego dreszczy.

– Wyglądasz cudownie, najdroższa. Tylko po co ta smutna mina? Uśmiechnij się.

– Nie mam się z czego cieszyć i przestań mnie nazywać najdroższą. Dobrze wiem, co za tym stoi – odparowała. Nie mogła się powstrzymać, choć planowała być obojętną i grzeczną.

– O, ranisz mnie. – Teatralnym gestem położył dłoń na sercu. – Powinnaś się cieszyć w dniu zaręczyn. I nie mógłbym cię nazywać inaczej, skoro kosztowałaś mnie małą fortunę.

– Gdybym miała pieniądze, wepchnęłabym ci je do gardła. Z nadzieją, że się udławisz – wysyczała, jednocześnie uśmiechając się do Katarzyny, która przyglądała im się z zadowoloną miną.

Ojciec z gośćmi udali się na spacer po kipiącym zielenią ogrodzie, żeby zatrzymać się w cieniu dębów, gdzie stał stół zastawiony napojami i owocami. Anna chciała iść dalej, lecz Dukajski zatrzymał się u podnóża tarasu. Nie mogła się ruszyć, bo wciąż przyciskał jej ramię do swego boku.

– Ale ich nie masz. Za to ja i owszem. Dlatego ostrzegam, jeśli moja bratowa lub brat zorientują się, że zgodziłaś się za mnie wyjść z powodów innych niż szaleńcza miłość, ten ślub, a więc i transakcja, nie dojdą do skutku. Rozumiemy się? – Stalowe źrenice przewiercały ją i przyszpilały jak sztylety.

Potaknęła niechętnie. A więc taki był plan. Udawać, grać, kupić sobie żonę i oszukać świat. A co dalej, gdy już ją zdobędzie? Czy straci nią zainteresowanie i będzie ją zdradzał? Już miała go o to spytać, gdy ją ubiegł.

– Swoją drogą, powinnaś być mi wdzięczna, bo gdyby nie ja, kto wie, może zainteresowałby się

tobą jakiś stary, gruby wdowiec. Może hrabia Modzelewski? A tak wyjdiesz za najprzystojniejszego kawalera w mieście. – Oczy mu się śmiały, choć był denerwująco poważny.

Anna zacisnęła pięści. Miał rację, ale w życiu by tego nie przyznała.

– Może i najprzystojniejszego, ale z pewnością nie najskromniejszego i nie takiego o nieskazitelnej reputacji – rzuciła.

W oczach Dukajskiego błysnęła złość, którą kilka razy już widziała. Zazwyczaj zaraz potem robił coś okropnego. Przecież obiecywała sobie spokój, ale z tym człowiekiem nie można było rozmawiać spokojnie ani kulturalnie.

– Zapewniam cię, że nie mam sobie nic do zarzucenia, w przeciwieństwie do twego ojca – odpowiedział.

– Teraz będziesz usiłował oczernić mojego ojca. Jesteś doprawdy żałosny. Dziwne, zważywszy na krążące po Lwowie legendy na temat straszliwego łamacza niewieścich serc, utracjusza, miłośnika lupanarów i burd. Że o mordowaniu ludzi nie wspomnę. – Wreszcie udało jej się wyprowadzić go z równowagi. Teraz to ona mówiła lekko, a każde słowo trafiało do celu. Patrzyła, jak na jego twarzy maluje się milion emocji. Gdyby oczy mogły zabijać, powinna leżeć u jego stóp. Zamiast tego uśmiechała się tryumfalnie do momentu, kiedy dostrzegła przebłysk bólu w jego spojrzeniu. Zaraz jednak zastąpił go stalowy cień. Wpatrywała się w niego oszołomiona. Nie, jego nie można było zranić. To kolejna zagrywka.

– Przyjdzie dzień, że pożałujesz tych słów – szepnął, nachylając się ku ustom dziewczyny. Potem odwrócił się i odszedł w stronę jej ojca wracającego pod rękę z Katarzyną. Kierowali się do ławki w cieniu pergoli po lewej stronie trawnika. Anna poszła wolno w przeciwnym kierunku, nie spuszczać wzroku z Dukajskiego, który zbliżył się do bratowej, skinął głową ojcu i kilku osobom i podał Katarzynie ramię. Ona z ufnością wsparła się na nim i odeszli na bok. Rozmawiali swobodnie jak bardzo dobrzy znajomi. Takiego pułkownika nie знаła. Dukajski uśmiechał się czarująco, a bratowa wtórowała mu szczerym śmiechem. Żartobliwie trąciła go w mankiet, kiedy podszedł do nich Franciszek. Położył z czułością dłoń na plecach żony i pogroził palcem bratu z udawaną złością. Katarzyna cmoknęła męża w policzek, po czym ruszyli w stronę kolejnych gości napływających całymi rodzinami.

Ze względu na majątek i pozycję Lipińscy mieli ogromny krąg znajomych. Dzień robił się bardzo ciepły, więc goście chętnie korzystali z możliwości przechadzki po parku ciągnącym się za ogrodem oraz z okazji do napicia się czegoś chłodnego w cieniu dębów. Kolorowe wydekoltowane kreacje pań i ciemne surduty panów migały wśród drzew. Bracia Anny mieli pełne ręce roboty, starając się sprostać wymaganiom zaproszonych pańien. Jeszcze kilka tygodni temu to Lipińska była jedną z takich dziewcząt. Beztroska, roześmiana, pełna życia. Dziś czuła się jak w teatrze, jak w sztuce, której scenariusza nie znała. Znał go tylko Dukajski i to on był reżyserem. Diabeł w ludzkiej skórze.

Anna odwróciła wzrok i dostrzegła Maurycego przyglądającego się z ponurą miną niczego nieświadomej Maryni chichoczącej z innymi dziewczętami. Ksawery, którego kobiety otaczały wianuszkami, widocznie opowiadał im coś zabawnego. Nadarzała się idealna okazja, by wprowadzić w życie plan zdalnej zemsty. Okrążywszy trawnik, podeszła do Maurycego skrytego pod parasolem na tarasie. Zapatrzone w dziewczęta, zignorował siostrę.

– Czemu do niej nie podejdziesz? – zagadnęła bez wstępów i usiadła przy stoliku.

– I po co? – Maurycy nadal patrzył w drugi koniec ogrodu, nerwowo stukając palcami o blat.

– Chociażby po to, by jej pokazać, że jesteś nią zainteresowany, żeby porozmawiać i przekonać się, czy ona odwzajemnia to zainteresowanie. – Anna powędrowała wzrokiem za spojrzeniem brata. Marynia popatrzyła w ich stronę i zaczerwieniła się.

– Nie mam najmniejszych szans z Małaszewiczem. – Maurycy wzruszył ramionami i odwrócił się do siostry, a Anna na dźwięk tego nazwiska wzdrygnęła się.

– Myślę, że masz większe szanse, niż ci się wydaje.

– Nie powiedziała ci, że Małaszewicz chce się jej oświadczyć? Nie widziałas, jak tańczą na jej balu? Jak on za nią łązi?

Anna zdała sobie sprawę, że szczerze powiedziawszy, nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Winę za to ponosił nie kto inny jak Dukajski.

– Trudno widzieć cokolwiek, kiedy ktoś tobą szarpie – mruknęła sama do siebie, ale brat to podchwycił.

– Masz na myśli pułkownika?

– Nieważne. Najważniejsze jest to, że Małaszewicz to zły człowiek, który skrzywdzi Marynię, a tego ani ty, ani ja byśmy nie chcieli. – Popatrzyła w napięciu na Maurycego.

– Czy ty coś wiesz, siostrzyczko? – Brat obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

Wzruszyła ramionami.

– Wiem jedno, że Małaszewiczowi nie zależy na Maryni. W każdym razie nie tak bardzo, jak na jej majątku. Dlatego rusz się i idź do niej. Porozmawiaj z nią.

– Ale ona... – zaczął Maurycy.

– Ona jest tobą zainteresowana. Rozmawiałam z nią i wierz mi, o niczym bardziej nie marzy niż o spotkaniu z tobą.

– Tak ci powiedziała? Że jest mną zainteresowana? – Maurycy z wrażenia spurpurowiał, a oczy mu rozbłysły.

– Małaszewicz to jej ostatnia deska ratunku. Ona myśli, że nikomu się nie podoba.

– Przecież ona jest prześliczna – wykrzyknął Maurycy, ale zaraz ściszył głos. – Znam ją tyle lat i wiem, że to ciepła, wspaniała dziewczyna. Jak ona może myśleć, że nikt jej nie zechce?

– No właśnie, braciszku. Pora, żeby ktoś jej uświadomił, że ma wybór. Że nie jest skazana na Małaszewicza.

Anna wiedziała, że nie powinna zdradzać szczegółów rozmowy z przyjaciółką, ale w tej chwili obchodziła ją tylko zemsta na Adamie. Choć oczywiście próbowała sobie wmówić, że kieruje nią troska o brata i Marynię. Jeśli udałoby jej się zeswatać tych dwoje, majątek Lipińskich mógłby zostać uratowany dzięki fortunie Dzieduszyckich, natomiast utarcie nosa Małaszewiczowi byłoby jak wisienka na torcie. Tym samym Anna mogłaby zerwać zaręczyny z Michałem i byłaby wolną kobietą. Może i samotną, ale niezależną od humorów jakiegoś żołdaka. Na samą myśl o takim przebiegu wydarzeń, poczuła dreszcz podniecenia. Cudownie było kierować sytuacją, być jej panią i powodować, że ludzie tańczyli jak zagrała.

– Ona naprawdę jest mną zainteresowana? – upewnił się Maurycy.

Anna tylko przytaknęła.

– To dlaczego ja tego nie zauważyłem? – Przyglądał się siostrze podejrzliwie. Znał ją nie od dziś i wiedział, że kiedy coś sobie wymyśli, po trupach będzie dążyła do celu. Marynię kochała jak siostrę i istniało ryzyko, że z tego powodu chce ich popchnąć ku sobie.

Anna przewróciła oczami.

– Bo jesteś ślepy jak wszyscy mężczyźni! Czy ty nie widzisz, że ona nawet teraz zerka w twoją stronę i się czerwieni? Ignoruje Ksawerego i innych mężczyzn. Patrzy właśnie na ciebie – powiedziała z mocą, nachylając się w stronę brata, który uważnie przyglądał się zawstydzonej Maryni.

Anna nagiwała trochę rzeczywistość, ale była pewna, że jej brat nie był Maryni obojętny. Widziała, jak zerkali na siebie, jak przyjaciółka czerwieniła się od tych spojrzeń, a jej brat się zachmurzał. Już dawno miała zamiar skierować ich uwagę na siebie, lecz przez własne problemy odsunęła wszystko na dalszy plan. Może Marynia jeszcze sobie tego nie uświadamiała, ale przy pomocy Anny z pewnością odkryje uczucia do młodszego z braci Lipińskich. To kwestia czasu. W całym tym pokręconym świecie Anna dostrzegła jeden jasny promyczek. Mogła popchnąć ku sobie dwoje nieświadomych wzajemnych uczuć ludzi, a przy okazji odegrać się na Małaszewiczu i jeszcze sprawić, że przyjaciółka stanie się członkiem jej rodziny. Ciepło wzruszenia zalało ją nagle i odebrało głos. Dlaczego ona nie miała takiego dobrego ducha, który czuwałby nad nią i popychał w dobrym kierunku? Dlaczego była kompletnie sama? Zwłaszcza kiedy ojciec dowie się o klejnotach, nikt i nic jej nie pomoże. Chociaż... Wpadł jej do głowy pewien pomysł.

– Na co czekasz? – Trąciła Maurycego. – Ruszaj! Zaproś ją na początek na spacer, a sam

zobaczysz. Tylko nie milcz jak kołek.

Maurycy uśmiechnął się zawstydzony.

– Chyba masz rację, siostrzyczko. Jeśli nie spróbuję, nie przekonam się. – Wstał energicznie.

– No właśnie! Lepiej coś zrobić i żałować, niż żałować, że się tego nie zrobiło! – dodała mu odwagi.

Odpowiedział uśmiechem i ruszył w stronę dziewcząt, przecinając trawnik najkrótszą drogą. Anna odprowadziła go wzrokiem. Obserwowała, jak purpurowa z zażenowania Marynia uśmiecha się do niego i mu odpowiada. Poczowała w sobie lekkość i radość. Może nie będzie tak źle. Coś jednak jej się może udać, a być może rozwiąże się i afera z klejnotami. Znajome mrowienie dało jej znać, że Dukajski na nią patrzy. Rozejrzała się po ogrodzie. Stał obok papy, ale kiedy popatrzyła w jego stronę, odwrócił wzrok. Podniosła się z krzesła, żeby podejść do niego. Nie miała już nic do stracenia, lecz ojciec właśnie zaprosił gości do jadalni, więc poczekała na niego i ruszyli w stronę nakrytego najlepszą porcelaną stołu. Zdobiły go bukiety białych kwiatów i srebrne lichtarze. Ta rozmowa będzie musiała jeszcze poczekać.

Goście zajmowali miejsca według starszeństwa i piastowanych stanowisk. Na honorowym miejscu zasiadł wuj, książę Władysław Leon Sapieha z żoną Elżbietą Konstancją. Książę nie wyglądał najlepiej. Anna zapamiętała go jako energicznego mężczyznę, który rozpieszczał swą chrześnicę prezentami. Teraz był cieniem samego siebie. Niemal łysy i bardzo szczupły, sprawiał wrażenie chorego. Ciotka za to prezentowała się kwitnąco, mimo że dobiegała pięćdziesiątki. Wyprostowana i dumna, uczesana wysoko, z niewielkimi śladami siwizny na skroniach, w eleganckiej czarnej sukni, nie pozostawiała patrzącemu wątpliwości, że ma on do czynienia z osobą wysoko urodzoną i w dodatku pewną siebie. Anna wiedziała, że nie dalej jak dwa lata temu zmarł ich najstarszy syn, Kazimierz. Od tej pory ciotka nosiła się na czarno. Dwóch starszych synów Sapiehowie zabrali dziś ze sobą. Najmłodsze dziewczynki miały po kilka lat i zostały w domu, a pozostali synowie przebywali za granicą.

Dalej zasiadali Dzieduszyccy, czyli rodzice Maryni, a następnie Franciszek Dukajski z żoną i krewni ze strony Lipińskich i Potulickich, z którymi byli spowinowaceni Lipińscy, głównie wujowie i ciotki w wieku zbliżonym do ojca. Ciotka Elżbieta Konstancja pochodziła z rodu Potulickich, herbu Grzymała, stąd Lipińscy honorowali wysoko urodzonych krewnych zaproszeniami na najważniejsze uroczystości rodzinne.

Na końcu miejsca przy stole zajmowali najmłodszy członkowie rodzin, a więc bracia Anny, Marynia, dwóch synów Sapiehów: Leon i Adam Zygmunt oraz cała reszta młodzieży, która mogła z racji wprowadzenia do towarzystwa bywać na tego typu uroczystościach i co więcej, mogła zabierać głos, choć do tego nikt się nie palił. Nie wypadało wchodzić w słowo starszym, a wręcz mile widziane było przysłuchiwanie się i przyswajanie mądrości oraz poglądów bardziej doświadczonych członków rodziny. Oczywiście Anna od zawsze miała z tym problem. Nawet kiedy była dzieckiem, często upominano ją, bo odzywała się bez pytania. Wuj Sapieha z jakiegoś powodu jako jedyny cieszył się z jej niewyparzonego języka. Sam ją czasami prowokował do wymiany zdań na różne tematy, co nie podobało się ani ciotce, ani ojcu Anny. Zwykle w takich momentach wuj mawiał:

– Ona jedna z całej rodziny ma w sobie dość odwagi, żeby zmienić świat, w rzeczy samej! –

Głaskał wtedy Annę po głowie i wtykał jej w rączki różne frykasy, za co dziewczynka go uwielbiała.

– Władysław, przestań psuć dziecko! – buntowała się ciotka, patrząc skwaszona na czarnowłosą uśmiechniętą dziewczynkę. Być może powodowała ją zazdrość, że żadne z ich licznych i dobrze wychowanych dzieci nie cieszyło się takim zainteresowaniem księcia. W każdym razie ciotka Elżbieta za Anną nie przepadała.

Anna dziś zajęła miejsce między hrabią Lipińskim a przyszłym narzeczoną, który odsunął jej krzesło. O dziwo, ani razu w czasie, kiedy czekali w ogrodzie na wszystkich gości, nie podszedł do niej ani nie zamienił z nią już słowa. Powinna czuć ulgę, ale zamiast tego rozczarowanie zaczynało ją gryźć nieznośnie i boleśnie. Jak ten człowiek potrafił ją zmanipulować. Jak bardzo umiał wpływać na ludzi. Starła się z całych sił skupić na gościach, na rozmowach, ale co jakiś czas zerkała w jego stronę.

Niestety, on konwersował z każdym, tylko nie z nią. Marynia gapiała się na niego i rumieniła się co kilka sekund, kiedy tylko rzucił jej jedno z tych swoich obezwładniających spojrzeń. Zresztą, co się dziwić Maryni, kiedy on czarował każdą kobietę na tym przyjęciu. Każdą z wyjątkiem narzeczonej, która czuła się potwornie źle. Znowu ją zranił, znowu chciał jej dopiec, a ona nie umiała się przed tym bronić. Może i zasłużyła na taką karę. Może nie powinna była przypominać mu o niedawnym uwięzieniu, choć z drugiej strony wolała myśleć, że zasłużył na każde słowo, które padło z jej ust. Siedziała więc za stołem, grzebiąc w talerzu i rzucając tęskne spojrzenia w stronę drzew, głucha na gwar rozmów i dyskretny szczeł sztucców. W takich chwilach zawsze marzyła o powrocie na wieś, gdzie mogłaby dosiąść któregoś z koni należących do braci i galopować po łąkach. Marzyła o ucieczce od tych wszystkich problemów, zwłaszcza od tego, co przerażało ją najbardziej. W końcu będzie musiała przyznać się ojcu, że Małaszewicz ich okradł. Że zachowała się głupio, ufając mu.

– Co ty na to, droga Anno? – zapytał Dukajski, zapewne wiedząc, że nie słuchała rozmów toczących się przy stole. Uśmiechał się przeuroczo, zupełnie niewinnie. Za to hrabia Lipiński zbladł, a bracia popatrzyli na siebie porozumiewawczo. No tak, wszyscy znali jej cięty język, a zważywszy na wspaniałych gości, których mieli, nie powinna otwarcie wypowiadać swoich poglądów na żaden temat.

Anna rzuciła mu mordercze spojrzenie.

– Przepraszam, ale nie słuchałam. Panna na wydaniu raczej rozmyśla o wyprawie niż o kwestiach państwowych – powiedziała w końcu, zatrzepotawszy uroczo rękami, na co goście zareagowali serdecznym śmiechem. – O co pytałeś?

– Co sądzisz o kandydaturze Marii Dulębianki<sup>[14]</sup>, skądinąd nieważnej, w ostatnich wyborach do Sejmu Krajowego? – Dukajskiemu oczy się śmiały. Anna wiedziała, że to szyta grubymi nićmi prowokacja.

– Jej kandydatura była jak najbardziej ważna. Otrzymała pięćset jednaście głosów, czyli miała poparcie wśród ludzi, co, jak mi się wydaje, jest ważniejsze niż typowanie kandydatów na posłów czy jakiegokolwiek urzędy po znajomości tylko dlatego, że zasłużyli sobie w mniemaniu komitetu wyborczego. – Anna zerknęła na księcia, który pokiwał w zadumie głową.

– W świetle prawa nie miała szans, ponieważ, jak wszystkim wiadomo, kobiety nie mają żadnych praw wyborczych. Ani czynnych, ani biernych – odezwał się z przyganą w głosie Leon, syn Sapiehów, spojrzeniem szukając u ojca potwierdzenia swoich słów.

– Na razie nie mają. Ufam, że dzięki takim odważnym kobietom jak Dulębianka, która zresztą wiele robi w tym kierunku, może się to zmienić. Wydała broszurę *Polityczne stanowisko kobiety*, w której jasno pokazuje, moim zdaniem słusznie, że partie masowe próbują się przypodobać tłumom.

Anna śledziła od dawna działalność Dulębianki. Po cichu marzyła, że sama kiedyś będzie mogła brać udział w tej nierównej walce kobiet z mężczyznami. Zaczytywała się dodatkiem do „Kuriera Lwowskiego” redagowanym przez Dulębiankę, czyli „Głosem Kobiet”. Niestety, rzadko kiedy miała okazję wypowiedzieć na głos swoje własne przekonania i sądy. Tylko oficjalne wejście do towarzystwa, a potem zamążpójście mogło jej dać tak jak każdemu młodemu człowiekowi, a zwłaszcza kobiecie, sposobność, by głośno mówić o swoich przekonaniach i być słuchanym. Dlatego Annie pociły się dłonie ze zdenerwowania. Do tej pory słuchali jej bracia i ojciec albo Marynia i Mania. Pierwszy raz mówiła publicznie o tym, co ją nurtowało.

– W rzeczy samej, muszę się z tobą zgodzić, droga Anno. – Wszystkie oczy skierowały się na księcia Sapiehę. – Jeszcze w ostatnich latach ubiegłego wieku wieszano afisze i agitowano, w rzeczy samej, ale w ostatnim czasie burdy i wzajemne obrzucanie się inwektywami osiągnęły apogeum.

– Rzeczywiście, pełno w gazetach nie tylko satyr, ale wręcz informacji o kandydatach uwłaczających dobremu smakowi, jak choćby te na temat chorób, alkoholizmu, korzystania z domów publicznych. – Ojciec wzdrygnął się ze wstrętem, a pomruk niezadowolenia, który wydobył się z gardeł gości, utwierdził go tylko w słuszności swoich obserwacji.

– Tak się dzieje, w rzeczy samej, gdy do władzy dopuszcza się ludzi wątpliwego autoramentu –

skwitował książkę.

– Pozwolę sobie nie zgodzić się z panem, drogi książę – zareagował Dukajski. – Nie sędzę, by brutalizacja walki przedwyborczej była spowodowana tylko masowym charakterem wyborów. Raczej wynika to z nastrojów w społeczeństwie coraz bardziej skłóconym, a skłóconym przez nieprzemyślane ruchy ludzi zajmujących najważniejsze stanowiska w państwie. Weźmy na przykład zamieszki w mieście. Namiestnik liczył, że popierając przeciwników narodowców ukraińskich, zdoła wygasić dążenia Ukraińców. Ale przeliczył się i niepotrzebnie sprowokował radykałów po obu stronach. Podobno zrozumiał poniewczasie swój błąd i zainicjował ponowne pertraktacje z Klubem Ukraińskim. Ale powiedzmy sobie szczerze, czy to coś da, skoro narodowcy ukraińscy, mimo ogromnego poparcia społecznego, zdobyli tylko jedenaście mandatów w sejmie? Stąd ich niezadowolenie i ostatecznie zamieszki. Taka sytuacja nie zaistniałaby, gdyby nie nieostrożne posunięcie hrabiego Potockiego.

– Czy nie w czasie tych zamieszek powyborczych zostałeś uwięziony, Michale? – zapytała z troską ubrana w niemodną dawno suknię ciotka Aniela, jednocześnie próbując zmienić temat. Anna wiedziała, że ciotka nie znosi polityki.

– Tak, ale w zeszłym roku, po wyborach do Rady Państwa, też dochodziło do zamieszek na tle narodowościowym – przytaknął Dukajski.

– Czytałem o tym. Pod domem profesora Jerzego Buzka starła się popierająca go młodzież z chłopami – wtrącił się Franciszek.

– Wtedy też musieliśmy interweniować, a bodajże trzy osoby odniosły dość poważne obrażenia. Doszło tam do regularnej bitwy, to było jak piekło. Ludzie okładali się czym popadło. Ci młodzi chłopcy... I to w środku miasta, na ulicy. – Anna zauważyła, że Dukajski wyglądał na poruszonego, kiedy o tym opowiadał.

– I w imię czego? – dodała z politowaniem Katarzyna. – Z powodu popierania człowieka, którego większość z tych chłopców pewnie nawet osobiście nie znała. Z pewnością nie w stopniu, który by uprawniał do takich zachowań.

– Sytuacja od lat staje się coraz bardziej napięta. Wydawałoby się, że autonomia, którą wywalczyli Polacy pod rządami Austriaków, pozwoli się pokojowo rozwijać narodowi, tymczasem jest coraz więcej konfliktów – skonstatował ze smutkiem hrabia Lipiński.

– No właśnie, autonomię wywalczyli Polacy i to, w rzeczy samej, nie byle kto, bo sama śmietanka narodu. A każdy, nawet najpodlejszy prostak, chce teraz na tym korzystać. – Książę pokiwał głową.

– Ależ drogi książę, nie można tak na to patrzeć. Przecież Galicja to dom nie tylko Polaków. Doprawdy nie jesteśmy tu sami – oburzyła się Katarzyna Dukajska.

– Nie jesteśmy, pani hrabino, w rzeczy samej, ale to nam Lwów zawdzięcza najwięcej. Że o całej Galicji nie wspomnę – oponował Sapieha, wyprostowawszy się na krześle. Anna zauważyła w jego oczach ten sam ogień, co kiedyś.

– Czy to nas uprawnia do czucia się panami Ukraińców, Żydów czy jakichkolwiek innych narodowości? Czy to nas stawia na pozycji uprzywilejowanej, czy może raczej na pozycji obrońców i ludzi odpowiedzialnych za los całej autonomii oraz jej słabszych i biedniejszych obywateli? Czy siła i wielkość usprawiedliwiają narodowy egoizm? Czy rozbiory nas niczego nie nauczyły? – Katarzyna mówiła spokojnie, ale z błyskiem w oczach, a towarzystwo słuchało zawstydzone. Mąż uściśnął jej dłoń, w której kurczowo zaciskała nóż. Anna wyczuła w niej bratnią duszę, która zawsze staje po stronie pokrzywdzonych i słabszych. Kolejny raz tego dnia poczuła radość, że ma tę kobietę po swojej stronie. Przy stole zapadła cisza, przerywana tylko nerwowym sapaniem hrabiego Lipińskiego.

– Jest pani bardzo mądrą kobietą, hrabino. W rzeczy samej. – Sapieha skłonił się Katarzynie. – Jak łatwo zapominamy, że sami jesteśmy w sytuacji ciemionych. Nieprawdaż? – Zapytanie skierował do hrabiego Lipińskiego, który wreszcie odetchnął głęboko z ulgą.

– Rzeczywiście, choć myśmy wywalczyli nieco swobody – przytaknął Lipiński.

– Więc pozwólczy innym na wynegocjowanie swoich swobód – zakończyła Katarzyna.  
– Zapewniam cię, moja droga, że namiestnik negocjuje z tymi, którzy domagają się swych praw – uzupełnił Franciszek. – Ale nie jest to łatwe. Niestety, dla wielu takie konflikty interesów to tylko pretekst, by wyjść na ulicę, niszczyć i bić niewinnych.

– Tak działa na prostych ludzi tłum. Jakaś siła sprawia, że stają się jak jeden organizm i prą pod prąd. Wystarczy jakiś podżegacz i są gotowi zabijać! Pod byle pretekstem! – oburzyła się księżna.

– To właśnie świadomość, że w tłumie są anonimowi, że mają większą moc niż jednostka, powoduje taki przypływ agresji – dodał Franciszek. – Chyba Michał może coś na ten temat powiedzieć, prawda?

Pułkownik pokiwał zamyślony głową, po czym jakby ocknął się z nieciekawego snu i odpowiedział bratu:

– Niestety, tak działa tłum. Anonimowość i poczucie siły, a co za tym idzie, przyzwolenie na agresję, na prezentowanie najbardziej ordynarnych zachowań. Dopiero kiedy dojdzie do tragedii, to ta tragedia okazuje się być tragedią pojedynczego człowieka. Śmierć, kalectwo, więzienie, rozpacz bliskich... – Anna nie mogła uwierzyć, że mówi to ten sam człowiek, który szantażował jej ojca. On i współczucie, zrozumienie dla pojedynczego człowieka? On, który ludzi traktował instrumentalnie? Niemożliwe, żeby on mógł tak myśleć.

Tymczasem Dukajski kontynuował:

– Jako żołnierz najlepiej chyba rozumiem zasady działania tłumy. W końcu wojsko to sztuka dowodzenia i umiejętnego kierowania tłumem mężczyzn, których należy odpowiednio zmotywować i podburzyć do walki.

– Całkowicie się z panem zgadzam, drogi pułkowniku. Ach, ci mężczyźni. Świat byłby takim spokojnym miejscem, gdyby rządziły nim kobiety. A te, jak wiadomo, z natury są łagodne – poparła go ciotka Aniela, robiąc słodką minę do pułkownika.

Anna przewróciła tylko oczami. Nawet podstarzała wdowa złapała się na te cklive gadki Dukajskiego. Maurycy zrozumiał Annę bez słów i uśmiechnął się do niej znacząco. W odpowiedzi pokręciła głową, wyrażając swoje niedowierzanie. Brat popatrzył w talerz, żeby ukryć wesołość.

Dukajski z drwiącą miną zerknął na Annę.

– Czy kobiety są takie spolegliwe i łagodne? Tego bym nie powiedział. Myślę, że niejednokrotnie potrafią być bardziej waleczne niż mężczyźni.

– I pokazywałyby swą odwagę i waleczność częściej, gdyby mężczyźni nie utrudniali im tego, spychając kobiety do roli dekoracji, która nie potrafi sama o sobie decydować, nie mówiąc o walce o swe prawa. – Anna nie pozostała dłużna pułkownikowi.

Sapieha uśmiechnął się pod wąsem, Lipiński wstrzymał oddech, za to Katarzyna zerknęła znacząco na męża pokrywającego śmiech cichym chrząknięciem. Ciotka Aniela zrobiła wielkie oczy, zaś pozostali patrzyli w napięciu na Dukajskiego, który z miną niewiniątka odpowiedział:

– Zapewniam cię, moja droga, że po ślubie nie będę się opierał i pozwolę ci decydować, o czym tylko zechcesz.

Anna obserwowała go i zastanawiała się, gdzie tkwi haczyk, bo z pewnością jej przyszły narzeczoney nie był aż tak wspianiałomyślny.

– Poczawszy od tego, co zjemy na obiad, do tego, jakiego koloru zasłony i tapety wybierzesz do salonu – dokończył z satysfakcją pułkownik, a Anna pomyślała, że udusi się ze złości. Towarzystwo potraktowało jego słowa jak wyborny żart i zgodnie się zaśmiało, natomiast ona wysiliła się na grymas, który miał udawać uśmiech, ale widelec trzymany w dłoni ścisnęła tak mocno, że straciła czucie w palach. Kiedy śmiech ucichł, Anna już otwierała usta, żeby zwymyślać tego idiotę, lecz ubiegł ją ojciec, który znał ją doskonale i wiedział, że za chwilę wybuchnie. W końcu Dukajski trafił w jej najczulszy punkt.

Hrabia Lipiński wstał z pełnym kielichem w dłoni.

– Szanowni goście, dość tych przygnębiających politycznych dywagacji. Dziś świętujemy radosne wydarzenie. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że zaprosiłem państwa, żeby uczcić



najpiękniejszy i zarazem najstraszniejszy dzień w życiu każdego ojca. Najpiękniejszy, gdyż moja ukochana córka, Anna, zaręczy się ze wspaniałym kawalerem, pułkownikiem hrabią Michałem Dukajskim. Natomiast dla każdego rodzica jest to też dzień żałoby, gdyż rychło będzie musiał rozstać się ze swoim dzieckiem. Ufam jednak, że oddaję Annę w dobre ręce, człowiekowi, który zadba o nią tak, jak ja dbałem. Jak o najwięszy skarb.

Kiedy ojcu odpowiedziały oklaski, Anna poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Jedna z ciotek Lipińskich, Aniela, dyskretnie otarła łzę wzruszenia. Sama owdowiała w młodym wieku i chyba dlatego rozczuła ją tego typu uroczystości.

Dukajski pod stołem wcisnął Annie coś w rękę. Poczula okrągły kształt. Potem wstał i pociągnął ją za sobą. Otworzył dłoń, na której leżała obrączka ozdobiona drobnymi brylantami. Jeden z nich lśnił błękitnym blaskiem. Spojrzała na Annę i powiedział:

– Anno, proszę przyjąć ten pierścionek na znak mojego przywiązania.

Ujął jej dłoń i wcisnął mało delikatnie pierścień na palec, po czym go ucałował. Czula ciepło bijące z jego dłoni i suchość w ustach. Zbierało jej się na wymioty. Wszyscy na nią patrzyli, ale ona nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa, a już zwłaszcza jego imienia. Uścisnął lekko jej dłoń. Spojrzała mu w oczy, jakby tam mogła znaleźć ratunek. Skinął lekko głową i uśmiechnął się, lecz nie tak, że miała ochotę go zabić. Była w tym uśmiechu otucha. Była odwaga, której tak bardzo potrzebowała.

– Michale, niech ten pierścionek będzie symbolem mojego oddania – wydusiła w końcu z siebie. Mówiąc to, wsunęła krążek na palec narzeczonego. Przypominał ten, który sama miała na palcu, ale był większy i nie tak zdobny w kamienie. Mogła przyjrzeć się dużej, silnej dłoni Dukajskiego, dotknąć jego długich palców. Kiedy pomyślała, że ta dłoń jej dotykała, wzdłuż jej kręgosłupa pogalopował gorący prąd. Wreszcie podniosła na niego oczy. Zderzyła się z lodem. Puścił ją, a goście raz jeszcze zaklaskali. Dukajski uśmiechnął się, ale ten uśmiech zarezerwowany był dla zgromadzonych. Jej posłał ostrzegawcze spojrzenie.

Usiedli i przyjęcie mogło trwać dalej. Młodzi goście po deserze rozpierzchli się po ogrodzie. Mężczyźni skryli się w bibliotece, gdzie delectowali się trunkami od Baczewskiego, natomiast kobiety z ciotką Anielą i księżną Elżbietą na czele rozsiadły się w salonie, gdzie przy likierze i ciastkach dyskutowały na temat najświeższej mody. Dukajski konsekwentnie unikał Anny. Skoncentrował się na rozmowach z panami, co zauważyła, zaglądając przez otwarte szeroko okna. Nie przeszkadzało mu to jednak strzelać oczami za pannami spacerującymi po ogrodzie. Anna skwitowała to cichym parsknięciem, gdy przypadkowo ich oczy się spotkały nad głową jakiejś hrabianki. Kiedy tak szła samotna w stronę wolnej i oddalonej od gości ławki, podeszła do niej Katarzyna.

– Anno, co się dzieje? Dotąd miałam wrażenie, że z Michałem doskonale się rozumiecie, że układa wam się świetnie. Za każdym razem po wizycie u was wracał szczęśliwy i w dobrym humorze. A dziś się unikacie. – Ujęła dłoń Anny i pociągnęła ją nieznacznie w stronę dębów, w cieniu których stała altana.

Anna nie mogła uwierzyć własnym uszom. Jego spotkania z nią wprowadzały go w dobry nastrój, bo wybornie bawił się jej kosztem! W tym czasie ona się wściekała, ona nie mogła spać, ona rozmyślała nad beznadziejnością swego położenia. A to gad! Wreszcie odpowiedziała:

– Ach, to nic takiego. Mała niezgodność. Drobiazg. Jestem przekonana, że Michał – dziwnie jej było wymawiać to imię – w końcu zrozumie, że miałam rację.

Skoro on grał, ona też mogła. Zresztą, nie miała wielkiego wyboru. Nikt przecież nie mógł się dowiedzieć, że została zmuszona do tego mariażu i że nienawidzi tego człowieka.

– Nam z Franciszkiem też się zdarzały takie drobne sprzeczkki. Ale to normalne. Musicie się siebie nauczyć, a Michał nie ma łatwego charakteru. – Katarzyna skręciła nieznacznie, omijając grupę ludzi zdążających w ich kierunku. Anna spostrzegła Maurycego, który z Marynią wiszącą u jego ramienia został w tyle. Skupieni na rozmowie szli coraz wolniej. Ich również Katarzyna ominęła, choć i tak zapatrzeni w siebie nie zwróciliby uwagi na kobiety.

– Zauważyłam, że z Michałem nie będzie lekko. – Anna uśmiechnęła się, zwalniając kroku,

by nie wyprzedzić Katarzyny.

– Widzę, że rzeczywiście świetnie się dobraliście. On zasłużył na wspianą kobietę. Potrzebuje ciepła, bo choć się do tego w życiu nie przyzna, jest bardzo samotny. Pewnie nie opowiadał ci o swoim dzieciństwie? – Katarzynie błyszczały oczy i Anna przez chwilę miała wrażenie, że mówi o kimś zupełnie innym niż jej narzeczony, który teraz właśnie strzelał oczami w kierunku czerwieniącej się Krysi Poturzyckiej, co dostrzegła, gdy skręciły w prawo, chowając się w cieniu dębów i różaneczników. Ostatnim, co zarejestrowała Anna, było spłoszone spojrzenie Dukajskiego, rzucone w stronę bratowej.

– Nie mieliśmy zbyt wielu okazji do rozmów – odpowiedziała Anna.

– No tak. To uwięzienie... – Katarzyna wzdrygnęła się i objęła ramionami.

Zwolniły i weszły pomiędzy krzewy, gdzie stała ławka w pobliżu strumienia będącego zwykłym rowem, którego wody zostały puszczane przez kamienne koryto do niewielkiej sadzawki obsadzonej ceniolubnymi krzewami rododendronów. Sztuczny strumyk uspokajająco kłaskał w zaroślach, dając ożywczy chłód. Katarzyna usiadła, poklepując dłonią miejsce obok siebie. Pełna obaw Anna dołączyła do niej. Co jeśli Dukajski pochwalił się, kto mu pomógł? Choć wiedziała, że prawdopodobnie uratowała życie przyszłego narzeczonego, to jednocześnie naraziła na szwank swoją reputację. Debiutujące panny nie powinny błąkać się z podejrzanymi typami po podziemiach lwowskich kamienic. Tym bardziej że jej brat tylko dzięki swoim sympatiom dla ukraińskich narodowców miał wiedzę, gdzie przetrzymują Michała.

– Myśleliśmy z Franciszkiem, że Michał nie wyjdzie z tego cało – kontynuowała Dukajska. – Franciszek użył wszystkich swoich znajomości, ale niestety nikt nie wiedział, gdzie go trzymają. Ale co ja mówię! To musiało być straszne przede wszystkim dla ciebie, kochana. – Katarzyna uściśnęła dłoń Anny i popatrzyła ze współczuciem w jej oczy.

– Tak, nie mogłam zrozumieć, dlaczego został schwytany, skoro odmówił strzelania do ludzi. Powinni być mu wdzięczni. Tymczasem o mało go nie zabito – odpowiedziała Anna, starając się ukryć ulgę, jaką odczuła na myśl, że Dukajska nic nie wie o jej udziale w sprawie. – Wy przynajmniej mogliście działać. Tak trudno jest siedzieć beczynnym, gdy się wie, że komuś bliskiemu zagraża niebezpieczeństwo – dodała zgodnie z prawdą.

– Masz rację, Anno. My, kobiety, jesteśmy takie bezbronne i beзуyteczne wręcz, kiedy chodzi o świat i zło panoszące się na nim. – Katarzyna zaszepczała.

Anna poczuła, jak wzrasta jej ciśnienie. Kto chce, może być beczynny i cierpliwie poddawać się falom losu. Niech inni decydują za niego. Tak jest po prostu wygodniej. Ona jednak nie miała najmniejszego zamiaru tak żyć. Mimo wzburzenia, ugryzła się w język i nie wyraziła swojego zdania. Miała nie zrazić do siebie jego rodziny. Tego od niej przecież wymagał. Sama też nie zamierzała robić sobie wrogów tam, gdzie miała szansę może nie na przyjaźń, ale przynajmniej na znajomość, która skutkowałaby zdobyciem informacji na temat przeciwnika.

– Nie wiem, Katarzyno, brak mi doświadczenia, ale nie uważasz, że umiejętnie pokierowany przez kobietę mężczyzna może być bardzo skutecznym narzędziem do wpływania na losy świata? – wyrzuciła z siebie i czekała na reakcję Dukajskiej.

Katarzyna zaśmiała się dźwięcznie, po czym uściśnęła Annę.

– Moja kochana, jesteś niesamowita. Ale to znak czasów i symptom młodości, która nie pozwala godzić się z tym, co zastane. – Hrabina nachyliła się ku Annie, aż ta nadstawiła ucha. – Powiem ci w sekrecie, że każda kobieta prędzej czy później odkrywa, jaką ma moc. A ja się cieszę, że naszego dumnego Michasia Pan Bóg pokarze niewiastą, która będzie nim rozporządzać według swej woli. Bo wierz mi, kochana, tylko miłość i oddanie męża daje kobiecie taką władzę, a Michał cię kocha. Doskonale o tym wiesz. – Katarzyna mówiła z błyszczącymi ze wzruszenia oczami.

Anna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Hrabinie musiało się coś pomylić. On ją kocha? Raczej ubzdurał sobie, że ją zdobędzie. Jaki on musi być obłudny, jak dobrze musi grać, że nawet jego najbliżsi nie zorientowali się w jego niskich pobudkach.

– Nie powiedział mi tego... – Zawahała się Anna. Czy w ten sposób nie naraża się na przykre

konsekwencje ze strony niedoszłego męża? Ludzie, którzy decydują się na ślub, chyba powinni sobie wyznawać miłość. Przez te wszystkie komplikacje zupełnie nie zwróciła na to uwagi.

– O, to tylko kwestia czasu. Rzadko się widujecie, a on jest ostatnio bardzo zajęty. Szykuje ci wielką niespodziankę, ale nie mogę o tym mówić. – Tu Katarzyna przytknęła palec do ust i uśmiechnęła się tajemniczo.

Anna żałowała, że nie wpadła wcześniej na pomysł zaproszenia Katarzyny do siebie, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o swoim największym wrogu. Nie przyszło jej jednak dotąd do głowy, że Dukajski pozwala komukolwiek na taką poufałość, że się zwierza ze swych planów i posunięć. Miała go raczej za odludka.

– Brzmi intrygująco. Nie sądziłam, że Michał mógłby chcieć mnie zaskoczyć – powiedziała zgodnie z prawdą.

– O, uwierz mi, to wspaniały mężczyzna. A nie miał w życiu lekko. Jego ojcu nie udało się to, co zamierzał, nie zniszczył Michała.

– Ojcu? Jak to? – Zaintrygowana Anna nadstawiła uszu.

– Och, Anno. Tylko nie mów mu, że coś wiesz na ten temat. – Katarzyna rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy.

– Bo widzisz, kochana, rodzice Franciszka i Michała nie żyli ze sobą zbyt dobrze. Ich małżeństwo, jak zresztą prawie wszystkie związki wtedy, skojarzono na zasadzie podobieństwa fortun, nie ludzi. A jak wiadomo – pieniądź z pieniądzem zawsze pasuje. Niestety, nie dotyczy to osób. Ich matka nie miała wpływu na to, co robił stary Dukajski. Faktem jednak jest, że nienawidził Franciszka, pupilka matki, za to upodobał sobie Michała. Zabrał go jako małego chłopca z dala od niej i starał się wykreować na przyszłego właściciela fortuny Dukajskich. Dopiero po śmierci starego hrabiego okazało się, że nie był on do końca zrównoważony i że Michał musiał przeżyć piekło. Nosi wiele blizn, o których nie chce mówić. I to nie tylko tych na ciele, ale przede wszystkim na duszy. Wiem tyle, ile powiedział Franciszkowi, a raczej ile opowiedziała mu służba, również źle traktowana przez starego. Wiadomo jedynie, że Michał po powrocie do matki był zaniedbany. Na szczęście zanim zmarła, zdążyła przelać mu w duszę choć odrobinę swej miłości. Franciszek mówił, że młody Michał często krzyczał w nocy i że matka czuwała przy nim nieustannie. A być może zabiły ją wyrzuty, że pozwoliła szaleńcowi skrzywdzić swoje dziecko.

Anna słuchała jak zaczarowana. Więc to dlatego Dukajski był potworem. To ojciec nauczył go brać wszystko, czego zapragnie, nauczył go bycia zimnym i wyrachowanym. Ale czyż każdy z nas nie ma wolnej woli i nie może się sprzeciwić temu, co jest narzucone? Czyż każdy z nas nie jest z gruntu dobry? Chyba że to akurat nie dotyczyło Dukajskiego. Odrzucił najwidoczniej to, co wpajała mu matka i szedł śladami ojca. Kto wie, czy nie odziedziczył szaleństwa po ojcu. Do nienawiści tłącej się w sercu Anny dołączył strach.

– Tak więc, moja kochana, będziesz miała w swoich rękach jego serce. Nie zawieź tej miłości, proszę, bo go zniszczysz... – W głosie Katarzyny pobrzmiwała autentyczna troska.

Anna chciała roześmiać się, gdy Katarzyna wspomniała o miłości. Och, jak wspaniale musiał się kryć, że udawał pokrzywdzonego przez los. Zanim zdążyła odpowiedzieć, na ścieżce przed nimi wyrósł Dukajski.

– Widzę, że moja piękna bratowa zapomniała na chwilę o mężu, podczas gdy on biega po parku stęskniony.

Takim go Anna jeszcze nie widziała. Uśmiechał się i miał w oczach iskry. Nie uszło jej uwadze, że całkowicie ją zignorował. Za to podał dłoń Katarzynie, a kiedy wstała, ucałował ją i obdarzył czarującym uśmiechem. Może nawet zalotnym, co Annę zdenerwowało.

– Pozwól, droga bratowo, że odprowadzę cię do stroskanego małżonka.

– Och, Michale – Katarzyna lekko trzepnęła go w mankiet – mną się nie musisz martwić. A Franciszkowi przyda się odrobina tęsknoty. Natomiast ty zajmij się swoją uroczą narzeczoną. – To mówiąc, Katarzyna mrugnęła do niego i odeszła, zostawiając ich samych.

Anna wstała. Ławeczka była przemyślnie ukryta wśród krzewów i pnączy tak, że nikt jej nie

widział. Obawiała się zostać sam na sam z Dukajskim w takim miejscu, ale nie miała wyjścia. Jeśli miała go prosić o pomoc, to tylko tu i teraz, kiedy nikt nie słyszał. Chwycił ją za ramię. Nie walczyła, bo wiedziała, że nie ma szans.

– Co ci powiedziała Katarzyna? – Wpatrywał się w nią intensywnie.

– Nic, o czym musiałbyś wiedzieć. – Patrzyła mu śmiało w oczy. – Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłaś, ale ma o tobie niestety dobre zdanie, czego ja nie mogę potwierdzić.

Dukajski zaśmiał się cicho, a ona szarpnęła się, na co tylko mocniej ją ścisnął. Syknęła z bólu mimowolnie, bo nie zamierzała pokazać swojej słabości.

– Cóż, w przeciwieństwie do ciebie ona potrafi się zachować w towarzystwie mężczyzn jak dama...

Nie dokończył, bo jej wolna ręka przecięła powietrze i zatrzymała się na policzku Dukajskiego. Twarz mu się zmieniła, jakby poszarzała. Zrobił krok w jej stronę i uniósł rękę, a ona skuliła się, lecz zaraz uniosła głowę. Niechby ją zabił. Przynajmniej nie musiałaby się o nic martwić. I prosić go już też o nic nie będzie musiała. Ale on tylko pochylił się i patrzył na nią. Jego oddech odbijał się od jej ust. Przymknęła oczy pewna, że zaraz ją pocałuje. Usłyszała jego śmiech.

– Na pieszczoty trzeba sobie zasłużyć, maleńka.

– To się jeszcze okaże – warknęła i chwyciła go za mundur, żeby wycisnąć na jego ustach pocałunek. Wmawiała sobie, że to wszystko po to, by go zmiękczyć, by przekonać do pomocy, lecz Dukajski porwał ją w objęcia i całował, jakby nie widzieli się latami. Unosiła się w powietrzu, gdy sunął ustami i językiem wzdłuż jej szyi i po płątku ucha.

– Będziesz tego żałowała – szeptał, gdy jego ręce przesuwają się wzdłuż jej ciała. Nic nie odpowiedziała. Chciała więcej, mocniej. Podskórnie czuła, że jest coś jeszcze, coś, co nią wstrząśnie, co zachwieje jej światem. I pragnęła to przeżyć z nim, choć w tej chwili nie była w stanie myśleć o niczym poza jego gorącym oddechem ślizgającym się po skórze dekoltu.

Michał wiedział, że za chwilę straci kontrolę. Gdyby ją uwiódł na samym początku, jego żądza zostałaby zaspokojona, a teraz coraz trudniej przychodziło mu panowanie nad sobą. Anna tylko podsycala w nim ten głód. Od kiedy ją zobaczył, nie był w stanie dotknąć innej kobiety z satysfakcją. W ostatniej sekundzie jednak oprzytomniał. Puścił ją, aż się zachwiała. Patrzyła na niego zdyszana i zdezorientowana. Miał wrażenie, że coś go rozerwie na strzępy, że zwariuje, jeśli jej nie dostanie na własność. Przeczesał włosy dłonią.

Anna chwyciła powietrze jak po długim biegu. Nie mogła zebrać burzy myśli szalejących w jej głowie, a przecież powinna z nim porozmawiać. On odezwał się pierwszy. Wycelował w nią palec.

– I właśnie dlatego nie powinniśmy się widywać do dnia ślubu.

– Też tak uważam.

– W takim razie wracam do gości. Ochłoń, bo wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – drwił z niej, choć Anna widziała, jak sam rozpaczliwie próbuje zapanować nad emocjami.

– Nie tak szybko. Muszę z tobą porozmawiać, a w zasadzie prosić cię o coś. – Z trudem przeszło jej to przez gardło, ale nie miała wyjścia. Tylko on mógł jej pomóc.

Dukajski zmrużył oczy jak kot szykujący się do zabawy i zrobił krok w jej stronę.

– Proszę, proszę. Moja piękna narzeczona chce mnie o coś prosić. Ale wiesz, że nie ma nic za darmo.

Mogła się tego po nim spodziewać, że będzie próbował ugrać coś dla siebie, że o bezinteresowności nie ma mowy.

– Cały ty. – Przewróciła oczami i nabrała powietrza, choć nie bardzo wiedziała, jak zacząć.

– Słucham cię, maleńka. O co chciałaś mnie prosić?

Milczała, zbierając siły. Wreszcie chrząknęła i zaczęła mówić:

– Kilka tygodni temu Adam Małaszewicz podstępem wyłudził ode mnie wszystkie klejnoty. Nie tylko moje, ale też rodzinne. – Anna zrobiła pauzę, obserwując reakcję Dukajskiego, ale on słuchał ze spokojem i z nieodgadnioną miną. – Obiecywał je sprzedać i spłacić długi ojca. Wygląda jednak na to, że mnie oszukał. Nawet jeśli część biżuterii spieniżył, to zatrzymał te pieniądze. Dobrze wie,

że nie mogę go o nic oskarżyć, bo sama mu dałam klejnoty, w dodatku w tajemnicy przed wszystkimi. Nie mam żadnych świadków i nikogo, kto pomógłby mi je odzyskać. Boję się, że papie może się stać coś złego, jeśli dowie się prawdy. Dlatego – nabrała powietrza i wyrzuciła z siebie na jednym wydechu – jestem zmuszona prosić cię o pomoc w odzyskaniu choć części kosztowności.

Dukajski patrzył w milczeniu, jak wykręcała sobie ze zdenerwowania palce. Pomięła oczywiście tę część historii, w której to miała razem z Małaszewiczem uciec, najlepiej do Paryża. Bezpieczniej, żeby narzeczony o tym nie wiedział. Wreszcie nie wytrzymała i odezwała się znowu:

– Pomożesz mi?

Uśmiechnął się.

– Jednym słowem chciałaś, żeby ten pajac został twoim wybawcą, a w konsekwencji mężem, tak? Wolałaś prosić o pomoc jego, byleby nie zostać moją żoną?

Anna skuliła się. Zdała sobie sprawę, jak paskudnie musiał się teraz poczuć Michał. W końcu knuła za jego plecami i teraz chciała, by ją wyciągnął z tarapatów.

– To nie tak.

– A jak? Czy ty myślisz, że jestem idiotą, że będę skakał, jak mi zagrasz? Jaką mam gwarancję, że pewnego dnia nie zechcesz zwiać z kolejnym pajacem, który zaoferuje ci lepsze widoki na przyszłość niż fortuna Dukajskich i spokojne, dostatnie życie? – W oczach Dukajskiego mienił się lód. Wiedziała, że to oznacza kłopoty.

– Masz moje słowo.

– To za mało. Chcę cię mieć całą.

– Jak to? – Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Zanim dojdzie do ślubu, chcę, żebyś była moja. – Zacisnął szczęki, a mięsień na policzku drgał mu nerwowo.

Kiedy dotarł do niej sens jego słów, zaskoczona otworzyła szeroko usta. Potem zaczęła wyrzucać z siebie słowa z prędkością karabinu.

– To niemożliwe! Ja... ja nie mogę, nie jestem gotowa. Przecież kiedy weźmiemy ślub, i tak to nastąpi i wtedy... Ślub jest jak przysięga i możesz mi wierzyć, że nie mam wyjścia i muszę wyjść za ciebie. Pomóż mi ten jeden raz, a ja cię nigdy nie zawiodę jako żona i już nigdy nie będę cię o nic prosić... – Sama zaczęła wierzyć w to, co mówiła. A przecież gdyby powiódł się jej plan wyswatania brata, uciekłaby gdzie pieprz rośnie, byle dalej od Dukajskiego.

– No właśnie – przerwał jej. Oczy błyszczały mu niebezpiecznie. – Nie masz wyjścia. Albo zrobisz to, czego chcę, albo zapomnij o odzyskaniu klejnotów. Pamiętaj też, że w obliczu tych informacji muszę rozważyć jeszcze raz twoją przydatność jako przyszłej żony.

Anna pobladła, jakby dostała cios w żołądek. Położyła dłonie na piersiach i usiłowała złapać oddech. Zamiast znaleźć sojusznika, tylko pogorszyła swoją już i tak nie najlepszą sytuację. Nawet nie zareagowała na sformułowanie, jakiego użył. Przydatność. Potraktował ją przecież jak przedmiot. Teraz to jednak nie miało znaczenia.

– Nie mogę – szepnęła słabo zdrętwiałymi ustami, wpatrując się błagalnie w oczy narzeczonego. – Pomóż mi, a będę idealną żoną.

## Przypisy

[1] [z francuskiego] tych młodych ludzi [2] [z francuskiego] najpiękniejszy kwiat [3] [z francuskiego] w sytuacji wyjątkowej [4] [z francuskiego] kiedy jej rodzinie [5] [z francuskiego] ta rodzina [6] [z francuskiego] niektóre postulaty [7] [z francuskiego] słabym [8] Olimpia de Gouges – pochodząca z Francji feministka, którą zgilotynowano w 1793 r. za ogłoszenie Deklaracji Praw Kobiety i Obywatelki. [9] [z ukraińskiego] Ludzie, idźcie stąd! [10] [z ukraińskiego] Zdrajcy! [11] [z francuskiego] bardzo niebezpiecznej sytuacji [12] [z francuskiego] nieprawdaż [13] [z francuskiego] bardzo szczęśliwym, moja droga [14] Maria Dulebianka (1861–1919) – polska działaczka społeczna związana ze środowiskami emancypacyjnymi we Lwowie.



Młodziutka hrabianka Anna Lipińska, która debiutuje na lwowskich salonach, zwraca uwagę pułkownika Michała Dukajskiego. Śmiałej i nie bojącej się wyrażać własnych opinii Annie wpada jednak w oko przybyły niedawno z Paryża przemysłowiec, Adam Małaszewicz. Niestety, nie wszystko potoczy się po myśli hrabianki...

Towarzyska kompromitacja, rodzinny majątek na skraju bankructwa i skradzione klejnoty to nie jedyne zmartwienia Anny. Czy młoda bohaterka znajdzie sposób na pogodzenie obowiązków z pragnieniami?

## *Romanse, konwenanse i intrygi...*

*Przekonaj się, czym naprawdę żył Lwów czasów naszych prababek. Sięgnij po pierwszy tom doskonałego romansu historycznego Joanny Wtulich!*



## *Joanna Wtulich*

– nauczycielka i bibliotekarka zakochana w książkach. Wielokrotnie wyróżniana za swoje opowiadania, m.in. na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału (2018, 2019) i w ramach konkursu Poznań fantastyczny (2019). Uważa, że przemieszczanie się i pisanie ma terapeutyczną moc. Z jednej z podróży przywiozła ze sobą miłość do Lwowa, której owocem jest ta książka. To pierwsza część planowanego cyklu *Trylogia lwowska*.

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L I R A**  
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:  
**granice.pl**  
współpraca z Biblioteką



cena: **36,99 zł**  
(w tym 5% VAT)